

Prószynski i S-ka

TERRY PRATCHETT MORT



ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

Mort

Oto komnata rozświetlona płomykami świec... Tu stoją życiometry, - półki życiometrów: szerokie klepsydry, po jednej dla każdego żyjącego człowieka, przesypujące miałki piasek z przyszłości w przeszłość. Skumulowany szelest spadających ziarenek wzbudza szum głośny jak huk fal morza.

A oto gospodarz tej komnaty. Przechadza się wzdłuż ściany, wyraźnie zamyślony. Ma na imię Śmierć.

Ale nie jakiś tam Śmierć. To Śmierć, którego sfera działania jest... a właściwie wcale nie jest sferą, ale światem Dysku - płaskim, spoczywającym na grzbietach czterech gigantycznych słoni, które stoją na skorupie ogromnego gwiazdnego żółwia, Wielkiego A'Tuina. Z krawędzi tego świata wiecznie spływa w przestrzeń nieskończony wodospad.

Uczeni wyliczyli, że jest tylko jedna szansa na bilion, by zaistniało coś tak całkowicie absurdalnego.

Jednak magowie obliczyli, że szansę jedna na bilion sprawdzają się w dziewięciu przypadkach na dziesięć.

Śmierć stuka o czarno-białą posadzkę kośćmi stóp i mruczy coś pod kapturem, a jego szkieletowe palce odliczają szeregi pracowitych klepsydr.

Wreszcie znajduje jedną, która wydaje mu się odpowiednia. Ostrożnie zdejmuje ją z półki i niesie do najbliższej świecy. Unosi, by światło padało na szkło, i wpatruje się w maleńki punkcik odbitego blasku.

Nieruchomy wzrok migotliwych oczodołów obejmuje żółwia świata, sunącego przez głębie kosmosu, ze skorupą porysowaną kometami i poznaczoną uderzeniami meteorów. Śmierć wie, że pewnego dnia Wielki A'Tuin umrze. To dopiero będzie wyzwanie.

Ale spojrzenie Śmierci kieruje się ku błękitno-zielonej wspaniałości samego Dysku, wirującego powoli w blasku maleńkiego, orbitującego wokół słońca.

Teraz jego wzrok pada na wielki łańcuch górski zwany Ram topami. Ramtopy pełne są głębokich dolin, nieoczekiwanych urwisk i ogólnie większej ilości geograficznych szczegółów, niż mogłoby to im wyjść na zdrowie. Mają własny, niezwykły klimat, pełen gwałtownych ulew, porywistych wiatrów i burz z piorunami. Niektórzy mówią, że dzieje się tak, gdyż Ramtopy są siedliskiem starej, pierwotnej magii. Warto tu zauważyć, że niektórzy mówią, co im ślina na język przyniesie.

Śmierć mruga, poprawia głębię widzenia. Teraz widzi trawiaste tereny na obrotowych zboczach gór.

Teraz widzi pewne konkretne zbocze.

Teraz widzi pole.

Teraz widzi biegnącego chłopca.

Teraz patrzy.

Teraz, głosem jak ołowiane płyty padające na granitowy blok, mówi:

TAK.

Nie ma wątpliwości, że w glebie tego pagórkowatego, nierównego terenu było coś magicznego. Z powodu dziwnego odcienia, jaki to coś nadawało miejscowej roślinności, obszar ten znany był jako kraina oktarynowych traw. W szczególności jako jedna z niewielu na Dysku okolic umożliwiała hodowlę roślin dających odmiany zeszłoroczne.

Zeszłoroczniaki to uprawy rozwijające się wstecz w czasie. Sieje się je w danym roku, a plony zbiera w zeszłym.

Rodzina Morta zajmowała się destylacją wina z zeszłorocznych winogron. Trunki takie są bardzo mocne i poszukiwane przez wróżbitów, ponieważ oczywiście pozwalają im widzieć przyszłość. Jedyne problem w

tym, że cierpi się kaca na dzień przed i trzeba wiele wypić, żeby się go pozbyć.

Hodowcy zeszłoroczników są zwykle zwalistymi, poważnymi ludźmi, poświęcającymi wiele czasu introspekcji i dokładnemu studiowaniu kalendarza. Farmer, który zapomni posiać zwykłe ziarno, traci jedynie plony. Kto jednak zapomni posiać to, co zebrał już dwanaście miesięcy temu, ryzykuje naruszenie całej osnowy przyczynowości, nie wspominając już o głębokim zawstydzeniu.

Równie głębokie zawstydzenie wzbudzał wśród krewnych Morta fakt, że najmłodszy syn wcale nie był poważny i miał do uprawy mniej więcej tyle talentu co martwa rozgwiazda. Nie to, że nie chciał pomagać. Ale był pomocny w ten nieokreślony, niedbały sposób, który w ludziach poważnych szybko zaczyna budzić przerażenie. Tkwiło w tym coś zaraźliwego, może nawet śmiercionośnego. Chłopak był wysoki, rudowłosy i piegowaty, z ciałem, które robiło wrażenie, jakby właściciel z trudem tylko nad nim panował. Zdawało się, że jest zbudowane z samych kolan i łokci.

Tego szczególnego dnia pędził po polu, wymachiwał rękami i krzyczał.

Ojciec i wuj Morta obserwowali go posępnie z kamiennego murku.

- Nie rozumiem tylko - mruknął ojciec, Lezek - dlaczego ptaki nie odlatują. Ja bym odleciał, gdybym zobaczył, że zbliża się do mnie coś takiego.

- Ach, ciało ludzkie jest cudowną rzeczą. Popatrz, jego nogi fruwać na wszystkie strony, a jednak rozwija całkiem niezłą prędkość.

Mort dotarł do końca bruzdy. Przejezdzonego gołąb zwlókł mu się wolno z drogi.

- Ale serce ma na właściwym miejscu - zauważył Lezek.

- Aha. Za to nie ma całej reszty.

- I nie bałagani. Nie je dużo.

- Widzę.

Lezek zerknął z ukosa na brata, który pilnie wpatrywał się w niebo.

- Słyszałem, że masz miejsce na swojej farmie, Hameshu - powiedział.

- Tak? Przecież wziąłem parobka, prawda?

- Coś takiego... - mruknął ponuro Lezek. - A kiedyż to?

- Wczoraj - odparł jego brat, kłamiąc z szybkością atakującej kobry. - Umowa zawarta i podpisana. Przykro mi. Wiesz przecież, że nic nie mam przeciwko twojemu Mortowi. To miły chłopak, trudno znaleźć miłszego. Tyle że...

- Wiem, wiem. Obiema rękami nie umiałby znaleźć własnego tyłka.

Przyglądali się odległej postaci. Przewróciła się. Kilka gołębi podeszło bliżej, żeby ją obejrzyć.

- Nie jest głupi, uważam - stwierdził Hamesh. - Nie nazwałbym go głupim.

- Ma tam mózg, to pewne - zgodził się Lezek. - Czasem zastanawia się nad czymś tak ciężko, aż trzeba mu przyłożyć po łbie, żeby zwrócił na ciebie uwagę. Babka, rozumiesz, nauczyła go kiedyś czytać. Sądzę, że to mu przegrzało rozum.

Mort wstał i potknął się o swoją tunikę.

- Powinieneś go oddać do jakiegoś rzemieślnika - mruknął w zadumie Hamesh. - Do kapłanów, na przykład. Albo magów. Oni podobno sporo czytają.

Spojrzeli na siebie. W ich myślach pojawił się przelotny obraz tego, do czego byłby zdolny Mort, gdyby w jego chętne ręce wpadła magiczna księga.

- No dobrze - poprawił się szybko Hamesh. - Do kogoś innego. Z pewnością istnieje mnóstwo fachów, gdzie by się nadawał.

- Za dużo myśli, w tym cały problem - westchnął Lezek. - Popatrz na niego. Chłopcy nie zastanawiają się zwykle, jak płoszyć ptaki. Po prostu je płoszą. To znaczy normalni chłopcy.

Hamesh z namysłem poskrobał się po brodzie.

- Mógłbyś zrzucić ten kłopot na kogoś innego - zaproponował. Lezek nie zmienił wyrazu twarzy, tylko oczy błysnęły mu lekko.

- Znaczy się, jak? - zapytał.

- W przyszłym tygodniu w Owczej Wólce będzie jarmark rzemiosł. ; Oddasz go do terminu i wtedy nowy pan będzie musiał jakoś go wychować. Takie jest prawo. Zawrzecie umowę i po sprawie. Lezek zerknął w stronę syna, który badał właśnie kamień.

- Ale nie chciałbym, żeby mu się stała jakaś krzywda - mruknął niepewnie. - Dosyć go lubimy, jego matka i ja. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Wyjdzie mu to na dobre, sam się przekonasz. Zrobią z niego mężczyznę.

- No tak... - Lezek westchnął. - Z pewnością surowca im nie zabraknie.

Mort zainteresował się kamieniem. Dostrzegł w nim skręcone muszle, relikty pierwszych dni świata, kiedy Stwórca - z nikomu nie znanych powodów - tworzył istoty ze skał.

Morta interesowało wiele spraw. Na przykład dlaczego ludzkie zęby do siebie pasują. Często się nad tym zastanawiał. Albo czemu słońce wschodzi za dnia zamiast nocą, kiedy jego światło bardziej by się przydało. Znał standardowe wyjaśnienie, ale jakoś go nie przekonywało.

Krótko mówiąc, Mort należał do takich osób, które są groźniejsze niż

worek grzechotników. Chciał mianowicie zrozumieć logikę praw rządzących wszechświatem.

To trudne zadanie, ponieważ coś takiego nie istnieje. Kiedy Stwórca składał ten świat, miał mnóstwo znakomitych pomysłów, jednak uczynienie go zrozumiałym jakoś nie przyszło mu do głowy.

Tragiczni bohaterowie zawsze cierpią, kiedy bogowie się nimi interesują. Ale naprawdę ciężki los mają ci, na których bogowie w ogóle nie zwracają uwagi.

Ojciec znowu na niego wrzeszczał, jak zwykle. Mort rzucił kamieniem w gołębia, niemal zbyt najedzonego, żeby odskoczyć na bok. I powlókł się z powrotem przez pole.

Takie były powody, dla których w wigilię Strzeżenia Wiedźm Mort z ojcem wyruszyli przez góry do Owczej Wólki. Worek ze skromnym dobytkiem Morta spoczywał na grzbiecie osła. Miasteczko składało się właściwie tylko z rynku, po czterech stronach otoczonego sklepami i warsztatami, gwarantującymi okolicznej rolniczej społeczności pełny zakres usług.

Po pięciu minutach Mort wyszedł od krawca ubrany w luźną brązową szatę nieokreślonego kształtu. Nie została odebrana przez poprzedniego właściciela - czemu trudno się dziwić - i miała akurat dość miejsca, żeby chłopiec mógł dorastać w jej wnętrzu. Pod warunkiem, że zamierzał wyrosnąć na dziewiętnastonogiego słonia. Ojciec przyjrzał mu się krytycznie.

- Bardzo ładna - mruknął. - Jak na swoją cenę.

- Drapie - poskarżył się Mort. - Mam uczucie, że są tu ze mną różne inne... cosie.

- Tysiące chłopców byłoby bardzo wdzięcznych za taki ładny, ciepły...

- Lezek zastanowił się i po chwili namysłu zrezygnował. - ...ubiór.

- Mógłbym go z nimi nosić na zmianę? - spytał Mort z nadzieją.

- Musisz wyglądać na sprytnego - oświadczył surowo Lezek. - Musisz robić wrażenie, wyróżniać się z tłumu.

Co do tego nie było wątpliwości. Będzie się wyróżniał.

Wysłuchując się we własne myśli ruszyli przez zatłoczony rynek. Mort zwykle lubił wizyty w miasteczku, lubił jego kosmopolityczną atmosferę, dziwne dialekty wiosek oddalonych o pięć, czasem nawet dziesięć mil... Dzisiaj jednak czuł się dziwnie załęczniony... Jakby przypominał sobie coś, co się jeszcze nie wydarzyło.

Jarmark funkcjonował mniej więcej tak: ludzie szukający pracy stali w nierównych szeregach pośrodku placu. Wielu z nich nosiło na kapeluszach niewielkie symbole, obwieszczające światu, jakiego fachu się nauczyli - pasterze mieli strzępek wełny, woźnice wiązkę końskiego włosia, dekoratorzy wewnątrz skrawek dość ciekawej heskiej tapety i tak dalej.

Chłopcy szukający mistrzów zebrali się po osiowej stronie rynku.

- Idź, stań tam i czekaj, aż ktoś przyjdzie i zaproponuje ci terminowanie - powiedział Lezek bez przekonania. - Znaczy, jeśli mu się spodobaś.

- A jak on to sprawdzi?

- No... - Lezek urwał. Tego akurat Hamesh nie wytłumaczył. Mężczyzna sięgnął do swej ograniczonej wiedzy o jarmarkach: obejmowała głównie targi bydła. Postanowił zgadywać: - Przypuszczam, że policzą ci zęby i tak dalej. Sprawdź, czy nie masz kataru i nie kulejesz. Lepiej nie wspominaj o czytaniu, to ludzi niepokoi.

- A potem co? - spytał Mort.

- Potem będziesz się uczył zawodu.

- A jakiego zawodu konkretnie?

- No... Stolarstwo jest całkiem niezłe - stwierdził Lezek. - Albo złodziejstwo. Ktoś musi to robić.

Mort spojrzał na swoje stopy. Był posłusznym synem, jeśli tylko o tym pamiętał. A skoro ojciec wymagał, żeby został czyimś terminatorem, postanowił być dobrym terminatorem. Co prawda stolarstwo nie zapowiadało się zbyt obiecująco: drewno żyło własnym, upartym życiem i miało skłonności do pęknięcia. Oficjalni złodzieje rzadko trafiali w Ramtopy, gdzie ludzie nie byli dość bogaci, żeby sobie na nich pozwolić.

- No dobrze - rzekł w końcu. - Spróbuję. Ale co będzie, jeśli nikt mnie nie weźmie do terminu? Lezek poskrobał się po głowie.

- Sam nie wiem - mruknął. - Myślę, że powinienem doczekać do końca jarmarku. Chyba o północy.

Właśnie zbliżała się północ.

Lekki szron okrył białą kamienie bruku. Na szczycie zdobnej wieży zegarowej nad rynkiem dwie delikatnie rzeźbione figurki wynurzyły się zza drzwiczek na tarczy i wybiły kwadrans.

Piętnaście minut do północy. Mort zadrżał, ale na nowo rozgorzały w nim jaskrawe płomienie wstydu i uporu, gorętsze niż zbocza Piekła. Chuchnął w dłonie, żeby się czymś zająć, i popatrzył w lodowate niebo. Starał się unikać spojrzeń kilku maruderów, grzebiących w tym, co pozostało z jarmarku.

Większość kupców zwinęła już swoje stragany. Nawet sprzedawca gorących pasztecików przestał zachwalać swój towar i zjadał go, nie dbając o osobiste bezpieczeństwo.

Ostatni ze współczesujących zniknął już kilka godzin temu. Był to młody chłopak: przygarbiony, z rozbieżnym zezem i ciekącym nosem.

Jedyny licencjonowany żebrak Owczej Wólki uznał go za doskonały materiał. Drugi sąsiad Morta miał robić zabawki. Odchodzili jeden po drugim - murarze, kowale, skrytobójcy, bławatnicy, bednarze, sztukmistrze i oracze. Za kilka minut zacznie się nowy rok i setka chłopców rozpocznie nowe życie, z nadzieją spoglądając w przyszłość obiecującą długie lata użytecznej pracy.

Mort zastanawiał się posępnie, dlaczego on sam nie został wybrany. Starał się wyglądać przyzwoicie; wszystkim potencjalnym mistrzom patrzył prosto w oczy, by zrobić odpowiednie wrażenie, przekonać o swej wspaniałej osobowości i wyjątkowo miłych cechach charakteru. Jakoś nie dawało to pożądaných rezultatów.

- Masz ochotę na gorący pasztecik? - zaproponował mu ojciec.

- Nie.

- Tanieje sprzedaje.

- Nie, dziękuję.

- Aha.

Lezek zawahał się.

- Mógłbym go zapytać, czy nie potrzebuje ucznia - zaoferował usługę. - Solidny fach: piekarstwo.

- Myślę, że nie potrzebuje - stwierdził Mort.

- Nie, chyba nie - przyznał Lezek. - To właściwie interes dla jednego. Zresztą i tak już poszedł. Wiesz co, dam ci kawałek swojego.

- Nie jestem głodny, tato.

- Prawie bez chrząstek.

- Nie. Ale dziękuję.

- Hm...

Lezek zmartwił się nieco. Przytupywał trochę, żeby przywrócić stopom nieco życia. Zagwizdał przez zęby kilka niemelodyjnych taktów. Czuł, że powinien coś powiedzieć, udzielić jakiejś rady, przypomnieć, że raz jest się na wozie, a raz pod wozem, objąć syna ramieniem i porozmawiać szczerze o problemach dorastania... Krótko mówiąc udowodnić, że świat to zabawne miejsce, gdzie - metaforycznie - duma nie powinna skłaniać do odmowy kęsa całkiem dobrego gorącego pasztecika.

Zostali sami. Mróz, ostatni już w tym roku, wzmocnił swój uścisk na kamieniach bruku.

Wysoko na wieży koło zębate brzęknęło, przesunęło dźwignię i uwolniło zapadkę. Opadł ołowiany ciężarek. Zabrzmiał przeraźliwy, metaliczny zgrzyt i dwie kłapy na tarczy odsunęły się, uwalniając mechaniczne figurki. Nierówno, jakby cierpiały na roboci artretyzm, zamachnęły się młotami i zaczęły wybijać nowy dzień.

- No to już - stwierdził z ulgą Lezek.

Musieli znaleźć jakiś nocleg - Noc Strzeżenia Wiedźm nie jest odpowiednią porą na spacer po górach. Może jest tu blisko jakaś stajnia...

- Północ nastaje dopiero wtedy, kiedy zegar uderza ostatni raz - oświadczył Mort.

Lezek wzruszył ramionami. Nic nie mógł poradzić na potęgę synowskiego uporu.

- No dobrze - westchnął. - Poczekamy.

I wtedy usłyszeli stukanie podków, które na tym pustym placu rozlegało się trochę głośniejsze, niż powinna na to pozwolić akustyka. Właściwie „stukanie” było zadziwiająco nieprecyzyjnym określeniem dźwięku rozbrzmiewającego w głowie Morta. Stukanie sugeruje wesołego małego kucyka, może nawet noszącego na łbie słomiany kapelusz z dziurami wyciętymi na uszy. Tymczasem barwa tego odgłosu wyraźnie wskazywała, że słomiane kapelusze są poza dyskusją.

Ogromny biały koń wjechał na rynek drogą od strony Osi. Para unosiła się z jego boków, podkowy krzesaly iskry na kamieniach. Kroczył dumnie jak bojowy rumak. Z całą pewnością nie nosił słomkowego kapelusza.

Wysoka postać na jego grzbiecie otulała się płaszczem, zapewne dla ochrony przed zimnem. Gdy koń dotarł na środek placu, jeździec wolno zsunął się z siodła i zaczął szukać czegoś w jukach. Po chwili wyciągnął worek z obrokiem, założył zwierzęciu na pysk i przyjaźnie klepnął je w szyję.

Powietrze stało się gęste i oleiste, a głębokie cienie wokół Morta otoczyły błękitne i fioletowe tęcze. Jeździec ruszył ku niemu. Czarny płaszcz wzdymał się na wietrze, a stopy stukały lekko o bruk. To były jedynie dźwięki - poza tym cisza zalała rynek niczym zwały bawełnianej przędzy.

Wrażenie zepsuła nieco zamarznęta kałuża.

A NIECH TO!

Właściwie trudno było nazwać to głosem. Słowa dźwięczały normalnie, rozbrzmiewały jednak w głowie Morta nie tracąc czasu na przejście przez jego uszy.

Chłopiec rzucił się na pomoc leżącej na ziemi postaci. Chwycił ją za rękę, która była jedynie wygładzoną kością, trochę pożółkłą, jak stara kula bilardowa. Kaptur zsunął się z głowy przybysza i naga czaszka skierowała na Morta puste oczodoły.

Właściwie nie całkiem puste. W ich głębi płonęły dwie błękitne gwiazdy, jakby były oknami spoglądającymi w kosmiczną otchłań.

Mortowi przyszło do głowy, że powinien się przerazić. Fakt, iż tak się nie stało, wprowadził go w pewne zdumienie. Przed nim siedział szkielet, rozcierał kolana i burczał niechętnie. Szkielet, ale żywy i z jakichś dziwnych powodów niezbyt przerażający.

DZIĘKUJĘ CI, CHŁOPCZE, powiedziała czaszka. JAK CI NA IMIĘ?

- Uhm... - zaczął Mort. - Mortimer... proszę pana. Wołają mnie Mort

CO ZA ZBIEG OKOLICZNOŚCI. POMÓŻ MI WSTAĆ.

Szkieleł podniósł się ostrożnie i otrząsał płaszcz. Mort zauważył, że na biodrach nosi szeroki pas, u którego wisi miecz z białą rękojeścią.

- Mam nadzieję, że nic się panu nie stało - zauważył grzecznie.

Czaszka wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Oczywiście, pomyślał chłopiec, nie miała specjalnego wyboru.

NIC POWAŻNEGO. JESTEM PEWIEN.

Szkieleł rozejrzał się i chyba dopiero teraz dostrzegł Lezeka, który robił wrażenie skamieniałego. Mort uznał, że powinien go przedstawić.

- Mój ojciec - poinformował, wsuwając się między Lezeka a eksponat A. Dyskretnie, żeby go nie urazić. - Przepraszam pana, ale czy jest pan Śmiercią?

ZGADZA SIĘ. BRAWA ZA SPOSTRZEGAWCZOŚĆ.

Mort przełknął ślinę.

- Ojciec jest dobrym człowiekiem - oświadczył. Pomyślał chwilę. - Dość dobrym - uzupełnił. - Wolałbym, żeby go pan zostawił, jeśli nie robi to panu różnicy. Nie wiem, co mu pan zrobił, ale proszę, żeby pan przestał. Nie chciałem pana obrazić...

Śmierć cofnął się i przechylił czaszkę w bok.

PO PROSTU PRZENIOSŁEM NAS CHWILOWO POZA CZAS, wyjaśnił. NIE ZOBACZY I NIE USŁYSZY NICZEGO, CO MOGŁOBY GO PRZESTRASZYĆ. NIE, MÓJ CHŁOPCZE, PRZYBYŁEM TU PO CIEBIE.

- Po mnie?

POSZUKUJESZ PRACY?

Morta olśniło.

- Szuka pan ucznia?

Oczodoły zwróciły się ku niemu, a w ich głębi rozbłysło magiczne światło.

OCZYWIŚCIE.

Śmierć skinął kościstą dłonią. Spłynęła fala fioletowego blasku - coś w rodzaju wizualnego „brzdęk” - i Lezek wrócił do życia. Figurki zegara nad jego głową podjęły swe dzieło głoszenia północy. Czas mógł znowu powrócić. Lezek zamrugał.

- Przed chwilą jeszcze was tu nie widziałem - powiedział. - Przepraszam... Musiałem się zamyślić.

ZAPROPONOWAŁEM CHŁOPCU POSADĘ, rzekł Śmierć. WIERZĘ, ŻE ZYSKA TO PAŃSKĄ APROBATĘ.

- Nie dosłyszałem, czym się zajmujecie. - Lezek zwracał się do szkieletu w czarnym płaszczu, nie okazując nawet śladu zdziwienia.

PRZEPROWADZAM DUSZE DO TAMTEGO ŚWIATA, wyjaśnił Śmierć.

- A tak. Rzeczywiście, powinienem się domyślić po ubraniu. Pożyteczna praca, stabilny rynek. Solidna firma?

OWSZEM, DZIAŁA JUŻ OD DOŚĆ DAWNA.

- Dobrze, bardzo dobrze. Nie sądziłem, wiecie, że Mort trafi do takiego fachu, ale to uczciwa praca, uczciwa i zawsze potrzebna. Jak się nazywacie?

ŚMIERĆ.

- Tato... - zaczął Mort.

- Nie słyszałem o takiej firmie - przyznał Lezek. - Gdzie ma siedzibę?

OD NAJWIĘKSZYCH GŁĘBIN MORZA PO ZAWROTNE WYSO-

KOŚCI, GDZIE NAWET ORŁOM NIE WOLNO SIĘ ZAPUSZCZAĆ.

- To mi wystarczy. - Lezek skinął głową. - No cóż...

- Tato! - Mort szarpnął ojca za rękaw.

Śmierć położył mu dłoń na ramieniu.

TO, CO WIDZI I SŁYSZY TWÓJ OJCIEC, NIE JEST TYM SAMYM, CO WIDZISZ I SŁYSZYSZ TY, rzekł. NIE STRASZ GO. CZY SĄDZISZ, ŻE CHCIAŁBY MNIE ZOBACZYĆ? TO ZNACZY W MOJEJ WŁASNEJ POSTACI?

- Przecież jest pan Śmiercią - zawołał Mort. - Zabija pan ludzi!

JA? ZABIJAM? Śmierć był wyraźnie urażony. NA PEWNO NIE. LUDZIE BYWAJĄ ZABIJANI, ALE TO ICH PRYWATNA SPRAWA. JA WKRAČAM DOPIERO POTEM. PRYZNASZ, ŻE ŚWIAT BYŁBY ZUPEŁNIE IDIOTYCZNY, GDYBY LUDZIE BYLI ZABIJANI I NIE UMIERALI. PRAWDA?

- Niby tak... - przyznał z powątpiewaniem Mort.

Nigdy w życiu nie poznał słowa „zaintrygowany”. Nie należało do słownika regularnie używanego w jego rodzinie. Ale jakaś iskra w głębi duszy mówiła mu, że dzieje się coś niezwykłego, fascynującego i nie do końca strasznego, a jeśli nie wykorzysta tej okazji, przez resztę życia będzie tego żałował. Przypomniwał też sobie poniżenia, jakich doznał dzisiejszego dnia, a także długą drogę do domu...

- Ehm - zaczął. - Nie muszę umierać, żeby dostać tę pracę, prawda?

BYCIE MARTWYM NIE JEST OBOWIĄZKOWE.

- A... A kości?

NIE, JEŚLI NIE MASZ OCHOTY

Mort odetchnął. Tego by się trochę obawiał.

- Jeśli tato się zgodzi - rzekł.

Spojrzeni na Lezeka, który skrobał się po brodzie.

- Co o tym sądzisz, Mort? - zapytał z ożywieniem człowieka pełnego nadziei. - Nie każdemu taki zawód by się spodobał. Nie o tym myślałem, muszę przyznać. Ale powiadają, że organizacja pogrzebów to zaszczytna profesja. Wybór należy do ciebie.

- Pogrzebów? - zdziwił się Mort.

Śmierć kiwnął głową i konspiracyjnym gestem uniósł palec do warg.

- To ciekawe - oświadczył Mort. - Myślę, że chętnie spróbuję.

- Mówiliście, że gdzie się mieści wasza firma? - spytał Lezek. - Daleko?

NIE DALEJ NIŻ O GRUBOŚĆ CIENIA, odparł Śmierć. GDZIE POJAWIŁA SIĘ PIERWSZA PIERWOTNA KOMÓRKA, TAM I JA SIĘ POJAWIŁEM. KIEDY OSTATNIE ŻYCIE CZOŁGAĆ SIĘ BĘDZIE POD STYGNAĆCYMI GWIAZDAMI, TAM I JA BĘDĘ.

- No tak - zgodził się Lezek. - Musicie sporo podróżować.

Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby usiłował coś sobie przypomnieć, ale właśnie zrezygnował.

Śmierć przyjaźnie poklepał go po ramieniu, po czym zwrócił się do Morta.

MASZ JAKIŚ BAGAŻ, CHŁOPCZE?

- Tak - potwierdził Mort i nagle sobie przypomniał. - Tyle że chyba zostawiliśmy go w sklepie. Tato, nasz worek został w sklepie z ubraniami!

- Będzie zamknięty - zmartwił się Lezek. - W Dzień Strzeżenia Wiedźm nie otwierają sklepów. Musisz wrócić pojutrze... Właściwie jutro.

TO ŻADEN KŁOPOT, oznajmił Śmierć. POJEDZIEMY JUŻ. NA

PEWNO WKRÓTCE BĘDĘ TU MIAŁ JAKIEŚ SPRAWY

- Mam nadzieję, że zdołasz nas odwiedzić - powiedział jeszcze Lezek. Zdawał się walczyć z myślami.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - odparł Mort.

- No cóż, do zobaczenia, mały. Masz robić to, co ci każą. Zrozumiałeś? I... Przepraszam was, panie, czy macie syna? Śmierć wydawał się nieco zaskoczony.

NIE, powiedział. NIE MAM SYNÓW.

- Jeśli wam to nie przeszkadza, chciałbym zamienić z moim chłopakiem jeszcze słowo.

W TAKIM RAZIE PÓJDĘ SIĘ ZAJĄĆ KONIEM, odparł Śmierć, bardziej niż zwykle taktowny.

Lezek objął syna ramieniem - z pewnymi trudnościami wynikającymi z różnicy wzrostu - i łagodnie pchnął go do przodu.

- Mort, wiesz, że to wuj Hamesh powiedział mi o tym targu rzemiosł? - szepnął.

- Tak...

- Mówił mi jeszcze coś - wyznał mężczyzna. - Twierdził, że często uczeń dziedziczy interes mistrza. Co o tym sądzisz?

- No... Nie jestem pewien - mruknął Mort.

- Ale warto się zastanowić.

- Właśnie się zastanawiam, tato.

- Hamesh uważa, że wielu młodych ludzi w ten sposób zaczynało karierę. Byli pomocni, zdobywali zaufanie mistrza, a potem... no... jeśli w domu były jakieś córki... Czy pan... hm... pan... wspominał coś o córkach?

- Jaki pan? - zdziwił się Mort.

- Pan... Twój nowy mistrz.

- A... On. Nie, raczej nie. On chyba nie z takich, co się żenią.

- Wielu sprytnych młodych ludzi zawdzięcza swój awans małżeństwu.

- Naprawdę?

- Mort, wydaje mi się, że nie słuchasz.

- Co?

Lezek zatrzymał się na oszronionych kamieniach i odwrócił Morta do siebie.

- Naprawdę musisz nad sobą popracować, mój chłopcze - oświadczył. - Nie rozumiesz? Jeżeli chcesz do czegoś dojść na tym świecie, to musisz słuchać. Twój ojciec ci to mówi.

Mort spoglądał na twarz ojca. Miał ochotę powiedzieć mu o wielu sprawach: jak bardzo go kocha i jak się martwi. Chciał zapytać, co ojciec naprawdę myśli o tym, co przed chwilą widział i słyszał. Chciał wyznać, że czuje się tak, jakby stanął na kretowisku, które nagle okazało się wulkanem. I chciał zapytać, czyjemu małżeństwu ma zawdzięczać awans.

Ale powiedział tylko:

- Tak. Dziękuję ci. Lepiej już pójdę. Za jakiś czas napiszę do ciebie list.

- Na pewno znajdzie się jakiś przejezdny, który potrafi go nam przeczytać - odparł Lezek. - Do widzenia, Mort.

Głośno wytarł nos.

- Do widzenia, tato. Kiedyś was odwiedzę.

Śmierć chrząknął dyskretnie, chociaż zabrzmiało to jak trzask pękającej

belki.

POWINNIŚMY JUŻ RUSZAĆ, oświadczył. WSKAKUJ, MORT.

A kiedy chłopiec wspinał się na inkrustowane srebrem siodło, Śmierć pochylił się i uścisnął Lezekowi rękę.

DZIĘKUJĘ, powiedział.

- W głębi serca to dobry chłopak - zapewnił Lezek. - Trochę się zamyśla, to wszystko. Ale przecież wszyscy byliśmy kiedyś młodzi.

Śmierć rozważył to dokładnie.

NIE, stwierdził. NIE WYDAJE MI SIĘ.

Chwycił wodze i skierował konia ku krawędziowej drodze. Ze swego miejsca za czarno odzianą postacią Mort rozpaczliwie machał ojcu ręką.

Lezek także pomachał mu na pożegnanie. A gdy koń i dwójka jeźdźców zniknęli z pola widzenia, opuścił rękę i przyjrzał się jej uważnie. Ten uścisk... wydał mu się dziwny. Ale nie mógł sobie uzmysłwić dlaczego.

Mort wsłuchiwał się w stukot kopyt na kamieniach. Potem, kiedy dotarli na trakt, podkowy uderzyły miękko o ubitą ziemię, a jeszcze później całkiem ucichły. Spojrzał w dół i zobaczył, że rozpościera się pod nimi nocny pejzaż zalany księżycowym blaskiem. Gdyby spadł z siodła, uderzyłby tylko o powietrze.

Mocniej chwycił się siodła. JESTEŚ GŁODNY, CHŁOPCZE? zapytał Śmierć. - Tak, proszę pana. - Słowa wybiegły prosto z Mortowego żołądka, bez pośrednictwa mózgu.

Śmierć skinął głową i ściągnął wodze. Koń zatrzymał się w powietrzu. W dole migotała kolista panorama Dysku. Tu i tam pomarańczowo lśniło

miasto, w ciepłych morzach wokół krawędzi widać było sugestię fosforescencji. Uwięzione w głębokich dolinach światło dnia Dysku, nieco ciężkie i powolne[1], parowało niby srebrzysta mgła.

Przyćmiewał ją jednak blask sięgający ku gwiazdom od samej Krawędzi. Potężne strumienie światła falowały migocząc wśród nocy. Wysokie złociste mury otaczały cały świat.

- Piękne - szepnął Mort. - Co to jest?

SŁOŃCE JEST W TEJ CHWILI POD DYSKIEM, wyjaśnił Śmierć.

- I każdej nocy tak to wygląda?

KAŻDEJ. NATURA TAKA JUŻ JEST.

- A czy ktoś o tym wie?

JA. TY BOGOWIE. NIEZŁE, CO?

- Jak nie wiem co!

Śmierć pochylił się w siodle i spojrzał z góry na królestwa tego świata.

NIE WIEM JAK TY, powiedział. ALE JA Z ROZKOSZĄ ZAMORDUJĘ PORCJĘ CURRY.

Chociaż dawno już minęła północ, w bliźniaczym mieście Ankh-Morpork szalało życie. Mort sądził, że w Owczej Wólce panuje ruch, ale w porównaniu z chaosem na tutejszych ulicach, tamto miasteczko przypominało raczej... hm, kostnicę.

Poeci próbowali opisać Ankh-Morpork. Bez sukcesów. Może z powodu niepojętej, gorliwej żywotności miasta, a może dlatego, że miasto z milionem mieszkańców i bez żadnej kanalizacji jest zbyt mało subtelne dla

poetów, którzy preferują żonkile i trudno im się dziwić. Dlatego powiedzmy tylko, że Ankh-Morpork jest tak pełne życia jak dojrzewający ser w upalny dzień, głośnie jak klątwa w katedrze, jaskrawe jak plama oleju, barwne jak siniak i szumiące od działalności, interesów, ruchu i czystej, rozbuchanej aktywności niczym zdechły pies na kopcu termitów.

Stały tam świątynie z otwartymi na oścież wrotami, wypełniając ulice dźwiękami gongów, cymbałów, czy też - w przypadku co bardziej konserwatywnych religii fundamentalistycznych - krótkimi wrzaskami ofiar. Były sklepy, których niezwykle towary wysypywały się na chodniki. Zdało się, że jest też sporo przyjaźnie nastawionych młodych dam, których nie stać na porządne odzienie. Były pochodnie, żonglerzy i wszelkiej maści dostawcy natychmiastowej transcendencji.

Kiedy Śmierć kroczył wśród tłumów, Mort spodziewał się niemal, że będzie sunął między ludźmi niby dym. Nie miał racji. Śmierć po prostu szedł przed siebie, a ludzie jakoś dryfowali na boki.

Mort nie miał takiego szczęścia. Rozstępująca się przed jego nowym mistrzem ciżba zwierzała się znowu akurat na czas, żeby stanąć mu na drodze. Deptano mu po palcach, szturchano w żebra, ludzie próbowali mu sprzedać nieprzyjemne przyprawy albo warzywa o sugestywnych kształtach, a jakaś podstarzała dama stwierdziła - wbrew oczywistym faktom - że wygląda na dojrzałego młodego człowieka, który na pewno chciałby się zabawić.

Podziękował jej grzecznie i zapewnił, że jego zdaniem już teraz dobrze się bawi.

Śmierć dotarł na róg ulicy. Światło pochodni odbijało się jaskrawo od gładkiej kopuły jego czaszki. Wciągnął powietrze. Jakiś pijak zatoczył się blisko i nie całkiem pojmując, dlaczego to robi, ominął go łukiem.

OTO MIASTO, MÓJ CHŁOPCZE, rzekł Śmierć. CO O NIM SĄDZISZ?

- Jest bardzo duże - stwierdził niepewnie Mort - To znaczy... Dlaczego właściwie chcą tu mieszkać w takim ścisku?

Śmierć wzruszył ramionami.

LUBIĘ JE, oświadczył. JEST PEŁNE ŻYCIA.

- Proszę pana...

TAK?

- Co to jest curry?

Błękitne ognie zapłonęły w głębinach oczu Śmierci.

CZY UGRYZŁEŚ JUŻ KIEDYŚ ROZGRZANĄ DO
CZERWONOŚCI KOSTKĘ LODU?

- Nie, proszę pana.

CURRY TO WŁAŚNIE COŚ TAKIEGO.

- Proszę pana...

SŁUCHAM.

Mort nerwowo przełknął ślinę.

- Przepraszam bardzo, ale tato mówił, że jeśli czegoś nie rozumiem, to mam pytać.

GODNE POCHWAŁY

Śmierć maszerował ulicą, a tłumy rozstępowały się przed nim niczym molekuły na losowych orbitach.

- No więc, proszę pana... trudno nie zauważyć... rzecz w tym, że no... rzecz w tym...

WYKRZTUŚ WRESZCIE, CHŁOPCZE.

- Jak pan może jeść?

Śmierć zatrzymał się w miejscu, tak że Mort wpadł na niego. Kiedy próbował coś powiedzieć, mistrz uciszył go ruchem ręki. Zdawało się, że czegoś nasłuchuje.

WIESZ, BYWAJĄ TAKIE CHWILE, powiedział, częściowo jakby do siebie, KIEDY NAPRAWDĘ MOŻNA SIĘ ZDENERWOWAĆ.

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył boczną alejką. Czarny płaszcz powiewał za nim. Zaulek wił się między ciemnymi murami uśpionych domów, podobny nie tyle do drogi, ile raczej do krętej szczeliny.

Śmierć zatrzymał się przy brudnej sadzawce, zanurzył w niej rękę aż po ramię i wyciągnął nieduży worek z przywiązaną do niego cegłą. Dobył miecza, lśniącego w mroku jak błękitny płomień, i przeciął sznurek.

BARDZO SIĘ ZEZŁOŚCIŁEM, oznajmił.

Wytrząsnął worek. Mort widział, jak na bruk wyślizgują się żałosne strzępki mokrego futerka. Śmierć wyciągnął swój biały palec i pogładził je delikatnie.

Po chwili nad kociętami uniosło się coś podobnego do szarego dymu i uformowało w powietrzu trzy kociopodobne chmurki. Wydymały się co chwila, niepewne swojego kształtu, i mrugały na Morta zdziwionymi szarymi oczkami. Kiedy spróbował jednej dotknąć, dłoń przeszła na wylot i zamrowiła lekko.

W TYM FACHU NIE SPOTYKA SIĘ NAJLEPSZYCH Z LUDZI, mruknął Śmierć.

Dmuchnął na kociaka, który potoczył się wolno. Pełne wyrzutu miauknięcie brzmiało tak, jakby dobiegło z bardzo daleka i przez blaszaną rurę.

- To dusze, prawda? - spytał Mort. - A jak wyglądają ludzie?

SĄ CZŁEKOKSZTAŁTNI, wyjaśnił Śmierć. WSZYSTKO SPROWADZA SIĘ DO PODSTAWOWEJ, CHARAKTERYSTYCZNEJ POSTACI

MORFOGENETYCZNEJ.

Westchnął, jakby zaszeleścił całun, chwycił kociaki w powietrzu i starannie ukrył je gdzieś w mrocznych zakamarkach swojej szaty. Potem wyprostował się.

CZAS NA CURRY, rzekł.

W Ogrodach Curry, na rogu ulicy Boskiej i Krwawej Alei panował ścisk. Zbierała się tu śmietanka społeczeństwa... a przynajmniej ludzie, którzy unosili się na wierzchu, więc rozsądek kazał zwać ich śmietanką. Pachnące rośliny w doniczkach między stolikami niemal tłumiły naturalny zapach samego miasta, porównywany czasem do wężowego odpowiednika bucza mgłowego.

Mort jadł żarłocznie, ale powstrzymywał ciekawość i nie przyglądał się, w jaki sposób Śmierć może przyswajać pożywienie. Jedzenie z początku było na talerzu, a potem już go nie było, a zatem można chyba założyć, że w tym czasie coś się z nim działo. Mort miał uczucie, że Śmierć nie robi zwykle takich rzeczy, chce jednak poprawić mu samopoczucie - jak podstarzały wuj, stary kawaler, który dostał siostrzeńca na wakacje i boi się, żeby niczego nie zepsuć.

Inni goście nie zwracali na nich uwagi, nawet kiedy Śmierć oparł się wygodnie i zapalił pięknie rzeźbioną fajkę. Ignorowanie kogoś, komu dym wypływa przez oczodoły, wymaga pewnego wysiłku, wszystkim jednak się to udawało.

- Czy to czary?

A JAK MYŚLISZ, CHŁOPCZE?, spytał Śmierć. CZY RZECZYWIŚCIE TU JESTEM?

- Tak... - odparł niepewnie Mort. - Ja... Przyglądałem się ludziom.

Patrzą na pana, ale pana nie widzą. Tak mi się wydaje. Robi pan coś z ich umysłami.

Śmierć pokręcił głową.

ONI SAMI TO SOBIE ROBIĄ, wyjaśnił. NIE MA W TYM ŻADNYCH CZARÓW. LUDZIE NIE MOGĄ MNIE ZOBACZYĆ, PO PROSTU NIE POZWALAJĄ SOBIE NA TO. DO CZASU, NATURALNIE. MAGOWIE MNIE WIDZĄ. I KOTY. ALE PRZECIĘTNY CZŁOWIEK... NIE, NIGDY. Wydmuchnął kółko z dymu. DZIWNE, ALE PRAWDZIWE.

Mort obserwował, jak kółko unosi się ku niebu i wolno dryfuje w stronę rzeki.

- Ja pana widzę - rzekł.

TO CO INNEGO.

Pojawił się klatchiański kelner i położył przed Śmiercią rachunek. Mężczyzna był krępy i smagły, z fryzurą jak orzech kokosowy, który zmienił się w nową. Kiedy Śmierć skinął mu uprzejmie, na jego pyzatej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Potrząsnął głową jak ktoś, komu mydliny zalały uszy. Po czym odszedł.

Śmierć sięgnął w otchłanie swej szaty i wyjął sporą skórzaną sakiewkę pełną rozmaitych miedzianych monet, w większości pozieleniałych ze starości. Uważnie sprawdził rachunek. Potem odliczył kilkanaście miedziaków.

CHODŹ, powiedział. MUSIMY RUSZAĆ.

Mort podreptał za nim na ulicę, wciąż ruchliwą, choć na horyzoncie pojawiła się już pierwsza sugestia świtu.

- Co teraz zrobimy?

KUPIMY CI JAKIEŚ NOWE UBRANIE.

- To było nowe jeszcze dzisiaj... to znaczy wczoraj.

NAPRAWDĘ?

- Tato mówił, że ten sklep znany jest z taniej odzieży. - Mort biegł, żeby nie zostać w tyle.

UBÓSTWO JEST ZATEM JESZCZE BARDZIEJ PRZERAŻAJĄCE NIŻ SĄDZIŁEM.

Skręcili w szerszą ulicę prowadzącą do bardziej zamożnej części miasta: pochodnie stały tu gęściej, a sterty odpadków w większej odległości od siebie. Nie było straganów ani ulicznych handlarzy, ale solidne budynki z szyldami nad wejściem. Nie były to zwykłe sklepy, ale całe magazyny: miały własnych dostawców, krzesła i spluwaczki. Większość była otwarta nawet o tej porze, jako że typowy ankhiański kupiec nie może spać na myśl o pieniądzach, których nie zarabia.

- Czy tutaj w ogóle nie kładą się do łóżek? - zapytał Mort.

TO MIASTO, odparł Śmierć i pchnął drzwi do sklepu z odzieżą.

Kiedy wynurzyli się stamtąd po dwudziestu minutach, Mort miał na sobie dopasowaną czarną szatę z delikatnym srebrnym haftem, a kupiec patrzył niepewnie na garść antycznych miedziaków i zastanawiał się, skąd je właściwie wziął.

- Jak pan zdobywa te wszystkie monety? - zdziwił się Mort.

PARAMI.

Otwarty całą dobę cyrulik przyciął Mortowi włosy zgodnie z najnowszą modą obowiązującą wśród miejskiej młodzieży. Tymczasem Śmierć rozsiadł się w sąsiednim fotelu i nucił coś pod nosem. Ku swemu zaskoczeniu był w znakomitym nastroju.

Do tego stopnia, że po chwili zsunął z głowy kaptur i zerknął na ucznia cyrulika, który z tym niewidzącym, zahipnotyzowanym wyrazem twarzy, jaki Mort nauczył się już rozpoznawać, zawiązał mu pod szyją ręcznik.

SPRYSKAĆ WODĄ TOALETOWĄ I WYPOLEROWAĆ, MÓJ DO-

BRY CZŁOWIEKU.

Podstarzały mag, który na sąsiednim fotelu przycinał sobie brodę, zeszywniał słysząc te posępne, ołowiane dźwięki. Obejrzał się. A gdy Śmierć odwrócił się - dla lepszego efektu bardzo powoli - i uśmiechnął szeroko, zbladł i wymamrotał kilka ochronnych zaklęć.

Po kilku minutach, czując się trochę skrępowany i nagi nad uszami, Mort maszerował z powrotem do stajni, gdzie Śmierć zostawił konia. Spróbował nonszalanckiego kroku, jako że nowa fryzura i ubranie zdawały się tego wymagać. Nie całkiem mu wychodziło.

Mort zbudził się.

Leżał nieruchomo wpatrzony w sufit, a jego pamięć szybko odtworzyła poprzedni dzień i wszystkie wydarzenia skryształizowały się w umyśle niczym kostki lodu.

Nie mógł spotkać Śmierci. Nie mógł jeść kolacji w towarzystwie szkieletu o lśniących błękitnych oczach. To musiał być dziwny sen. Nie mógł jeździć na oklep na wielkim białym rumaku, który wbiegł kłusem na niebo, a potem ruszył...

...gdzie?

Odpowiedź napłynęła do mózgu z nieuchronnością wezwania podatkowego.

Tutaj.

Niepewne dłonie sięgnęły do ostrzyżonych włosów, potem zjechały w dół, do pościeli z jakiegoś śliskiego materiału. O wiele cieńszego niż wełna, jakiej używali w domu, szorstka i zawsze trochę pachnąca owcami. Ta tkanina była w dotyku jak ciepły, suchy lód.

Szybko poderwał się z łóżka i zbadał wzrokiem pokój.

Przede wszystkim był duży, większy niż cały dom w rodzinnej wiosce. I suchy, suchy niby wiekowe grobowce pod starożytną pustynią. Powietrze smakowało, jakby ktoś gotował je całymi godzinami, a potem zaczekał, aż wystygnie. Dywan pod stopami był tak gruby, że mógłby ukryć całe plemię Pigmejów, a kiedy Mort po nim chodził, materiał wydawał elektryczne trzaski. Wszystko zaś mieniło się odcieniami fioletu i czerni.

Spojrzał na siebie: był ubrany w długą, białą nocną koszulę. Starannie złożone ubranie leżało na krześle obok łóżka. Krzesło - nie mógł tego nie zauważyć - było delikatnie rzeźbione w motyw czaszki i kości.

Mort usiadł na skraju łóżka i zaczął się ubierać. Myśli tłukły się po jego głowie jak oszalałe.

Ostrożnie uchylił ciężkie dębowe drzwi i poczuł się dziwnie rozczarowany, gdy nie zatrzeszczały złowieszczo.

Za drzwiami rozciągał się pusty, wyłożony drewnem korytarz. Grube żółte świece płonęły w lichtarzach na ścianie. Mort wysunął się cicho i ruszył wzdłuż niej na palcach. Po chwili natrafił na schody. Pokonał je sprawnie, nie spotykając niczego potwornego. Dotarł w ten sposób do miejsca, które wyglądało jak korytarz z mnóstwem drzwi. Było tu sporo czarnych, pogrzebowych kotar i szafkowy zegar, którego tykanie przypominało bicie serca góry. Obok ktoś ustawił stojak na parasole.

A w stojaku tkwiła kosa.

Mort przyjrzał się kolejno wszystkim drzwiom. Wydawały się ważne. Na framugach wyrzeźbiono znajomy już motyw czaszki i kości. Podszedł do najbliższych i wtedy za jego plecami rozległ się jakiś głos.

- Nie wolno ci tam wchodzić, chłopcze.

Kilka sekund minęło, zanim zdał sobie sprawę, że słowa nie zabrzmiały w umyśle, ale że słyszy prawdziwy ludzki głos powstały w krtani i przeniesiony do jego uszu wygodnym systemem drgań powietrza, tak jak

zaplanowała natura. Natura zadała sobie sporo trudu, by zabrzmiało te sześć słów, wypowiedzianych nieco złośliwym tonem.

Odwrócił się. Za nim stała dziewczyna, mniej więcej jego wzrostu i może o kilka lat starsza. Miała srebrzyste włosy, oczy lśniące perłowo i ciekawą, choć raczej niepraktyczną suknię, jaką zwykle noszą tragiczne heroiny, które przypinają do łona pojedynczą różę i spoglądają w zadumie na księżyc. Szkoda, że Mort nigdy nie słyszał określenia „prerafaelicka”, ponieważ pasowałoby ono niemal doskonale. Co prawda takie dziewczęta są zwykle wiotkie, niemal półprzezroczyste, ta natomiast sugerowała raczej czekoladki spożywane w zbyt dużych ilościach.

Przyglądała mu się, przechylając głowę w bok i z irytacją stukając stopą o podłogę. Nagle wyciągnęła rękę i mocno uszczypnęła go w ramię.

- Au!

- Hmm... Rzeczywiście jesteś prawdziwy - stwierdziła. - Jak ci na imię, chłopcze?

- Mortimer. Wołają mnie Mort - odparł, rozcierając rękę. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Będę cię nazywała Chłopcem - oświadczyła. - I chyba sam rozumiesz, że nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Ale skoro już chcesz wiedzieć, to myślałam, że jesteś martwy. Wyglądasz na martwego. Mort milczał.

- Straciłeś mowę?

Mort tymczasem liczył do dziesięciu.

- Nie jestem martwy - powiedział w końcu. - Przynajmniej nie wydaje mi się. Trudno to wytłumaczyć. A kim ty jesteś?

- Możesz mnie nazywać panienką Ysabell - oznajmiła wyniośle. - Ojciec mówił, że musisz coś zjeść. Chodź za mną.

Ruszyła ku innym drzwiom. Mort podążył za nią w odległości akurat odpowiedniej, żeby zamykając się uderzyły go w łokieć.

Za drzwiami była kuchnia - długa, niska i ciepła, z miedzianymi patelniami zwisającymi u sufitu i ogromnym żelaznym piecem zajmującym całą ścianę. Przed piecem stał jakiś staruszek, smażył jajka na bekonie i pogwizdywał przez zęby.

Zapach z drugiego końca kuchni pobudził kubeczki smakowe Morta sugerując, że jeśli tylko wezmą się w garść, mogą naprawdę nieźle się zabawić. Mort zauważył, że idzie naprzód, chociaż nie dyskutował o tym z nogami.

- Albercie - warknęła Ysabell. - Jeszcze jeden na śniadanie. Mężczyzna obejrzał się powoli i skinął jej bez słowa. Dziewczyna spojrzała na Morta.

- Można by się spodziewać - oświadczyła - że mając do wyboru chłopców z całego Dysku, ojciec znajdzie kogoś lepszego niż ty. Trudno, musisz wystarczyć.

Wymaszerowała dumnie, z kuchni, trzaskając za sobą drzwiami.

- Muszę wystarczyć na co? - zapytał Mort, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

W pomieszczeniu panowała cisza, zakłócana tylko skwierczeniem patelni i trzaskiem węgla w gorącym sercu pieca. Mort zauważył na klapie piekarnika napis „Mały Moloch (Pat.)”.

Kucharz nie zwracał na niego uwagi, więc przysunął sobie krzesło i usiadł przy wyszorowanym do białości stole.

- Pieczarki? - zapytał staruszek nie odwracając głowy.

- Hm... Co?

- Pytałem, czy chcesz z pieczarkami.

- A tak... Przepraszam. Nie, dziękuję.

- Jak sobie życzysz, młody paniczku.

Odwrócił się i ruszył do stołu.

Nawet kiedy już się przyzwyczaił, Mort zawsze wstrzymywał oddech widząc idącego Alberta. Sługa Śmierci należał do tych chudych mężczyzn ze szpiczastymi nosami, którzy zawsze wyglądają, jakby nosili zamszowe rękawiczki - nawet kiedy nie noszą. Jego chód składał się z serii skomplikowanych poruszeń. Albert pochylał się do przodu, a jego lewe ramię zaczynało się przesuwając, z początku wolno, ale natychmiast nabierając prędkości; i nagle, kiedy obserwator spodziewał się już, że odpadnie na wysokości łokcia, przesunęło się w dół, wzdłuż ciała do nóg, popychając właściciela naprzód niby sprintera o kulach. Patelnia zakreśliła w powietrzu ciąg skomplikowanych krzywych, by wreszcie znieruchomiec tuż nad talerzem Morta.

Albert oczywiście nosił akurat takie półokrągłe okulary, by mógł spoglądać ponad szklami.

- Możesz dostać jeszcze owsiankę na dokładkę - oznajmił i mrugnął, najwyraźniej włączając Morta do ogólnoswiatowego owsiankowego spisku.

- Przepraszam bardzo - odezwał się Mort. - Ale gdzie ja właściwie jestem?

- Nie wiesz? To domostwo Śmierci, mój chłopcze. Przywiózł cię tu wczoraj w nocy.

- Ja... coś jakby pamiętam. Tylko że...

- Tak?

- Jajka na bekonie - wyjaśnił niepewnie Mort. - Jakoś nie wydają się, no... odpowiednie.

- Mam jeszcze trochę kaszanki - zaproponował Albert.

- Nie o to chodzi... - Mort zawahał się. - Po prostu jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak siada nad talerzem smażonego bekonu. Albert uśmiechnął się.

- Nie robi tego, mój chłopcze. W każdym razie na ogół nie. Dla Śmierci

bardzo łatwo jest gotować. Szykuje jedzenie tylko dla siebie i... - Urwał na moment. - I dla panienki, naturalnie.

Mort skinął głową.

- To pańska córka?

- Moja? Ha! - zawołał Albert - Mylisz się. Jego.

Mort popatrzył na sadzone jajka. Spoglądały na niego z kałuży tłuszczu. Albert słyszał o zasadach zdrowego żywienia, ale postanowił się nimi nie przejmować.

- Czy mówimy o tej samej osobie? - spytał w końcu. - Wysoki, nosi się na czarno, trochę... no, chudy...

- Adoptowana - wyjaśnił łagodnie Albert. - To długa historia... Dzwonek brzęknął mu nad głową.

- ...która będzie musiała poczekać. Chce cię widzieć w swojej pracowni. Na twoim miejscu bym się pospieszył. Nie lubi czekać. To chyba zrozumiałe. Po schodach i pierwsze drzwi na lewo. Na pewno trafisz.

- Na drzwiach jest czaszka i kości? - Mort odsunął krzesło.

- One są na wszystkich drzwiach - westchnął Albert. - To taki kaprys. Nic ważnego z tego nie wynika.

Pozostawiwszy śniadanie, by krzepło w spokoju, Mort wbiegł po schodach, ruszył korytarzem i stanął przed pierwszymi drzwiami. Podniósł dłoń, żeby zapukać.

WEJŚĆ.

Gałka przekręciła się sama. Drzwi uchyliły się do wnętrza.

Śmierć siedział za biurkiem i z uwagą przeglądał księgę w skórzanej oprawie, większą niemalże niż samo biurko. Podniósł głowę, kiedy wszedł Mort, kościstym palcem zaznaczając miejsce, gdzie czytał. Uśmiechnął się.

Nie miał właściwie wyboru.

ACH, zaczął i urwał. Potem podrapał się w podbródek, z dźwiękiem jakby ktoś przeciągnął paznokciem po grzebieniu.

KIM JESTEŚ, CHŁOPCZE?

- Mort, proszę pana - odparł Mort. - Pański terminator. Pamięta pan?

Śmierć przyglądał mu się przez chwilę. A potem błękitne punkciki oczu znowu skierowały się na księgę.

A TAK, powiedział. MORT. NO CÓŻ, MÓJ CHŁOPCZE, CZY SZCZERZE PRAGNIESZ POZNAĆ NAJGŁĘBSZE TAJEMNICE CZASU I PRZESTRZENI?

- Owszem, proszę pana. Tak sędzę.

DOBRZE. STAJNIA JEST NA TYŁACH. ŁOPATA WISI ZARAZ PRZY WEJŚCIU.

Opuścił głowę. Podniósł głowę. Mort nawet nie drgnął.

CZY JAKIMŚ CUDEM NIE ZDOŁAŁEŚ POJAĆ MOICH SŁÓW?

- Nie do końca, proszę pana.

GNÓJ, MÓJ CHŁOPCZE. ALBERT MA W OGRODZIE STOS KOMPOSTU. PRZYPUSZCZAM, ŻE GDZIEŚ W GOSPODARSTWIE ZNAJDZIESZ TACZKI. BIERZ SIĘ DO ROBOTY.

Mort smętnie pokiwał głową.

- Tak, proszę pana. Rozumiem, proszę pana. Proszę pana?

SŁUCHAM.

- Nie bardzo pojmuję, jaki to ma związek z tajemnicami czasu i przestrzeni.

Śmierć nie podniósł głowy znad księgi.

TO DLATEGO, rzekł, PRZYBYŁEŚ TU PO NAUKĘ.

To znany fakt, że chociaż Śmierć Świata Dysku jest, według własnych słów, ANTROPOMORFICZNĄ PERSONIFIKACJĄ, już dawno zrezygnował z używania tradycyjnych, szkieletowych wierzchowców. Zbyt często musiał się zatrzymywać i mocować drutem różne elementy. Teraz jego konie to rumaki z krwi i kości, najczystszej krwi.

I, jak Mort się przekonał, bardzo dobrze karmione.

Praca nie dawała szczególnej satysfakcji, ale przynajmniej było ciepło i technikę dało się opanować bez problemu. Po chwili chłopiec wszedł w rytm i zaczął rozgrywać osobistą, pomiarową grę, którą zajmuje się niemal każdy w podobnych okolicznościach. Policzmy, myślał. Zrobiłem już prawie ćwiartkę, powiedzmy jedną trzecią, więc kiedy skończę tamten kąt przy paśniku, to będzie już ponad połowa, powiedzmy pięć ósmych, czyli jeszcze trzy taczki... Taka zabawa do niczego nie prowadzi, tyle że o wiele łatwiej stanąć wobec przytłaczającego splendoru wszechświata, jeśli jest on podzielony na małe kawałeczki.

Koń przyglądał mu się ze swojej zagrody. Od czasu do czasu przyjaźnie usiłował zjeść mu włosy.

Po chwili Mort zdał sobie sprawę, że obserwuje go ktoś jeszcze. Ta dziewczyna, Ysabell, oparła się o zamkniętą dolną połówkę wrót, podpierając dłonią brodę.

- Jesteś służącym? - spytała. Mort wyprostował się.

- Nie - oświadczył. - Jestem uczniem.

- To głupie. Albert mówi, że nie możesz być uczniem.

Mort skoncentrował się na przerzucaniu do taczek kolejnych łopat. Jeszcze dwie łopaty, powiedzmy trzy, jeśli dobrze ubić, a to znaczy jeszcze cztery taczki, no dobrze, niech będzie pięć, a będę już w połowie drogi do...

- On mówi - ciągnęła Ysabell nieco głośniej - że uczniowie stają się mistrzami, a przecież może być tylko jeden Śmierć. Jesteś zatem służącym i musisz robić to, co ci powiem...

...a potem jeszcze osiem taczek i będę już przy wrotach, a to prawie dwie trzecie całej stajni, czyli...

- Słyszysz, co do ciebie mówię, chłopcze?

Mort kiwnął głową. A potem jeszcze czternaście taczek, może lepiej piętnaście, bo nie wymiotłem porządnie w rogu, i...

- Zapomniałeś języka?

- Mort - przypomniał łagodnie Mort. Spojrzała na niego wściekle.

- Co?

- Mam na imię Mort - wyjaśnił. - Albo Mortimer. Większość nazywa mnie Mortem. Chciałaś ze mną o czymś porozmawiać?

Przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Spoglądała na przemian to na jego twarz, to na łopatę.

- Tylko że jestem zajęty - dodał Mort. Wtedy wybuchła.

- Po co tu przybyłeś? Po co ojciec cię sprowadził?

- Wziął mnie do terminu z jarmarku rzemiosł. Wszyscy chłopcy do kogoś trafili. Ja też.

- A chciałeś iść do terminu? - warknęła. - Przecież to Śmierć, sam wiesz. Posepny Kosiarz. Jest bardzo ważny. To nie ktoś, kim się zostaje, ale ktoś, kim się jest.

Mort machnął ręką w stronę taczek.

- Przypuszczam, że wszystko dobrze się skończy - odrzekł. - Mój ojciec zawsze powtarza, że tak zwykle bywa.

Chwycił łopatę i odwrócił się. Uśmiechnął się do końskiego zadu słysząc, jak Ysabell parska gniewnie i odchodzi.

Uczciwie obrabiał kolejne szesnaste, ósme, czwarte i trzecie części, popychając taczki do pryzmy pod jabłonią.

Ogród Śmierci był ładny i zadbany. Był także zupełnie czarny. Trawa była czarna. Kwiaty czarne. Czarne jabłka połyskiwały między czarnymi liśćmi czarnej jabłoni. Nawet powietrze przypominało atrament.

Po pewnym czasie Mort odniósł wrażenie, że dostrzega... nie, przecież nie mógł sobie tego wyobrazić... różne barwy czerni.

Nie bardzo ciemne odcienie czerwieni i zieleni czy czegokolwiek, ale rozmaite odcienie czerni. Pełne widmo kolorów, wszystkie różne i wszystkie... no, czarne. Wyrzucił ostatni ładunek, odstawił na miejsce taczki i wrócił do domu.

WEJŚĆ.

Śmierć stał za pulpitem i studiował mapę. Spojrzał na Morta nieobecny wzrokiem.

NIE SŁYSZAŁEŚ PRZYPADKIEM O ZATOCE MANTE?, zapytał.

- Nie, proszę pana.

SŁYNNNA KATASTROFA MORSKA.

- Zdarzyła się tam?

ZDARZY, wyjaśnił Śmierć, JEŚLI TYLKO ZNAJDĘ TO PRZEKŁĘTE MIEJSCE.

Mort obszedł pulpit dookoła i spojrzał na mapę.

- Ma pan tam zatopić statek? - spytał. Śmierć wydawał się wstrząśnięty.

WYKLUCZONE. WYSTĄPI POŁĄCZENIE BŁĘDÓW W SZTUCE ŻEGLARSKIEJ, PŁYTKICH WÓD I PRZECIWNEGO WIATRU.

- Straszne. Wielu ludzi utonie?

TO SPRAWA LOSU, rzekł Śmierć, sięgnął do biblioteczki i wyjął ciężki słownik geograficzny. W TEJ SPRAWIE NIC NIE MOGĘ ZROBIĆ. CO TO ZA ZAPACH?

- To ja - wyjaśnił z prostotą Mort.

A TAK STAJNIA. Śmierć znieruchomiał z dłonią na grzbiecie książki. A JAK MYŚLISZ, DLACZEGO POSŁAŁEM CIĘ DO STAJNI? ZASTANÓW SIĘ DOBRZE.

Mort zawahał się. Myślał o tym w przerwach między liczeniem tacek. Nie był pewien, czy miało to poprawić koordynację wzroku i pewność ręki, nauczyć go posłuszeństwa, uświadomić wagę - w ludzkiej skali - drobnych zadań, czy może pokazać, że ludzie wielcy zaczynają od samego dołu. Żadne z tych wyjaśnień nie wydawało się całkiem prawidłowe.

- Myślę... - zaczął.

TAK?

- No więc prawdę mówiąc myślę, że to dlatego, bo brnął pan po kolana w końskim gnoju.

Śmierć przyglądał mu się przez chwilę. Mort niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

MASZ ABSOLUTNĄ RACJĘ, rzucił Śmierć. LOGIKA ROZUMOWANIA. REALISTYCZNE PODEJŚCIE DO ŚWIATA. BARDZO WAŻNE W TAKIM ZAWODZIE JAK NASZ.

- Tak, proszę pana. Proszę pana?

SŁUCHAM?, Śmierć zmagał się z indeksem.

- Przecież ludzie umierają bez przerwy, prawda? Miliony ludzi. Musi pan być bardzo zapracowany. Ale...

Śmierć obrzucił Morta wzrokiem, który chłopiec zaczynał już uważać za znajomy. Zaczynał od całkowitego zaskoczenia, na krótko migotał irytacją, zatrzymywał się przez moment przy zrozumieniu i wreszcie kończył lekkim pobyżaniem.

ALE?

- Zdawało mi się, że powinien pan, no, trochę częściej wyjeżdżać. Wie pan. Krążyć po ulicach. Moja babcia miała almanach i tam był pana portret z kosą i w ogóle.

ROZUMIEM. OBAWIAM SIĘ, ŻE TRUDNO TO WYTŁUMACZYĆ, CHYBA ŻE ORIENTUJESZ SIĘ WINKARNACJI PUNKTOWEJ I OGNIKOWANIU WĘZŁÓW. CHYBA SIĘ NIE ORIENTUJESZ?

- Nie sędzę.

OGÓLNIIE RZECZ BIORĄC, POWINIENEM ZJAWIĄĆ SIĘ OSOBIŚCIE JEDYNIIE PRZY SPECJALNYCH OKAZJACH.

- Jak król - domyślił się Mort. - To znaczy, król włada nawet wtedy, kiedy robi coś innego albo śpi. O to panu chodziło?

MNIIEJ WIĘCEJ, zgodził się Śmierć, zwijając mapę. A TERAZ, CHŁOPCZE, JEŚLI SKOŃCZYŁEŚ JUŻ W STAJNI, ZAJRZYJ DO ALBERTA I SPYTAJ, CZY NIE ZNAJDZIE CI JAKIEGOŚ ZAJĘCIA. GDYBYŚ CHCIAŁ, MÓGLBYŚ WYRUSZYĆ ZE MNĄ DZIŚ WIECZOREM.

Mort kiwnął głową. Śmierć wrócił do wielkiej, oprawnej w skórę księgi, wziął pióro, przyglądał mu się przez chwilę, a potem przechylił głowę na bok i popatrzył na Morta.

POZNAŁEŚ JUŻ MOJĄ CÓRKĘ?, zapytał.

- Ee... Tak, proszę pana - odparł Mort z ręką na klawecie.

TO BARDZO MIŁA DZIEWCZYNA, ALE MYŚLĘ, ŻE PRZYDAŁ-BY SIĘ JEJ KTOŚ WJEJ WIEKU, Z KIM MOGŁABY POROZMAWIAĆ.

- Na pewno.

NO I OCZYWIŚCIE PEWNEGO DNIA TO WSZYSTKO BĘDZIE NALEŻEĆ DO NIEJ.

Coś podobnego do małej błękitnej supernowej rozbłysło na moment w głębi jego oczodołów. Mort uświadomił sobie, że z niejakim zakłopotaniem i całkowitym brakiem doświadczenia Śmierć próbował mrugnąć.

W pejzażu, który niczego nie zawdzięczał czasowi i przestrzeni, który istniał tylko na dalekich rubieżach wielowarstwowego kosmosu znanych jedynie astrofizykom biorącym naprawdę ostre prochy, Mort spędził popołudnie pomagając Albertowi sadzić brokuły. Były czarne z odcieniem fioletowym.

- On się stara, rozumiesz - powiedział Albert, zataczając krąg kołkiem.
- Tylko gdy chodzi o kolory, wyobraźnia mu nie dopisuje.

- Nie całkiem to wszystko rozumiem - wyznał Mort. - Mówił pan, że on to wszystko zrobił?

Za ogrodowym murem grunt opadał ku dolinie, potem wznosił się i przez wrzosowiska sięgał aż do łańcucha gór, ostrych jak zęby kota.

- Tak, potwierdził Albert. - Uważaj, co robisz z tą konewką.

- A co tu było wcześniej?

- Nie wiem. - Albert rozpoczął nową grządkę. - Pewno firmament To wymyślna nazwa na masę niczego. Wyznam ci szczerze, że nie jest to porządna robota. To znaczy owszem, ogród niby niczego sobie, ale góry całkiem spartaczył. Z bliska są zupełnie nieostre. Kiedyś poszedłem tam i obejrzałem je sobie.

Mort mrużąc oczy przyjrzał się najbliższym drzewom. Wyglądały całkiem realnie.

- A po co to wszystko zrobił? - zapytał.

- Wiesz, co się przytrafia chłopcom, którzy stawiają za dużo pytań? - burknął ponuro Albert Mort zastanowił się.

- Nie - powiedział w końcu. - A co?

Zapadła cisza. Po chwili starzec wyprostował się.

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie uzyskują odpowiedzi i mają za swoje.

- Powiedział, że mogę dzisiaj z nim pojechać - oznajmił Mort.

- W takim razie masz szczęście - stwierdził niezbyt jasno Albert i ruszył do domu.

- Czy on naprawdę zrobił to wszystko? - spytał Mort, wlokąc się za nim.

- Tak.

- Po co?

- Chyba chciał gdzieś czuć się u siebie.

- Czy pan jest martwy, Albercie?

- Ja? A czyja wyglądam na martwego? - Staruszek parsknął, gdy Mort zaczął mu się krytycznie przyglądać. - Możesz sobie darować te spojrzenia.

Jestem równie żywy jak ty. Pewnie nawet bardziej.

- Przepraszam.

- Drobiazg. - Albert otworzył kuchenne drzwi, obejrzał się i przyjrzał

Mortowi najłagodniej jak potrafił. - Lepiej nie zadawaj takich pytań. To denerwuje ludzi. A teraz może odsmażymy sobie coś na kolację?

Dzwonek odezwał się, kiedy grali w domino. - Chce, żeby przygotować konia - domyślił się Albert. - Chodźmy.

Wyszli do stajni. Mort przyglądał się, jak starzec zarzuca siodło na grzbiet rumaka.

- Ma na imię Pimpus - wyjaśnił Albert, dociągając popręg. - Trudno powiedzieć dlaczego.

Pimpus przyjaźnie spróbował zjeść jego szalik.

Mort przypomniał sobie rycinę w almanachu swojej babci, między stronami o sadzeniu roślin i o fazach księżyca. Pokazywała, jak Śmierć, Wielki Naprawiacz Krzywd, Przybywa Po Każdego z Ludzi. Oglądał ten obrazek setki razy, kiedy uczył się czytać. Nie robiłby tak silnego wrażenia, gdyby stało się rzeczą powszechnie wiadomą, że ziejący płomieniem koń, którego dosiada widmo, nazywa się Pimpus.

- Moim zdaniem bardziej pasowałby Sztych, Miecz albo Heban - mówił dalej Albert - Ale pan miewa swoje drobne kaprysy. Nie możesz się pewnie doczekać, co?

- Chyba nie - przyznał niepewnie Mort. - Nigdy nie widziałem Śmierci przy pracy.

- Niewielu widziało. W każdym razie nie dwukrotnie. Mort nabrał tchu.

- A ta jego córka... - zaczął.

OHO! DOBRYWIECZÓR, ALBERCIE. I TOBIE, CHŁOPCZE.

- Mort - poprawił odruchowo Mort.

Śmierć wkroczył do stajni, pochylając się lekko, by nie uderzyć o framugę. Albert skinął mu głową, jednak nie służalczo, jak zauważył Mort, ale ze zwykłej uprzejmości. Mort widział już jednego czy dwóch służących, podczas tych rzadkich okazji, kiedy ojciec zabierał go do miasteczka. Albert wcale ich nie przypominał. Zachowywał się tak, jakby dom należał do niego, a właściciel był tylko gościem - kimś, kogo trzeba tolerować niby łuszczącą się farbę albo pająki w wygodce. Śmierć znosił to, jakby on i Albert już bardzo dawno powiedzieli sobie wszystko, co należało powiedzieć, a teraz byli zadowoleni, że mogą bez kłopotów wykonywać swoje obowiązki. Mortowi przypominało to spacer w chwilę po naprawdę potężnej burzy - wszystko wyglądało świeżo, nie było niczego szczególnie nieprzyjemnego, ale czuło się, że niedawno wyładowały się potężne energie.

Mort w myśli dopisał zagadkę Alberta do listy spraw nie wyjaśnionych.

POTRZYMAJ, rzucił Śmierć, wręczył chłopcu kosę i wskoczył na Pimpusia.

Kosa wyglądała całkiem zwyczajnie... oprócz ostrza. Było tak cienkie, że Mort mógł przez nie patrzeć: bladobłękitne migotanie w powietrzu, które mogłoby rozciąć płomień albo przerąbać głos. Trzymał ją bardzo ostrożnie.

W PORZĄDKU, CHŁOPCZE, rzekł Śmierć. WSKAKUJ. NIE CZEKAJ NA NAS, ALBERCIE.

Koń wyszedł na dziedziniec, a potem na nieboskłon.

Powinien nastąpić błysk, gwiazdy powinny rozmyć się w jasne smugi. Powietrze powinno zawirować i zapłonąć pędzącymi iskrami, jak to zwykle bywa przy normalnych, codziennych przeskokach hiperprzestrzennych. Ale to był Śmierć, który opanował sztukę przemieszczania się bez ostentacji i potrafił się prześliznąć między wymiarami równie łatwo jak przez zamknięte

drzwi. Jechali lekkim galopem w kanionach chmur, obok wielkich, skłębionych gór cumulusów. I wreszcie mgły rozstały się przed nimi. W dole leżał Dysk zalany promieniami słońca.

CZAS DAJE SIĘ DOPASOWAĆ, wyjaśnił Śmierć, gdy Mort zwrócił mu na to uwagę. TAK NAPRAWDĘ WCALE NIE JEST ISTOTNY

- Zawsze myślałem, że jest.

LOUDZIE TYLKO DLATEGO UWAŻAJĄ, ŻE JEST WAŻNY, BO SAMI GO WYMYŚLILI, stwierdził niechętnie Śmierć.

Mort uznał tę uwagę za zaskakującą, ale postanowił się nie spierać.

- Co teraz będziemy robić?

TRWA BARDZO OBIECUJĄCA WOJNA W KLATCHISTANIE. MAMY KILKA OGNISK ZARAŻY ORAZ JEDNO DOŚĆ WAŻNE SKRYTOBÓJSTWO. CO WOLISZ?

- Morderstwo?

TAK. KRÓLA.

- Ach, królowie - mruknął obojętnie Mort. Znał się na królach. Raz w roku przybywała do Owczej Wólki trupa wędrownych aktorów, a w każdym razie aktorów przechadzających się. Wystawiali sztuki, w których na ogół mowa była o królach. Królowie zawsze zabijali się nawzajem albo bywali zabijani. Intrygi były złożone, dotyczyły błędnej tożsamości, trucizn, bitew, czarownic i zwykle całej masy sztyletów. To oczywiste, że funkcja króla nie jest niczym przyjemnym. Zadziwiające, że połowa obsady usiłowała zdobyć to stanowisko. Mort wyobrażał sobie życie na zamku nieco mgliście, przypuszczał jednak, że nikt się tam nie wysypia.

- Chciałbym zobaczyć prawdziwego króla - oświadczył. - Babcia mówiła, że przez cały czas noszą korony. Nawet kiedy idą do ubikacji.

Śmierć zastanowił się głęboko.

NIE MA TECHNICZNYCH POWODÓW, DLA KTÓRYCH NIE MIELIBY TEGO ROBIĆ, przyznał. JEDNAK Z MOICH OBSERWACJI WYNIKA, ŻE NA OGÓŁ SIĘ TAK NIE DZIEJE.

Koń zawrócił i rozległa szachownica pól na równinie Sto pomknęła w dole z szybkością błyskawicy. Znajdowali się nad żyzną lessową krainą, falistymi polami kapusty i małymi państwkami, których granice wiły się niczym węże, gdy krótkie, formalne wojny, układy małżeńskie, złożone koalicje, a czasem nieudolna kartografia zmieniały polityczne oblicze tej ziemi.

- Ten król... - zapytał Mort, kiedy przesunął się w dole las. - Jest dobry czy zły?

NIGDY NIE ZAJMUJĘ SIĘ ROZSTRZYGANIEM TAKICH KWESTO, odparł Śmierć. SĄDZĘ, ŻE NIE GORSZY OD INNYCH KRÓLÓW.

- Czy skazywał ludzi na śmierć? - A przypomniawszy sobie, do kogo mówi, dodał szybko: - Nie urażając pana, naturalnie.

CZASAMI, KIEDY JESTEŚ KRÓLEM, MUSISZ ROBIĆ PEWNE RZECZY.

Pod nimi sunęło miasto. Otaczało zamek zbudowany na skale, sterczącej nad równiną niczym geologiczny wąż. Była to skała z dalekich Ramtopów, wyjaśnił Śmierć, pozostawiona tu przez cofający się lód w tych legendarnych czasach, kiedy Lodowi Giganci prowadzili wojnę z bogami i pędzili swoje lodowce, próbując zamrozić cały świat. W końcu jednak zrezygnowali i zagnali te migotliwe stada z powrotem do krain ukrytych za ostrymi grzbietami gór wokół Osi. Nikt na równinach nie wiedział, dlaczego to robili. Młodsza generacja mieszkańców Sto Lat, miasta wokół skały, przypuszczała, że po prostu straszliwie im się nudziło.

Pimpuś truchtem opuścił się w dół i wylądował na najwyższej wieży zamku. Śmierć zsiadł i polecił Mortowi poszukać worka z owsem.

- Czy ludzie nie zauważą, że stoi tam koń? - przestraszył się Mort,

kiedy szli już schodami w dół.

A CZY UWIERZYŁBYŚ, ŻE NA SZCZYCIE TEJ WIEŻY JEST KONIEC?

- Nie. Nie da się go wprowadzić po tych schodach.

A ZATEM?

- Aha, rozumiem. Ludzie nie chcą widzieć tego, co nie może naprawdę istnieć.

BARDZO DOBRZE.

Szli teraz szerokim korytarzem o ścianach zawieszonych gobelinami. Śmierć sięgnął pod szatę, wydobył klepsydrę i przyjrzał się jej uważnie w słabym świetle.

Była to piękna sztuka, ze szkłem ciętym w złożone fasety i uwięzionym w ozdobnej klatce z drewna i mosiądzu. Głęboko wyryto w metalu słowa „Król Olerve Bastard”.

Piasek wewnątrz dziwnie połyskiwał. Niewiele go już zostało.

Śmierć zanucił coś cicho i schował klepsydrę w tajemnicze głąbie, które przedtem zajmowała.

Skręcili za róg i zderzyli się ze ścianą dźwięków. Salę wypełniali ludzie, pod chmurą dymów i obłokiem rozmów wznoszących się aż do nawiedzanych sztandarami cieni pod sklepieniem. Na galerii trójka minstreli starała się jak mogła, by dać się słyszeć. Bez sukcesów.

Pojawienie się Śmierci nie wzbudziło zainteresowania. Żołnierz przed drzwiami spojrzał w jego stronę, rozdziawił usta, po czym obojętnie zmarszczył brwi odbiegając myślą gdzie indziej. Kilku dworaków zerknęło na przybysza, a ich oczy rozogniskowały się natychmiast, gdy tylko zdrowy rozsądek zawładnął pięcioma zmysłami.

MAMY JESZCZE PARĘ MINUT, rzekł Śmierć, zdejmując kielich z

tacy mijającego ich lokaja. MOŻEMY SIĘ ROZERWAĆ.

- Przecież oni mnie też nie widzą! - zawołał Mort. - A ja jestem prawdziwy.

RZECZYWISTOŚĆ NIE ZAWSZE JEST TYM, CZYM SIĘ WYDAJE, stwierdził Śmierć. POZA TYM, JEŚLI NIE CHCĄ WIDZIEĆ MNIE, TO TYM BARDZIEJ NIE CHCĄ ZAUWAŻYĆ CIEBIE. TO SĄ ARYSTOKRACI, CHŁOPCZE. MAJĄ WPRAWĘ W NIEDOSTRZEGANIU RÓŻNYCH RZECZY. DLACZEGO W TYM DRINKU PŁYWA WIŚNIA NA PATYCZKU?

- Mort - mruknął odruchowo Mort.

PRZECIEŻ WCALE NIE POPRAWIA SMAKU. DLACZEGO KTOŚ MIAŁBY BRAĆ ZUPEŁNIE DOBREGO DRINKA I WRZUCAĆ DO NIEGO WIŚNIĘ NA KIJKU?

- Co teraz będzie? - zapytał Mort.

Podstarzały hrabia zderzył się z jego łokciem, rozejrzał się wokół, jedynie chłopca omijając wzrokiem, wzruszył ramionami i odszedł.

ALBO WEŻMY COŚ TAKIEGO. Śmierć chwycił kanapkę. PIECZARKI - OWSZEM, KURCZAK - JAK NAJBARDZIEJ, SER - DOSKONAŁE. NIE MAM NIC PRZECIWKO NIM, ALE DLACZEGO W IMIĘ ROZSĄDKU MIESZAĆ JE ZE SOBĄ I WKŁADAĆ W TE MAŁE POJEMNICZKI Z CIASTA?

- Słucham?

TO WŁAŚNIE CALI ŚMIERTELNICY, kontynuował Śmierć. MAJĄ TYLKO PARĘ LAT NA TYM ŚWIECIE, A POŚWIĘCAJĄ JE NA KOMPLIKOWANIE NAJPROSTSZYCH SPRAW. FASCYNUJĄCE. POCZĘSTUJ SIĘ KORNISZONEM.

- Gdzie jest król? - zapytał Mort.

TO TEN ZE ZŁOTĄ BRODĄ.

Śmierć stuknął lokaja w ramię, a kiedy mężczyzna obejrzał się ze zdziwieniem, sprawnie zdjął mu z tacy kolejnego drinka.

Mort odwrócił się zaciekawiony. Zauważył władcę w niewielkiej grupie gości pośrodku tłumu. Pochylał lekko głowę, by lepiej słyszeć, co mówi do niego dość niski dworzanin. Król był wysoki, mocno zbudowany, miał spokojną, pocziwą twarz człowieka, od którego bez wahania można kupić używanego konia.

- Nie wygląda na złego króla. Dlaczego ktoś miałby go zabić?

WIDZISZ TEGO CZŁOWIEKA OBOK? Z MAŁYM WĄSIKIEM I JASZCZURCZYM UŚMIECHEM? Śmierć wskazał kosą.

- Tak?

TO JEGO KUZYN, DIUK STO HELIT. NIE JEST NAJMILSZYM Z LUDZI. ZAWSZE MA POD RĘKĄ BUTELKĘ TRUCIZNY. W ZESZŁYM ROKU JESZCZE PIĄTY W KOLEJCE DO TRONU, A TERAZ DRUGI. MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE SZYBKO SIĘ WSPINA.

Śmierć sięgnął pod szatę i wydobył klepsydrę, w której czarny piasek przesypywał się między uchwytami z żelaznych ostrzy. Potrząsnął nią na próbę.

POŻYJE JESZCZE TRZYDZIEŚCI, NAWET TRZYDZIEŚCI PIĘĆ LAT. Westchnął smętnie.

- I tak sobie zabija ludzi? - zdziwił się Mort. - Nie ma sprawiedliwości.

Śmierć westchnął znowu.

NIE, przyznał, wręczając kielich paziowi, który ze zdumieniem stwierdził, że trzyma nagle puste naczynie. JESTEM TYLKO JA.

Wydobył miecz o ostrzu takim samym jak urzędowa kosa: błękitnym i cienkim niby cień.

- Myślałem, że używa pan kosy - szepnął Mort.

WŁADCOM PRZYSŁUGUJE MIECZ, wyjaśnił Śmierć. TO KRÓLEWSKA... JAK TO SIĘ... PREROGATYWA.

Wsunął pod szatę kościste palce wolnej ręki i wyjął klepsydrę króla Olerve'a. W górnej części kulilo się do siebie tylko kilka ziarenek piasku.

PATRZ UWAGNIE, przykazał Śmierć. PO WSZYSTKIM ZADAM CI MOŻE PARĘ PYTAŃ.

- Chwileczkę - odezwał się załamany Mort. - To niesprawiedliwe. Nie może pan tego powstrzymać?

SPRAWIEDLIWE? A KTO MÓWIŁ O SPRAWIEDLIWOŚCI?

- Jeżeli ten drugi jest taki...

POSŁUCHAJ, rzekł Śmierć. SPRAWIEDLIWOŚĆ NIE MA TU NIC DO RZECZY NIE WOLNO STAWAĆ PO NICZYJEJ STRONIE. WIELKIE NIEBA! KIEDY CZAS NADEJDZIE, TO NADEJDZIE, MÓJ CHŁOPCZE.

- Mort - jęknął Mort, wpatrując się w tłum.

I wtedy ją zobaczył. Jakieś przypadkowe poruszenie otworzyło jakby tunel pomiędzy Mortem a smukłą, rudowłosą dziewczyną siedzącą w grupie starszych kobiet poza królem. Nie była właściwie piękna, trochę zbyt obficie zaopatrzona w dziale piegów i szczerze mówiąc odrobinę za chuda. Ale jej widok wywołał szok, który spowodował zwarcie w kresomózgowiu Morta i rechocząc złośliwie pognął je w okolice splotu słonecznego.

JUŻ CZAS, oznajmił Śmierć i szturchnął Morta kanciastym łokciem. IDŹ ZA MNĄ.

Ruszył w stronę króla, ważąc w dłoni miecz. Mort zamrugał i poszedł za nim. Przez moment patrzył dziewczynie prosto w oczy. Natychmiast odwróciła wzrok, po czym znów skierowała spojrzenie na Morta. Zaczęła otwierać usta do krzyku przerażenia...

Mort poczuł, że mięknie mu kręgosłup. Puścił się biegiem do króla.

- Uważajcie, panie! - wołał. - Grozi wam niebezpieczeństwo!

Świat wypełnił się gęstym syropem. Przefrunęły niebieskie i fioletowe cienie, jak po uderze słonecznym. Dźwięki ucichły, gwar dworu stał się odległy i metaliczny niby muzyka w cudzych słuchawkach. Mort zobaczył, że Śmierć stoi przyjaźnie obok króla i spogląda na...

...galerię minstreli.

Mort dostrzegł strzelca, kuszę, bełt sunący w powietrzu z prędkością chorego ślimaka. Lecz chociaż leciał tak wolno, chłopiec nie potrafił go doścignąć. Miał wrażenie, że minęły całe godziny, zanim opanował ciężkie jak ołów nogi, ale w końcu dotknął podłogi obiema stopami równocześnie i odbił się z szybkością dryfującego kontynentu.

NIE UDA CI SIĘ, powiedział Śmierć, gdy chłopiec wirował powoli w powietrzu. TO NATURALNE, ŻE CHCIAŁEŚ SPRÓBOWAĆ, ALE NIE UDA SIĘ.

Jak we śnie Mort dryfował przez ogarnięty ciszą świat.

Bełt uderzył w cel. Śmierć ciął oburącz mieczem, ostrze bezgłośnie przeniknęło przez szyję króla. Nie pozostawiło żadnego śladu. Mortowi, wirującemu powoli w widmowym świecie, zdawało się, że upadł jakiś mglisty kształt.

Nie mógł to być król, gdyż ten stał nieruchomo i wpatrywał się w Śmierć z wyrazem zdumienia na twarzy. To mgliste coś leżało u jego stóp, a gdzieś bardzo daleko podniosły się krzyki i wrzawa.

ELEGANCKA, CZYSTA ROBOTA, odetchnął Śmierć. ARYSTOKRACJA ZAWSZE STWARZA PROBLEMY. ZWYKLE CHCĄ JESZCZE ZOSTAĆ. A TAKI PRZECIĘTNY CHŁOP NA OGÓŁ NIE MOŻE SIĘ DOCZekaĆ.

- Kim ty jesteś, do diabła? - zapytał król. - Co tu robisz? Straże!

Natrętny przekaz oczu przebił się wreszcie do mózgu. Mort był pełen podziwu. Król Olerve od bardzo dawna zasiadał na tronie i nawet martwy potrafił się zachować.

- Och - mruknął. - Rozumiem. Nie spodziewałem się, że zobaczę cię tak prędko.

WASZA WYSOKOŚĆ... Śmierć skłonił się. NIEWIELU SIĘ SPODZIEWA.

Król rozejrzał się. W widmowym świecie trwała cisza i półmrok, jednak na zewnątrz panowało spore zamieszanie.

- To ja tam leżę, prawda?

OBAWIAM SIĘ, ŻE TAK JEST W ISTOCIE, SIRE.

- Czysta robota. Kusza, co?

TAK A TERAZ, SIRE, GDYBYŚ ZECHCIAŁ...

- Kto to zrobił? - chciał wiedzieć król.

Śmierć zawahał się.

WYNAJĘTY ZABÓJCA Z ANKH-MORPORK.

- Hmm... Sprytne. Muszę to przyznać Sto Helitowi. A ja napychałem się odtrutkami... Nie istnieje antidotum na zimną stal, co?

W RZECZY SAMEJ, SIRE.

- Stary numer z drabinką sznurową i szybkim koniem czekającym przy zwodzonym moście?

TAK TO WYGLĄDA, SIRE. Śmierć delikatnie ujął widmo króla pod ramię. JEŚLI MA TO POCIESZYĆ WASZĄ KRÓLEWSKĄ MOŚĆ, TO DODAM, ŻE KOŃ ISTOTNIE MUSI BYĆ SZYBKI.

- Słucham?

Nieruchomy uśmiech Śmierci stał się odrobinę szerszy.

JUTRO W ANKH MAM SPOTKANIE Z JEŹDŹCEM. WIDZISZ, SIRE, POZWOLIŁ, BY DIUK DAŁ MU PROWIANC NA DROGĘ.

Król, którego zdolność do pełnienia tej funkcji oznaczała, że nie był przesadnie bystry, zastanowił się chwilę, po czym parsknął śmiechem. Po raz pierwszy zauważył Morta.

- A to kto? - zdziwił się. - On też nie żyje?

MÓJ TERMINATOR. I BĘDĘ MUSIAŁ POWAŻNIE POROZMAWIAĆ Z TYM MAŁYM ŁOBUZIAKIEM.

- Mortem - wtrącił Mort odruchowo.

Odgłos ich rozmowy opływał go łagodnie. Nie potrafił oderwać wzroku od scen rozgrywających się dookoła. Czuł się rzeczywisty. Śmierć wyglądała realnie. Król był zaskakująco sprawny i ruchliwy jak na kogoś martwego. Ale reszta świata była masą migotliwych cieni. Postacie pochylały się nad nieruchomym ciałem, przenikały przez Morta, jakby był nie bardziej materialny niż mgła.

Dziewczyna klęczała nad zwłokami i szlochała.

- To moja córka - wyjaśnił król. - Powinienem odczuwać smutek. Dlaczego nie jestem smutny?

EMOCJE POZOSTAJĄ ZA WAMI. TO TYLKO KWESTIA GRUCZOŁÓW.

- Tak? Pewnie rzeczywiście. Nie widzi nas, prawda?

NIE.

- I pewnie nie ma żadnej możliwości, bym...?

ABSOLUTNIE ŻADNEJ.

- Bo przecież ma zostać królową. Gdybym mógł jej...

PRZYKRO MI.

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała poprzez Morta. Chłopiec widział, jak diuk podchodzi do niej z tyłu i pocieszającym gestem gładzi po ramieniu. Lekki uśmiech zawisł mu na wargach - taki, który zwykł leżeć na piaszczystych brzegach i czekać na nieostrożnych pływaków.

CHODŹMY JUŻ, CHŁOPCZE. DOŚĆ PRÓŻNOWANIA.

Mort poczuł, że kościste palce ściskają mu ramię, raczej przyjaźnie. Odwrócił się niechętnie i podążył za Śmiercią i królem.

Przeszli przez ścianę. On sam był już w połowie drogi, kiedy uświadomił sobie, że przenikanie ścian jest niemożliwe.

Niewiele brakowało, a ta samobójcza logika by go zabiła. Poczuł wokół siebie chłód kamienia. I wtedy zabrzmiał głos:

SPÓJRZ NA TO W TEN SPOSÓB, CHŁOPCZE: TEJ ŚCIANY TU NIE MA. INACZEJ BYŚ TĘDY NIE PRZECHODZIŁ. PRAWDA, CHŁOPCZE?

- Mort - burknął Mort.

SŁUCHAM?

- Mam na imię Mort. Albo Mortimer - oświadczył gniewnie Mort i ruszył przed siebie. Chłód został za nim.

NO WIDZISZ. TO NIE TAKIE TRUDNE.

Mort rozejrzał się po korytarzu, po czym na próbę klepnął ścianę dłonią. Musiał przez nią przejść, ale teraz wydawała się całkiem twarda. Mrugały na niego małe odłamki miki.

- Jak pan to robi? - zapytał. - Jak ja to robię? Czy to magia?

MAGIA TO JEDYNA RZECZ, KTÓRĄ TO NIE JEST, CHŁOPCZE. KIEDY BĘDZIESZ UMIAŁ TO ZROBIĆ SAM, NICZEGO WIĘCEJ NIE ZDOŁAM CIĘ NAUCZYĆ.

- Imponujące, muszę przyznać - rzekł król, wyraźnie bardziej mglisty. - Przy okazji, mam wrażenie, że się rozwiewam.

SŁABNIE POLE MORFOGENETYCZNE, wyjaśnił Śmierć.

Głos króla brzmiał cicho jak szept.

- Naprawdę?

TO PRZYTRAFIA SIĘ KAŻDEMU. RADZĘ SIĘ TYM POCIESZYĆ.

- Jak? - Słowo było jedynie kształtem w przestrzeni.

NIECH WASZA KRÓLEWSKA MOŚĆ BĘDZIE PO PROSTU SOBĄ.

W tej właśnie chwili król zapadł się w siebie. Malał i malał, a jego pole skupiło się w końcu do maleńkiego, jaskrawego punktu. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Mort niemal to przeoczył. Od widma do pyłku w pół sekundy, z cichym westchnieniem.

Śmierć delikatnie pochwycił błyszczącą drobinę i ukrył ją gdzieś pod szatą.

- Co się z nim stało? - spytał Mort.

TYLKO ON TO WIE, odparł Śmierć. CHODŹMY.

- Moja babcia mówiła, że umrzeć to jakby zasnąć - oświadczył Mort z odrobiną nadziei w głosie.

TRUDNO MI TO STWIERDZIĆ. NIE ZDARZYŁO MI SIĘ ANI JEDNO, ANI DRUGIE.

Mort raz jeszcze się obejrzał. Drzwi do sali otwarto na oścież i dworzanie wysypywali się na zewnątrz. Dwie starsze kobiety usiłowały pocieszać księżniczkę, ona jednak kroczyła przed nimi, tak że podskakiwały za nią niby dwa balony. Wszystkie trzy zniknęły po chwili za zakrętem.

JUŻ KRÓLOWA, stwierdził z aprobatą Śmierć. Cenił styl i klasę.

Odezwał się znowu, dopiero gdy dotarli na dach.

PRÓBOWAŁEŚ GO OSTRZEC, zauważył, zdejmując Pimpusiowi worek z obrokiem.

- Tak, proszę pana. Przepraszam.

NIE MOŻESZ PRZESZKADZAĆ LOSOWI. JAKIE MASZ PRAWO OCENIAĆ, KTO POWINIEN ŻYĆ, A KTO MA UMRZEĆ?

Śmierć uważnie obserwował wyraz twarzy chłopca.

TYLKO BOGOM JEST TO DOZWOLONE, dodał. ZMIANA LOSU CHOĆBY JEDNEGO CZŁOWIEKA MOŻE ZNISZCZYĆ ŚWIAT. ROZUMIESZ?

Mort pokiwał głową.

- Czy teraz odeśle mnie pan do domu? - spytał.

Śmierć objął go i podsadził na grzbiet konia.

ZA TO, ŻE OKAZAŁEŚ WSPÓŁCZUCIE? NIE. MÓGLBYM TO ZROBIĆ, GDYBYŚ OKAZAŁ RADOŚĆ. ALE MUSISZ NAUCZYĆ SIĘ EMOCJI BARDZIEJ ODPOWIEDNICH DLA TEGO FACHU.

- To znaczy?

OSTROŚCI UMYŚŁU.

Dni mijały, choć Mort nie był pewien, jak wiele ich przeszło. Posępne słońce świata Śmierci regularnie przetaczało się po nieboskłonie, ale terminy wizyt w świecie śmiertelnych nie miały widocznego związku z tym faktem. Zresztą Śmierć pojawiał się nie tylko u królów i na ważnych bitwach; osobistymi odwiedzinami zaszczycił na ogół całkiem zwyczajnych ludzi.

Posiłki serwował Albert, który uśmiechał się pod nosem i mówił niewiele. Ysabell zwykle przesiadywała w swoim pokoju albo jeździła na kucyku po czarnych wrzosowiskach wokół domu. Z włosami falującymi na wietrze robiłaby silniejsze wrażenie, gdyby lepiej opanowała sztukę jazdy albo gdyby kucyk był choć trochę większy. Albo gdyby miała włosy falujące na wietrze w sposób naturalny. Niektóre włosy to potrafią, inne nie. Jej nie potrafiły.

Kiedy nie wyjeżdżał w związku z tym, co Śmierć określał SŁUŻBĄ, Mort pomagał Albertowi albo znajdował sobie coś do roboty w ogrodzie lub w stajni. Czasem odwiedzał ogromną bibliotekę Śmierci i czytał z szybkością i zachłannością typową dla tych, którzy pierwszy raz poznali magię słowa pisanego.

Oczywiście, większość książek w bibliotece stanowiły biografie.

Pod jednym względem były niezwykle: same się pisały. Ludzie, którzy już umarli, wypełniali swoje książki od okładki do okładki, a tym, którzy się jeszcze nie urodzili, musiały wystarczyć czyste kartki. Natomiast ci pomiędzy... Mort stwierdził - zaznaczając miejsca i przeliczając dodatkowe linijki - że do pewnych książek nowe akapity dochodziły w tempie czterech do pięciu dziennie. Nie potrafił rozpoznać pisma.

I w końcu zebrał się na odwagę.

CO?, zdumiał się Śmierć.

Siedział za swoim ozdobnym biurkiem i bawił się nożem do papieru w kształcie kosi.

- Wolne popołudnie - powtórzył Mort.

Pokój wydał mu się nagle dusząco ogromny, a on sam stał nieprzyjemnie odsłonięty pośrodku dywanu wielkości pola uprawnego.

ALE DLACZEGO?, Śmierć nie mógł zrozumieć. PRZECIEŻ NIE NA POGRZEB BABCI, dodał. WIEDZIAŁBYM COŚ O TYM.

- Chciałbym po prostu... no wie pan... wyjść gdzieś, spotkać się z ludźmi... - Mort próbował wytrzymać nieruchome spojrzenie.

CODZIENNIE SPOTYKASZ SIĘ Z LUDŹMI, zaprotestował Śmierć.

- No tak, ale... Ale nie na długo. Miło by było spotkać się z kimś o przewidywanej długości życia większej niż parę minut. Proszę pana - dorzucił.

Śmierć zabębnił palcami o blat, co brzmiało jak stepowanie myszy, i jeszcze przez kilka sekund spoglądał na Morta w skupieniu. Zauważył, że chłopiec jest mniej kanciasty, niż to pamiętał, stoi prosto, a w dodatku wie, co to znaczy „przewidywana długość życia”. To przez tę bibliotekę.

NO DOBRZE, zgodził się niechętnie. WYDAJE MI SIĘ JEDNAK, ŻE WSZYSTKO, CZEGO CI TRZEBA, MASZ TUTAJ, NA MIEJSCU. SŁUŻBA NIE JEST CIĘŻKA, PRAWDA?

- Nie, proszę pana.

MASZ OBFITE POSIŁKI, CIEPŁE ŁÓŻKO, CZAS NA WYPOCZYNEK I TOWARZYSTWO OSÓB W TWOIM WIEKU.

- Przepraszam?

MOJA CÓRKA, wyjaśnił Śmierć. POZNAŁEŚ JĄ, JAK SĄDZĘ.

- Ach... Tak, proszę pana. Rzeczywiście.

PO BLIŻSZYM POZNANIU ZDRADZA BARDZO DOBRY CHARAKTER.

- Jestem tego pewien, proszę pana.

A MIMO TO PROSISZ... Śmierć wymówił te słowa z wyraźnym nie-smakiem: O WOLNE POPOŁUDNIE?

- Tak, proszę pana. Jeżeli się pan zgodzi.

NO DOBRZE. NIECH TAK BĘDZIE. MASZ CZAS DO ZACHODU SŁOŃCA.

Śmierć otworzył wielką księgę, chwycił pióro i zaczął pisać. Od czasu do czasu przerzucał koraliki liczydła.

Po minucie podniósł głowę.

WCIAŻ TU JESTEŚ, zauważył. MARNUJESZ WŁASNY CZAS, dodał kwaśno.

- Ehem... - zaczął Mort. - Proszę pana, czy ludzie będą mnie widzieli?

MYŚLĘ, ŻE TAK. JESTEM PEWIEN. CZY JESZCZE W CZYMŚ MÓGLBYM CI POMÓC, ZANIM WYRUSZYSZ NA TO... SZALEŃSTWO?

- Tak, proszę pana, mam jeszcze jeden problem. Nie wiem, jak się dostać do śmiertelnego świata. Proszę pana.

Śmierć westchnął ciężko i otworzył szufladę biurka.

PO PROSTU IDŹ TAM.

Mort smętnie pokiwał głową i ruszył w długą drogę do drzwi gabinetu. Kiedy chwycił za klamkę, Śmierć chrząknął.

CHŁOPCZE!, zawołał i rzucił coś.

Mort złapał to odruchowo. Drzwi otworzyły się skrzypiąc.

Ściana zniknęła. Gruby dywan pod stopami zmienił się w zabłocone

kocie łby. Jasne światło dnia zalało go niczym strumień rtęci.

- Mort - oznajmił Mort, zwracając się do wszechświata jako całości.

- Co? - zapytał straganiarz.

Mort rozejrzał się. Stał na placu targowym, pełnym ludzi i zwierząt. Sprzedawano tu wszystko, od szpilek po obietnice zbawienia (to ostatnie oferowało kilku wędrownych proroków). Niemożliwe było prowadzenie rozmowy ciszej niż krzykiem.

Mort stuknął straganiarza w plecy.

- Widzi mnie pan? - spytał. Straganiarz przyjrzał mu się krytycznie.

- Chyba tak - mruknął. - Albo kogoś bardzo podobnego do ciebie.

- Dziękuję. - Mort odetchnął z bezmierną ulgą.

- Nie ma o czym mówić. Codziennie widzę masę ludzi. Całkiem za darmo. Chcesz kupić sznurówki?

- Raczej nie. Co to za miejsce?

- Nie wiesz?

Kilku ludzi przy sąsiednim straganie przyglądało się Mortowi z zadumą. Umysł chłopca przeskoczył na wyższy bieg.

- Mój mistrz wiele podróżuje - wyjaśnił zgodnie z prawdą. - Przyjechaliśmy nocą, a ja spałem na wozie. A teraz mam wolne popołudnie.

- Aha... - Straganiarz pochylił się z tajemniczą miną. - Chciałbyś się zabawić, co? Mógłbym ci czegoś poszukać.

- Bardzo bym się ucieszył wiedząc, gdzie jestem - wyznał Mort. Mężczyzna był zaskoczony.

- To Ankh-Morpork - oznajmił. - Każdy by zauważył. I wywąchał.

Mort pociągnął nosem. Rzeczywiście, w powietrzu nad miastem było coś niezwykłego. Człowiek miał wrażenie, że ta atmosfera wiele już przeżyła. Przy każdym oddechu uświadamiał sobie na nowo, że otacza go mnóstwo ludzi i prawie każdy z nich ma dwie pachy.

Straganiarz obserwował Morta badawczo. Zauważył bladą twarz, dostatnią odzież i niezwykłą osobowość, przywodzącą na myśl ściśniętą sprężynę.

- Będę szczery - rzekł. - Mógłbym wskazać ci drogę do wielkiego zamtuza.

- Dziękuję, jestem po obiedzie - odparł niepewnie Mort. - Ale mógłby mi pan powiedzieć, czy daleko stąd do... To się chyba nazywało Sto Lat.

- Jakieś dwadzieścia mil na Oś, ale nie ma tam nic ciekawego dla młodego człowieka o takim temperamencie - stwierdził pośpiesznie handlarz. - Wiem dobrze. Masz czas dla siebie, szukasz nowych przeżyć, przygód, romansu...

Mort tymczasem otworzył torbę, którą dostał na pożegnanie od Śmierci. Była pełna drobnych złotych monet mniej więcej wielkości cekinów.

W jego myślach pojawił się wizerunek młodej, bladej twarzy pod falą rudych włosów. Ona jakoś wiedziała, że on tam jest. Nieokreślone emocje, które dręczyły go przez ostatnie dni, nagle zogniskowały się w jeden wyraźny cel.

- Chcę szybkiego konia - oznajmił stanowczo.

Pięć minut później Mort się zgubił.

Ta dzielnica Ankh-Morpork znana była jako Mroki, wewnętrzny obszar miasta gwałtownie potrzebujący rządowego wsparcia, albo jeszcze lepiej miotacza ognia. Trudno by go nazwać zaniedbanym, gdyż wymagałoby to

rozciągnięcia znaczenia tego słowa do granic wytrzymałości. Mroki przeszły granicę zaniedbania i znalazły się daleko po drugiej stronie, gdzie po czymś w rodzaju Einsteińskiej przemiany osiągnęły wspaniałość okropieństwa, którym pyszniły się niczym nagrodą w konkursie architektury. Dzielnica była hałaśliwa, duszna i cuchnęła jak klepisko obory.

Miała nie tyle sąsiedztwo, co raczej ekologię, niby ogromna, lądowa rafa koralowa. Owszem, żyli tu ludzie - ludzkie odpowiedniki homarów, głowonogów, mięczaków i tak dalej. I rekiny.

Mort włókł się smętnie po krętych uliczkach. Gdyby jakiś obserwator szybował na wysokości dachów, musiałby dostrzec wyraźny wzorec w ruchu tłumu za jego plecami, sugerujący pewną liczbę ludzi dążących nonszalancko do jednego celu. Ten ktoś szybko doszedłby do słusznego wniosku, że przewidywalna długość życia Morta jest mnie więcej taka, jak kulawego jeżozwiera na sześciopasmowej autostradzie.

Jest już zapewne całkiem jasne, że Mroki nie były miejscem, które ma stałych mieszkańców. Miało sublokatorów. Od czasu do czasu Mort próbował nawiązać rozmowę z którymś z nich, usiłując dowiedzieć się o drogę do handlarza końmi. Sublokator zwykle mruczał coś niewyraźnie i oddalał się pośpiesznie, gdyż każdy, kto chciał w Mrokach przeżyć dłużej niż - powiedzmy - trzy godziny, wytwarzał sobie bardzo wyspecjalizowany zestaw zmysłów. Ktoś taki wolał nie znaleźć się zbyt blisko Morta, tak jak wieśniak woli nie stawać pod wysokim drzewem podczas burzy.

I tak Mort dotarł w końcu do Ankh, największej z rzek. Zanim jeszcze wpłynęła do miasta, była powolna i ciężka od mułu niesionego z równin, a zanim dotarła do Mroków, nawet agnostyk mógłby przejść po niej pieszo. Trudno byłoby utonąć w Ankh, za to łatwo byłoby się udusić.

Mort z powątpiewaniem przyjrzał się powierzchni. Zdawała się przesuwać. Pojawiały się na niej bąble. Czyli musiała to być woda.

Westchnął i odwrócił się.

Trzej ludzie pojawili się za nim tak nagle, jakby wyłonili się z muru. Wyglądali solidnie i ciężko, wzorem wszystkich bandytów, których przy-

bycie w każdej opowieści oznacza, że nadeszła pora, by zagrozić głównemu bohaterowi. Nie za bardzo wszakże, gdyż jest rzeczą równie oczywistą, że bandytów czeka przykra niespodzianka.

Uśmiechali się złośliwie. I świetnie im to wychodziło.

Jeden z nich wydobył nóż i kreślił ostrzem w powietrzu małe kręgi. Zbliżał się wolno do Morta. Dwaj pozostali trzymali się z tyłu, oferując mu wsparcie niemoralne.

- Dawaj pieniądze - wychrypiał przywódca. Mort sięgnął do sakiewki u pasa.

- Chwileczkę - powiedział. - A co będzie potem?

- Co?

- Chciałbym się dowiedzieć, czy chodzi o układ: pieniądze albo życie - wyjaśnił Mort. - Tego zwykle powinni domagać się złodzieje. Pieniądze albo życie. Czytałem o tym w książce - dodał.

- Możliwe, możliwe - zgodził się bandyta. Czuł, że traci inicjatywę, jednak bohatersko przeszedł do ataku. - Ale nie można wykluczyć wersji: pieniądze i życie. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, że tak powiem.

Zerknął z ukosa na kolegów, którzy na ten sygnał prychnęli zgodnie.

- W takim razie... - Mort podrzucił sakiewkę w dłoni, przygotowując się do ciśnięcia jej jak najdalej w nurt Ankh, choć istniała spora szansa, że odbije się od powierzchni.

- Zaraz, co ty wyprawiasz! - krzyknął bandyta. Chciał podbiec, ale znieruchomiał, gdy chłopiec ostrzegawczo zamachnął się sakiewką.

- Ja rozumiem to w ten sposób - rzekł Mort. - Skoro i tak macie zamiar mnie zabić, to równie dobrze mogę się pozbyć pieniędzy. To już zależy od was.

Aby zilustrować swój punkt widzenia, wyjął z sakiewki monetę i

pstryknął nią do wody, która przyjęła dar z nieprzyjemnym mlaśnięciem. Złodzieje drgnęli.

Główny rzezimieszek spojrzał na sakiewkę. Potem na swój nóż. Potem na twarz Morta. A potem na swoich kolegów.

- Przepraszam na moment - powiedział i cała trójka zaczęła się szeptem naradzać.

Mort ocenił wzrokiem odległość do wylotu zaułka. Nie zdąży. Zresztą ta trójka wyglądała, jakby ściganie ludzi również dobrze im wychodziło. To tylko logika sprawiała im niejaki kłopoty.

Wreszcie przywódca odwrócił się do chłopca. Raz jeszcze zerknął na dwóch towarzyszy. Obaj stanowczo kiwnęli głowami.

- Myślę, że cię zabijemy i zaryzykujemy te pieniądze - oświadczył.

- Nie chcielibyśmy, żeby takie podejście stało się nazbyt popularne. Dwaj pozostali wyjęli noże. Mort przełknął ślinę.

- To byłoby nierozsądne - stwierdził.

- A dlaczego?

- Mnie na przykład by się nie podobało.

- Ty nie masz się zachwycać, ty masz... umrzeć. - Bandyta zbliżył się.

- Nie sądzę, żebym miał umierać - oświadczył Mort, odstępując o krok.

- Jestem pewien, że by mnie uprzedzono.

- Taak... - mruknął bandyta, który miał już tego dosyć. - Właśnie cię uprzedziliśmy, prawda? Na wielkie, cuchnące kałuże słoniowego gnoju!

Mort cofnął się jeszcze kawałek. Przez mur.

Przywódca opryszków przyjrzał się solidnej ścianie, która wchłonęła

chłopca, po czym rzucił nóż na ziemię.

- Ja - powiedział. - Tony mag! Nie cierpięnych magów!

- To nie powinieneś ich - mruknął jeden z jego towarzyszy, bez wysiłku wymawiając ciąg kropek.

- O rany, on przeszedł przez mur! - zawołał trzeci członek tercetu, który myślał trochę wolniej.

- A leżliśmy za nim całe wieki - mruknął drugi. - Spisałeś się, Pilgarlic, nie ma co. Mówiłem, że mi wygląda na maga. Tylko magowie łążą tędy samotnie. Nie mówiłem, że wygląda jak mag? Powiedziałem...

- Za dużo gadasz - warknął przywódca.

- Widziałem, jak przeszedł przez ścianę, o tutaj...

- Ach tak?

- Tak!

- W tym miejscu, nie zauważyliście?

- Myślisz, że jesteś sprytny, co?

- Wystarczająco jak na ciebie!

Dowódca płynnym ruchem podniósł z ziemi nóż.

- Sprytniejszy od tego?

Trzeci opryszek podszedł do muru i kopnął go mocno kilka razy. Zza jego pleców dobiegały odgłosy szamotaniny i cichy bulgot.

- Tak, to normalny mur - stwierdził. - Mur, jakich wszędzie pełno. Jak myślicie, chłopcy, jak oni to robią? Odpowiedziała mu cisza.

- Chłopcy!

Potknął się o bezwładne ciała.

- Oj - mruknął.

Nie był zbyt bystry, ale dostatecznie, by uświadomić sobie coś bardzo ważnego: znalazł się całkiem sam w bocznym zaułku, na Mrokach. Biegiem rzucił się do ucieczki i dotarł całkiem daleko.

Śmierć szedł powoli wzdłuż półek z życiomierzami, studiując gęste rzędy zapracowanych klepsydr. Albert podążał za nim krok w krok, dźwigając na rękach otwartą księgę. Dźwięk huczał wokół nich: potężny szary wodospad szumu. Dobiegał z półek, gdzie ciągnące się w nieskończoność szeregi klepsydr przesypywały piasek czasu istot śmiertelnych. Był to ciężki dźwięk, głuchy, który wylewał się niby ciemny krem na jasny biszkopt duszy.

DOSKONALE, odezwał się w końcu Śmierć. WEZMĘ TRZY. SPOKOJNA NOC.

- To będzie dobra Hamstring, znowu opat Lobsang i księżniczka Keli - odczytał Albert.

Śmierć przyjrzał się trzem trzymanym w dłoni klepsydom.

ZASTANAWIAŁEM SIĘ, CZY NIE POSŁAĆ CHŁOPAKA

Albert zajrzał do księgi.

- Z czarownicą nie powinien mieć problemów, a opat jest, można powiedzieć, doświadczony - rzekł. - Szkoda tej księżniczki. Dopiero piętnaście lat. Mogą być kłopoty.

TAK RZECZYWIŚCIE SZKODA.

- Panie?

Śmierć stał z trzecią klepsydrą w ręku i wpatrywał się w grę światła na powierzchni szkła. Westchnął.

TAKA MŁODA...

- Dobrze się czujesz, panie? - zapytał z troską Albert.

CZAS NIBY STRUMIEŃ WIECZNIE PŁYNĄCY PORYWA SWE...

- Panie!

CO?

Śmierć otrząsnął się z zadumy.

- Trochę przesadzasz, panie, ot co.

O CZYM TY GADASZ, CZŁOWIEKU?

- Trochę dziwnie się zachowywałeś, panie.

BZDURA. NIGDY NIE CZUŁEM SIĘ LEPIEJ. DO RZECZY. O CZYM TO MÓWILIŚMY?

Albert wzruszył ramionami i zbadał wpisy w księdze.

- Hamstring jest czarownicą - oznajmił. - Jeśli pošlemy Morta, może się zirytować.

Wszyscy adepci magii, kiedy ich piasek już się przesypie, mają prawo, by przyszedł po nich Śmierć osobiście, nie któryś z jego niższych urzędników.

Śmierć jakby nie słyszał Alberta. Znowu wpatrywał się w klepsydrę księżniczki Keli.

JAK SIĘ NAZYWA TO UCZUCIE W GŁOWIE, UCZUCIE TĘSK-

NEGO ŻALU, ŻE RZECZY SĄ TAKIE, JAKIE NAJWYRAŹNIEJ SĄ?

- Chyba smutek, panie. A teraz...

JESTEM ZASMUTKOWANY

Albert stał nieruchomo z rozdziawionymi ustami. Po chwili wziął się w garść na tyle, by wykrztusić:

- Panie, rozmawialiśmy o Morcie!

JAKIM MORCIE?

- Twoim uczniu, panie - tłumaczył cierpliwie Albert. - Wysoki, młody chłopak.

OCZYWIŚCIE. TAK, POŚLEMY GO.

- Czy jest gotów, by wyruszyć samodzielnie, panie? - Albert nie był przekonany.

Śmierć zastanowił się.

DA SOBIE RADE, stwierdził. JEST BYSTRY, SZYBKO SIĘ UCZY... A POZA TYM, dodał, LUDZIE NIE MOGĄ ODE MNIE WYMAGAĆ, ŻEBYM PRZEZ CAŁY CZAS SIĘ ZA NIMI UGANIAŁ.

Mort tępo wbijał wzrok w aksamitne kotary na ścianach, kilka cali od jego nosa.

Przeszedłem przez ścianę, pomyślał. A to przecież jest niemożliwe.

Delikatnie rozsunął kotary by sprawdzić, czy gdzieś w mroku nie przyczyaiły się drzwi. Znalazł tylko spękany tynk, który odpadł miejscami, odsłaniając lekko wilgotne, ale wymownie solidne cegły.

Postukał w nie na próbę. Było jasne, że tą drogą nie zdoła powrócić.

- No tak - odezwał się do ściany. - I co teraz?

- Ehem... Przepraszam bardzo? - zabrzmiał jakiś głos za jego plecami.

Mort odwrócił się wolno.

Pośrodku pokoju przy stole zasiadła klatchiańska rodzina złożona z ojca, matki i pół tuzina coraz mniejszych dzieci. Osiem par wytrzeszczonych oczu wpatrywało się w Morta. Dziewiąta, należąca do starego przodka nieokreślonej płci, nie wpatrywała się, gdyż jej właściciel skorzystał z zaskoczenia i przecisnął się do wspólnej miski z ryżem. Wyznawał widać pogląd, że gotowana ryba w garści warta jest każdej niewytłumaczalnej manifestacji. Ciszę w pokoju zakłócał jedynie odgłos pełnego determinacji przeżuwania.

W kącie niewielkiego pomieszczenia stał mały ołtarzyk Offlera, sześciorekiego Boga Krokodyla z Klatchu. Uśmiechał się jak Śmierć, tyle że Śmierć nie ma stada świętych ptaszków, które przynoszą wieści od wyznawców, a przy okazji dbają o higienę uzębienia.

Klatchianie cenią gościnność ponad wszelkie inne cnoty. Mort widział, jak kobieta bez słowa zdejmuje z półki dodatkowy talerz i zaczyna napełniać go z wielkiej misy. Po krótkiej walce wyrwała z rąk czcigodnego przodka piękny kawałek ryby. Nie spuszczała z Morta podmalowanych henną oczu.

Głos należał do ojca. Mort uklonił się nerwowo.

- Przepraszam - powiedział. - Ja, tego... przeszedłem chyba przez tę ścianę.

Sam musiał przyznać, że nie zabrzmiało to najlepiej.

- Proszę? - spytał mężczyzna.

Przy akompaniamencie brzęczenia bransoletek kobieta ułożyła na talerzu kilka plasterków papryki i polała wszystko ciemnozielonym sosem. Mort obawiał się, że go poznaje. Próbował czegoś takiego parę tygodni temu,

a choć receptura była skomplikowana, jeden kęs wystarczył, by wiedzieć, że sos robi się z rybich wnętrzności marynowanych przez lata w barylce żółci rekina. Śmierć twierdził, że wymaga wyrobionego podniebienia. Mort postanowił wtedy, że raczej go sobie podaruje.

Zaczął przesuwając się pod ścianą w stronę zawieszonego sznurami paciorków wyjścia. Wszystkie oczy podążały za nim. Spróbował się uśmiechnąć.

- Dlaczego demon pokazuje zęby, mężu mego życia? - zdziwiła się kobieta.

- Może to głód, księżycu mego pożądania - odparł mężczyzna. - Nałóż więcej ryby.

- Ja to jadłem, wyrodne dziecię - burknął przodek. - Biada światu, który nie okazuje szacunku wiekowi podeszłemu!

Faktem jest, że wypowiedzi te dotarły do uszu Morta w mówionym klatchiańskim, ze wszystkimi melodyjnymi kadencjami i subtelnymi dychtongami języka tak starożytnego i wyrafinowanego, że miał piętnaście określeń skrytobójstwa, zanim jeszcze w reszcie świata zyskał uznanie pomysł walenia się po głowach kamieniami. W mózgu chłopca jednak słowa pojawiły się wyraźne i zrozumiałe jak mowa jego matki.

- Nie jestem demonem! - zaprotestował. - Jestem człowiekiem!

Urwał zaszokowany, kiedy w jego ustach zabrzmiał czysty klatchiański.

- Jesteś złodziejem? - spytał ojciec. - Mordercą? Skoro tak się zakradłeś, to może nawet... poborcą podatkowym?

Jego dłoń wsunęła się pod stół i wyłoniła znowu, dzierżąc tasak wyostrzony do grubości papieru. Kobieta krzyknęła, upuściła talerz i przytuliła najmłodsze dziecko.

Mort spojrzał, jak ostrze zatacza kręgi, i zrezygnował.

- Przynoszę wam pozdrowienia z najgłębszych kręgów piekła - zaryzykował.

Zmiana była natychmiastowa. Tasak zniknął, a wszyscy obecni uśmiechnęli się szeroko.

- Odwiedziny demona przyniosą nam powodzenie - rozpromienił się ojciec. - Jakie jest twoje życzenie, ohydne nasienie z lędźwi Offlera?

- Słuchani? - nie zrozumiał Mort.

- Demon przynosi błogosławieństwo i szczęście temu, kto mu pomoże - wyjaśnił gospodarz. - W czym mogę ci służyć, cuchnący psi oddech z piekielnych otchłani?

- Nie jestem specjalnie głodny. Ale gdybyś wiedział, gdzie można kupić szybkiego konia, mógłbym dotrzeć do Sto Lat przed zachodem słońca.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokłonił.

- Znam właśnie takie miejsce, cuchnąca wydalino jelit Czy zechcesz udać się ze mną?

Mort pospieszył za nim. Przodek obserwował ich krytycznie, rytmicznie poruszając szczękami.

- Coś takiego nazywa się tutaj demonem? - mruknął. - Niech Offler sprowadzi zgniliznę na tę krainę wilgoci. Nawet demony mają tu trzeciordne. Do pięć nie dorastają tym, jakie bywały w Starym Kraju.

Żona umieściła miseczkę ryżu w złożonych, środkowych rękach posągu Offlera (jedzenie zniknie do rana) i cofnęła się.

- Mąż opowiadał, że w zeszłym miesiącu w Ogrodach Curry obsługiwał istotę, której nie było - oznajmiła. - Był poruszony.

Gospodarz wrócił po dziesięciu minutach i w posępnej ciszy wysypał na stół niewielki stosik złotych monet. Przedstawiały sobą bogactwo wystarczające na zakup sporej części miasta.

- Miał ich cały worek - oznajmił.

Przez dłuższą chwilę rodzina przypatrywała się pieniądzom. Żona westchnęła.

- Bogactwo sprowadza wiele kłopotów - stwierdziła. - Co teraz zrobimy?

- Wracamy do Klatchu - odparł stanowczo mąż. - Tam nasze dzieci będą dorastać wierne wspaniałej tradycji naszej starożytnej rasy. Tam mężczyźni nie muszą pracować dla złych panów jako kelnerzy, ale mogą chodzić dumnie wyprostowani. I musimy wyjechać natychmiast, wonny kwiecie daktylowej palmy.

- Dlaczego tak prędko, o ciężko zapracowany synu pustyni?

- Ponieważ - wyjaśnił mężczyzna - właśnie sprzedałem najlepszego wyścigowego konia Patrycjusza.

Koń nie był tak piękny ani tak szybki jak Pimpuś, ale bez wysiłku pokonywał kolejne mile i z łatwością pozostawił za sobą kilku konnych strażników, którym z jakichś powodów bardzo zależało na rozmowie z Mortem. Po chwili zniknęły w oddali ubogie przedmieścia Morpork, a droga wiodła przez żyzne czarnoziemy równiny Sto. Równina ta powstała w wyniku regularnych wylewów wielkiej, powolnej Ankh, przynoszącej krainie dobrobyt, bezpieczeństwo i chroniczny artretyzm.

Kraina ta była również niewyobrażalnie nudna. Kiedy światło dnia ze srebrzystego stawało się złociste, Mort galopował przez płaski, posępny krajobraz, od horyzontu po horyzont poszatowany polami i zagonami kapusty. O kapuście wiele da się powiedzieć. Godzinami można się rozwodzić nad jej wysoką zawartością witamin, istotnych dawkach żelaza, o cennym błonniku i godnej podziwu wartości odżywczej. Jednak w dużej masie z pewnością czegoś jej brakuje. Mimo smakowej i moralnej przewagi

nad - powiedzmy - żonkilami, kapusta nigdy nie stała się natchnieniem dla muzy poezji. Chyba że poeta był głodny, oczywiście. Sto Lat leżało w odległości zaledwie dwudziestu mil od stolicy, jednak wydawało się, że to raczej dwa tysiące.

U bram Sto Lat stali gwardziści, choć w porównaniu z tymi, którzy patrolowali Ankh-Morpork, wydawali się zagubionymi amatorami. Kiedy Mort mijał ich truchtem, któryś z pewną nieśmiałością kazał mu się zatrzymać pytając, kto idzie.

- Niestety, nie mogę stanąć - odparł chłopiec.

Gwardzista był nowy w tym fachu i dość gorliwy. Strażowanie okazało się czymś innym, niż się spodziewał. Nie po to zgłosił się na ochotnika, żeby cały dzień stać przy bramie w kolczudze i z toporem na długiej tyce; oczekiwał przygody, wyzwania i munduru, który nie rdzewieje na deszczu.

Wystąpił na drogę, gotów bronić grodu przed ludźmi, którzy nie respektują poleceń wydanych przez uprawnione służby miejskie.

Mort przyjrzał się ostrzu halabardy zawieszonemu o kilka cali od swojej twarzy. Zaczynał mieć już tego wszystkiego dosyć.

- Z drugiej strony- powiedział spokojnie - co byś powiedział, gdybym podarował ci w prezencie tego całkiem przyzwoitego konia?

Bez trudu znalazł bramę zamku. Tam także stali gwardziści, mieli kusze i o wiele mniej optymistyczne poglądy na życie, zresztą Mortowi skończyły się już konie. Pokręcił się przed wejściem, aż zaczęli obdarzać go nieco nadmierną uwagą. Wtedy powlókł się smętnie przez labirynt ulic małego miasteczka. Było mu trochę głupio.

Po tylu przejściach, po całych milach kapuścianych główek i z siedzeniem, które wydawało mu się teraz kłosem drewna, nie wiedział właściwie nawet, po co tu przyjechał. No owszem, zobaczyła go, kiedy był niewidzialny. Czy miało to jakieś znaczenie? Pewnie nie. Tyle że ciągle widział jej twarz i błysk nadziei w oczach. Chciał ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Opowiedzieć o sobie i o tym, kim chciałby zostać.

Dowiedzieć się, gdzie jest jej pokój w zamku i przez całą noc patrzeć w okno, dopóki nie zgaśnie światło. I tak dalej.

Trochę później kowal, który miał warsztat w jednej z wąskich uliczek przylegających do zamkowego muru, podniósł głowę znad kowadła i zobaczył młodego, dość chudego człowieka. Zaczerwieniony młodzieniec wyraźnie usiłował przejść przez ścianę.

Jeszcze później ten sam młody człowiek z kilkoma powierzchownymi zadrapaniami na głowie zjawił się w jednej z miejskich tawern. Zapytał o drogę do najbliższego maga.

Znów upłynęło trochę czasu i Mort pojawił się przed odrapanym domem. Poczerniała mosiężna płytka głosiła, że mieszka tu Igneous Cutwell, doktor nauk magicznych (Niewidoczny Uniwersytet), Mistrz Nieskończoności, Oświecony, Mag Xiąząt, Strażnik Świtych Portali, jeśli nieobecny, proszę zostawić pocztę u pani Nugent, dom obok.

Należycie poruszony i z mocno bijącym sercem Mort uniósł ciężką kołatkę w kształcie obrzydliwego gargulca z solidnym żelaznym pierścieniem w pysku. Zastukał dwa razy.

Z wnętrza dobiegły nerwowe odgłosy, jakie w mniej godnym domostwie mogłyby sugerować, powiedzmy, że ktoś upycha w zlewie brudne talerze i nerwowo sprząta pranie.

W końcu drzwi otworzyły się, powoli i tajemniczo.

- Fofinieneś udawać, że jesteś fofrażeniem - odezwała się kołatka uprzejmie, choć z powodu pierścienia trochę niewyraźnie. - Użyfajielokrążków i kafałka sznurka. Nie radzi sobie z zaklęciemi ofierania.

Mort spojrzał na wyszczerzony metalowy pysk. Pracuję dla szkieletu, który umie przechodzić przez ściany, powiedział sobie. Czy coś jeszcze może mnie zaskoczyć?

- Dziękuję - mruknął.

- Nie ła za co. Fytrzyj futy f słołiankę. Szczotka ła dzisiaj folne.

Przestronne, niskie pomieszczenie za drzwiami było mroczne, posępne i pachniało głównie kadzidłem, ale też trochę gotowaną kapustą, nie praną bielizną i ogólnie człowiekiem, który ma zwyczaj rzucać skarpetkami o ścianę, a potem nosić te, które się nie przykleją. Na stole stała kryształowa kula z wyraźnym pęknięciem, astrolabium, w którym brakowało kilku części, na podłodze wymalowano odrobinę nierówny oktagon, a z sufitu zwisał wypchany aligator. Wypchany aligator to absolutnie niezbędne wyposażenie każdego przyzwoitego warsztatu maga. Ten tutaj wyglądał, jakby nie był z tego zadowolony.

Zasłona z paciorków rozsunała się pchnięta dramatycznym gestem ręki i odsłoniła zakapturzoną postać.

- Szczęśliwe konstelacje rozjaśniają godzinę naszego spotkania! - obwieściła.

- A które? - zainteresował się Mort Zapadła nagła, niepewna cisza.

- Słucham?

- Które konkretnie konstelacje?

- Te szczęśliwe - odpowiedziała z wahaniem postać. Po czym huknęła z nową siłą: - Dlaczego zakłócasz spokój Igneousa Cutwella, Strażnika Ośmiu Kluczy, Wędrowca po Piekielnych Wymiarach, Najwyższego Maga...

- Przepraszam - wtrącił Mort. - Naprawdę?

- Co naprawdę?

- Naprawdę jesteś Strażnikiem czegoś tam, Najwyższym Strażnikiem jak mu tam Świętych Piekieł?

Cutwell z irytacją zrzucił kaptur. Zamiast mistyka z siwą brodą, jakiego się spodziewał, Mort zobaczył krągłą, puciołowatą twarz, różową i białą jak zapiekanka z szynką, którą zresztą przypominała także pod innymi względami. Na przykład, jak zwykle zapiekanki, nie miała brody, i jak

zapiekanki sprawiała sympatyczne wrażenie.

- W sensie metaforycznym - mruknął mag.

- Co to znaczy?

- No więc... To znaczy, że nie.

- Ale powiedziałeś...

- To była reklama - wyjaśnił Cutwell. - Rodzaj magii, którą właśnie studiuję. A czego ty właściwie chcesz? - Uśmiechnął się domyślnie. - Napój miłosny, co? Coś, co zachęci młode damy.

- Czy można przechodzić przez ściany? - spytał zrozpaczony Mort. Cutwell znieruchomiał z ręką wyciągniętą w stronę butelki pełnej gęstego płynu.

- Używając czarów?

- Ee... nie, chyba nie.

- W takim razie wybieraj bardzo cienkie ściany. A jeszcze lepiej: korzystaj z drzwi. Polecam ci tamte, jeśli przyszedłeś tu, żeby zajmować mi czas.

Mort z lekkim wahaniem położył na stole sakiewkę złotych monet. Mag zerknął na nie, z jego gardła wydobyło się ciche jęknięcie, po czym wyciągnął rękę. Mort błyskawicznie złapał go za nadgarstek.

- Przechodziłem przez ściany - oznajmił powoli i stanowczo.

- Oczywiście, oczywiście - wybełkotał Cutwell. Nie odrywał wzroku od sakiewki. Kciukiem wydłubał z butelki korek i z roztargnieniem łyknął niebieskiej cieczy.

- Tylko że kiedy poprzednio to robiłem, nie zwracałem uwagi na to, że mogę, nie wiedziałem, że w ogóle przechodzę i nie pamiętam, jak mi się to udało. A chcę dokonać tego znowu.

- Po co?

- Bo gdybym umiał przechodzić przez ściany, mógłbym zrobić wszystko.

- Bardzo głębokie - ocenił Cutwell. - Filozoficzne. A jak brzmi imię tej młodej damy za murem?

- To... - Mort przełknął ślinę. - Nie wiem, jak ma na imię. Nie wiem nawet, czy jest tam jakaś dziewczyna. Nie powiedziałem, że jest.

- No tak... - mruknął Cutwell. Pociągnął z butelki i wzdrygnął się. - Świetnie. Jak przechodzić przez ściany? Podejmę studia. Ale to może być kosztowne.

Mort wolno przysunął sobie sakiewkę i wyjął małą złotą monetę.

- Zaliczka - powiedział.

Cutwell podniósł monetę, jakby się bał, że zniknie z trzaskiem albo wyparuje. Przyjrzał się jej uważnie.

- Nigdy jeszcze nie widziałem takich pieniędzy - oświadczył oskarżycielskim tonem. - Co to za pismo z zawijasami?

- Ale to złoto, prawda? To znaczy... Oczywiście, jeśli nie chcesz...

- Pewnie, to złoto - przerwał mu nerwowo mag. - Złoto aż miło. Zastanawiałem się tylko skąd pochodzi.

- Nie uwierzyłbyś - zapewnił go chłopiec. - O której tu jest zachód słońca?

- Na ogół udaje się nam wcisnąć go między dniem a nocą. - Cutwell nadal wpatrywał się w monetę i małymi łyżkami popijał zawartość butelki. - Mniej więcej teraz.

Mort zerknął przez okno. Na ulicy zapadał już zmierzch.

- Jeszcze wrócę - obiecał i skoczył do drzwi.

Słyszał, że mag woła coś za nim, ale pędził już na złamanie karku w stronę wylotu zaułka.

Ogarnęła go panika. Śmierć czeka na niego czterdzieści mil stąd. Będzie awantura. Będzie straszliwa...

A... JESTEŚ, CHŁOPCZE.

Znajoma postać wysunęła się z cizby otaczającej stragan z węgorzami w galarecie. Trzymała w dłoni talerz małży.

OCET JEST WYJĄTKOWO PIKANTNY. CZĘSTUJ SIĘ.

Oczywiście, był czterdzieści mil stąd, ale to nie wyklucza faktu, że mógł być również tutaj...

W swoim zaniedbanym pokoju Cutwell raz po raz obracał w palcach złotą monetę. Mruczał pod nosem „ściany” i pociągał z butelki.

Zdawało się, że dopiero kiedy ją opróżnił, uświadomił sobie, co właściwie robi. Wzrok zogniskował się na etykietce i poprzez różową mgłę mag odczytał: „Napóy miłosny y wigoru dodający Babci Weatherwax. Ledwie yedną łyżeczkę przed snem, a y to małą”.

- Zupełnie sam? - zdziwił się Mort.

OCZYWIŚCIE. MAM DO CIEBIE CAŁKOWITE ZAUFANIE.

- Naprawdę?

Propozycja usunęła z umysłu Morta wszelkie inne myśli. Z niejakim zdumieniem odkrył, że niespecjalnie się obawia. W ciągu ostatniego tygodnia widział sporo zgonów. Możliwość późniejszej pogawędki z ofiarą sprawiała,

że nie wzbudzały w nim już grozy. Ofiary zwykle przyjmowały to wydarzenie z ulgą, jedna czy dwie z irytacją, ale wszyscy chętnie wysłuchiwali kilku ciepłych słów.

JAK MYŚLISZ, PORADZISZ SOBIE?

- Chyba tak, proszę pana. Myślę, że tak.

GODNY POCHWAŁY ENTUZJAZM. ZOSTAWIŁEM PIMPUSIA PRZY POIDLE ZA ROGIEM. KIEDYSKOŃCZYSZ, ZABIERZ GO PROSTO DO DOMU.

- Pan tu zostanie?

Śmierć rozejrzał się po ulicy. Oczodoły mu rozbłysły.

POMYŚLAŁEM, ŻE PRZEJDĘ SIĘ TROCHE, oznajmił tajemniczo. OSTATNIO NIE CZUŁEM SIĘ NAJLEPIEJ. PRZYDA MI SIĘ TROCHE ŚWIEŻEGO POWIETRZA.

Nagle jakby coś sobie przypomniał, sięgnął w niezbadane mroki swej szaty i wyjął trzy klepsydry.

SAME PROSTE PRZYPADKI, rzucił. BAW SIĘ DOBRZE.

Odwrócił się i odszedł nucąc pod nosem.

- Aha. Dziękuję.

Mort obejrzał klepsydry pod światło. Zauważył, że w jednej zostały ostatnie ziarna piasku.

- To znaczy, że ja teraz wszystkim rządę? - zapytał jeszcze, ale Śmierć zniknął już za rogiem.

Pimpuś poznał go i przywitał cichym rzeniem. Serce Morta biło mocno z przejęcia i poczucia odpowiedzialności. Palce automatycznie wyjęły kosę z pochwy, ustawiły i umocowały ostrze, lśniące stalowoblękitnie i rozcinające światło gwiazd niczym salami. Chłopiec dosiadł konia i skrzywił się lekko,

na nowo czując otarcia od siodła. Ale w siodle Pimpusia siedziało się jak na poduszce. Po chwili, odurzony swoją ważnością, wyjął z juków podróżny płaszcz Śmierci, zarzucił sobie na ramiona i spiął srebrną klamrą.

Raz jeszcze zerknął na pierwszą klepsydrę i delikatnie ścisnął Pimpusia kolanami. Koń chwycił w nozdrza chłodne powietrze i ruszył truchtem.

Za nimi Cutwell wypadł z domu i pognął oszronioną ulicą. Szata powiewała mu za plecami.

Koń już kłusował, powiększając odległość między kopytami a kamieniami bruku. Ze świstem machnął ogonem, wzniósł się nad dachami domów i popłynął przez nocne niebo.

Cutwell nie zwracał na niego uwagi. Miał ważniejsze sprawy. Odbił się mocno, szczupakiem wskoczył do lodowatej wody w poidle i z ulgą ułożył się na wznak między pływającymi odłamkami lodu. Po chwili woda zaczęła parować.

Mort trzymał się nisko, gdyż wtedy lot sprawiał mu większą przyjemność. Śpiąca kraina przesuwiała się pod nimi bezgłośnie. Pimpus mknął galopem, jego potężne mięśnie poruszały się pod skórą gładko jak aligatory na piaszczystym brzegu, a grzywa chłostała twarz chłopca. Noc spływała za ostrzem kosy, rozcięta na dwie skłębione połowy.

Pędzili pod księżycem milczący jak cień, widziani tylko przez koty i ludzi, którzy sięgali ku rzeczom nie przeznaczonym ludzkiej wiedzy. Mort nie pamiętał potem dokładnie, ale prawdopodobnie się śmiał. Wkrótce pobielone szronem równiny ustąpiły wzniesieniom pogórza, a po chwili pędziły już ku nim długie szeregi Ramtopów. Pimpus spuścił głowę i wydłużył krok, mierząc w przełęcz między dwoma szczytami, ostrymi w srebrzystym blasku niczym zęby goblina. Gdzieś w dole zawył wilk.

Mort obejrzał klepsydrę. Oprawę zdobiły rzeźbione liście dębu i

korzenie mandragory, a piasek za szkłem, nawet w świetle księżyca, był bladozłocisty. Odwracając klepsydrę na wszystkie strony zdołał odczytać wyryte najcieńszymi liniami imię „Ammelina Hamstring”.

Pimpuś zwolnił do kłusa. Mort spoglądał na sklepienie lasu przyprószone śniegiem albo zbyt wczesnym, albo bardzo, bardzo spóźnionym. Oba wyjaśnienia były możliwe, gdyż Ramtopy kolekcjonowały pogodę i wydzielały ją sobie, nie zwracając uwagi na pory roku.

Pod nimi otworzyła się wolna przestrzeń. Pimpuś zwolnił jeszcze bardziej, skręcił i opuścił się wolno na białą od śniegu polanę. Była okrągła, a mały domek stał dokładnie pośrodku. Gdyby śnieg nie zasypał ziemi, Mort zauważyłby, że nie ma tam żadnych pni. Nikt nie wycinał drzew, żeby oczyścić krąg. Po prostu zniechęcono je do rośnięcia w tym miejscu. A może same się odsunęły?

Blask świecy wylewał się przez okno na parterze, tworząc pomarańczową kałużę na śniegu.

Pimpuś wylądował miękko i nie zapadając się potruchtał po zimnej białej pokrywie. Oczywiście, kopyta nie zostawiały śladów.

Mort zsiadł i ruszył do drzwi. Mruczał coś do siebie i machał kosą na próbę.

Dach domku miał szerokie okapy, żeby chronić od śniegu i osłaniać sagi drewna. Nikt mieszkający w wyższych partiach Ramtopów nawet nie myślał, by rozpoczynać zimę bez kłoców drewna ułożonych wokół trzech ścian domu. Tu jednak nie było ani jednego polana, choć do wiosny zostało jeszcze mnóstwo czasu.

Był za to kłęb siana za kratą przy drzwiach. Ktoś przyczepił kartkę, na której nieco drżącą ręką wypisał dużymi literami: DLA KONIA.

Zaniepokoiłoby to Morta, gdyby tylko do tego dopuścił: wyraźnie ktoś go oczekiwał. Ale w ostatnich dniach nauczył się, że zamiast grzęznąć w niepewności, lepiej mknąć po jej powierzchni. Zresztą Pimpusia nie dręczyły żadne moralne skrupuły i spokojnie zaczął się pożywiać.

Pozostał jednak problem, czy należy zapukać. Jakoś nie wydawało się to właściwe. Przypuśćmy, że nikt nie odpowie, albo każą mu sobie iść?

Dlatego Mort podniósł skobel i pchnął drzwi. Otworzyły się łatwo, bez zgrzytu.

Za nimi była kuchnia, a krokwie stropu tkwiły na poziomie dla czaszki Morta trepanacyjnym. Płomyk samotnej świecy odbijał się od garnków na kredensie, a wyszorowana posadzka aż lśniła. Ogień nad przypominającym grootę paleniskiem nie dawał światła, gdyż pozostała tam właściwie tylko sterta białego popiołu pod resztkami polana. Nikt nie musiał Mortowi tłumaczyć, że to ostatnie polano.

Stara kobieta siedziała przy kuchennym stole i pisała coś w szaleńczym tempie, z zakrzywionym nosem ledwie o kilka cali nad papierem. Szary kot zwinął się w kłębek na blacie i mrugał spokojnie na Morta.

Kosa zaczepiła o krokiew. Kobieta podniosła głowę.

- Za chwilę będę gotowa - powiedziała. Marszcząc brwi spojrzała na kartkę papieru. - Nie wpisałam jeszcze tego kawałka, że jestem zdrowa na ciele i umyśle. Same głupoty. Nikt zdrowy na ciele i umyśle by nie umierał. Może się czegoś napijesz?

- Słucham? - nie zrozumiał Mort. Otrząsnął się i powtórzył: SŁUCHAM?

- To znaczy jeśli coś pijesz. To jeżynowe porto. Na kredensie. Właściwie możesz skończyć butelkę.

Mort zerknął podejrzliwie w stronę kredensu. Czuł, że traci inicjatywę. Wyjął klepsydrę i przyjrzał się jej z demonstracyjną uwagą. Pozostała maleńka kupka piasku.

- Mam jeszcze parę minut - oświadczyła czarownica nie podnosząc głowy.

- Skąd... to znaczy SKĄD PANI WIE?

Nie zwracając na niego uwagi wysuszyła nad świecą atrament, kroplą wosku zapieczętowała pismo i wsunęła je pod lichtarz. Potem podniosła kota.

- Babcia Beedle przyjdzie tu jutro, żeby posprzątać. Masz z nią iść, rozumiesz? I dopilnuj, żeby oddała Gammer Nutley tę szafkę pod umywalkę z różowego marmuru. Od lat miała na nią oko.

Kot zamiauczał ze zrozumieniem.

- Nie mam... NIE MAM ZA WIELE CZASU, PROSZĘ PANI - wtrącił z wyrzutem Mort.

- Ty masz. To ja nie mam. I nie musisz krzyczeć.

Zsunęła się ze stołka i wtedy chłopiec zobaczył, jak bardzo jest zgarbiona. Jak łuk. Z gwoźdźnia w ścianie zdjęła z wysiłkiem szpiczasty kapelusz, baterią spinek umocowała go sobie na głowie i chwyciła dwie laski.

Pokuśtykała przez kuchnię, stanęła przed Mortem i zmierzyła go spojrzeniem oczu maleńkich i czarnych jak jagody.

- Będzie mi potrzebny szal? Jak myślisz, przyda się? Nie, chyba nie. Sądzę, że tam, dokąd idę, jest raczej ciepło.

Przyjrzała się Mortowi z uwagą i zmarszczyła brwi.

- Jesteś młodszy niż sobie wyobrażałam - stwierdziła. Mort milczał. A czarownica dodała cicho:

- Wiesz, wydaje mi się, że nie jesteś tym, na kogo czekam. Mort odchrząknął.

- A na kogo właściwie pani czeka?

- Na Śmierć - odparła z prostotą. - Rozumiesz, taki jest układ. Zna się z góry moment swojej śmierci i ma się gwarancję... osobistej obsługi.

- To właśnie ja - zapewnił Mort.

- To znaczy co?

- Osobista obsługa. On mnie przysłał. Pracuję dla niego. Nikt inny nie chciał mnie wziąć. - Urwał. Nic nie szło tak jak powinno. Śmierć w hańbie odeśle go do domu. Pierwsze odpowiedzialne zadanie i wszystko popsuł. Słyszał już niemal, jak ludzie się z niego śmieją.

Szloch wezbrał z otchłani zawstydzienia i zabrzmiał z mocą bucza mgłowego.

- To moja pierwsza prawdziwa praca i nie poradziłem sobie!

Kosa upadła z brzękiem. Ścięła kawałek stołowej nogi i rozpołowiła kamień posadzki.

Staruszka przyglądała mu się przez chwilę, przechylając na bok głowę.

- No tak - mruknęła w końcu. - Rozumiem. Jak ci na imię, młody człowieku?

- Mort - pociągnął nosem Mort. - To od Mortimera.

- No cóż, Mort, spodziewam się, że masz przy sobie klepsydre. Chłopiec smętnie kiwnął głową. Sięgnął do pasa i wyjął szklany miernik. Czarownica obejrzała go dokładnie.

- Jeszcze mniej więcej minuta - stwierdziła. - Nie mamy czasu do stracenia. Zaczekaj chwilę, to wszystko pozamykam.

- Ale pani nic nie rozumie! - załkał Mort. - To się nie uda! Nigdy jeszcze tego nie robiłem! Poklepała go po rękę.

- Ja też nie. Oboje możemy się czegoś nauczyć. A teraz weź kosę i zachowuj się rozsądnie. Jesteś przecież dużym chłopcem.

Mimo protestów wypchnęła go z izby na dwór i sama wyszła za nim. Zatrzasnęła drzwi i zamknęła je wielkim żelaznym kluczem, który powiesiła na gwoździu wbitym w futrynę.

Mróz mocniej ścisnął puszcę. Korzenie trzeszczały z zimna. Księżyc zachodził, ale na nieboskłonie błyszczały małe, lodowate gwiazdy, od których noc wydawała się jeszcze zimniejsza. Ammelina Hamstring zadrżała.

- Kawałek stąd leży stary pień - odezwała się spokojnie. - Jest stamtąd piękny widok na całą dolinę. Latem, naturalnie. Chciałabym tam usiąść.

Mort pomógł jej przebrnąć przez zaspy i, najlepiej jak potrafił, zmiotł śnieg z pnia starego drzewa. Usiedli ustawivszy klepsydrę między sobą. Trudno powiedzieć, co można było stąd zobaczyć latem, teraz jednak tylko czarne szczyty widniały na tle nieba, z którego opadały płatki śniegu.

- Nie mogę uwierzyć - rzekł Mort. - Wydawałoby się, że chce pani umrzeć.

- Pewnych rzeczy będzie mi brakowało - odparła. - Ale ono staje się coraz trudniejsze. Mówię o życiu. Nie możesz już ufać własnemu ciału. Czas coś z tym zrobić. Myślę, że nadeszła pora, by podążyć gdzie indziej. Opowiadał ci, że zajmujący się magią widzą go przez cały czas?

- Nie - rzekł Mort niezbyt precyzyjnie.

- No więc widzimy.

- On nie za bardzo lubi magów i czarownice - oświadczył Mort.

- Nikt nie lubi mądrali - mruknęła z satysfakcją. - Widzisz, ma z nami kłopoty. Z kapłanami nie, więc kapłanów lubi.

- Nigdy o tym nie mówił.

- To proste. Oni zawsze powtarzają ludziom, że będzie im lepiej, kiedy już umrą. My mówimy, że tutaj może być całkiem nieźle, byle się tylko przyłożyć.

Mort zawahał się. Chciał zawołać: Nie ma pani racji, on wcale nie jest taki. Nie dba o to, czy ludzie są dobrzy czy źli, byle byli punktualni. I lubi koty, dodał jeszcze w myślach.

Ale zrezygnował. Przyszło mu do głowy, że ludziom niezbędna jest wiara w różne rzeczy.

Zawył wilk i chłopiec rozejrzał się lękliwie. Odpowiedział mu inny, z drugiego końca doliny. Kolejne przyłączyły się do chóru w gęstwinie puszczy. Mort nigdy dotąd nie słyszał równie żałobnego głosu.

Zerknął z ukosa na nieruchomą postać Ammeliny Hamstring, a potem w panice na klepsydrę. Poderwał się, chwycił kosę i ciął oburącz.

Czarownica wstała, pozostawiając za sobą własne ciało.

- Dobra robota - pochwaliła. - Choć mam wrażenie, że spóźniłeś się chwilę.

Mort oparł się o drzewo. Dyszał ciężko. Staruszka obesła pień, żeby się sobie przyjrzeć.

- Hmm... - mruknęła krytycznie. - Czas będzie musiał odpowiedzieć za to i owo.

Podniosła dłoń i zaśmiała się, kiedy zobaczyła przez nią gwiazdy.

I zmieniła się. Mort widział już wcześniej takie przemiany, gdy dusze uświadamiały sobie, że już nie krępuje ich ciało. Ale przemianę tak całkowitą ujrzał po raz pierwszy. Włosy kobiety wyrwały się z ciasnego koka, wydłużyły i pociemniały. Ciało się wyprostowało. Wygładziły się i zniknęły zmarszczki. Szara wełniana suknia zafalowała jak powierzchnia morza, opinając zupełnie inne, niepokojące kształty.

Spojrzała na siebie, zachichotała i przemieniła suknię w coś zielonego jak liście i obcisłego.

- Co o tym sądzisz, Mort? - spytała.

Jej głos brzmiał przedtem zgrzytliwie i drżaco. Teraz przywodził na myśl piżmo, syrop klonowy i inne rzeczy, od których grdyka Morta zaczęła podskakiwać niby kauczukowa kulka na gumce.

- ... - wykrztusił i ścisnął kosę, aż pobiełały mu palce. Zbliżyła się do niego płynnie jak wąż.

- Nie słyszałam cię - wymruczała.

- B-b-bardzo ładnie - zapewnił. - Czy to... czy to nią kiedyś byłaś?

- Zawsze nią byłam.

- Aha. - Mort wpatrzył się w czubki butów. - Powinienem cię teraz zabrać.

- Wiem - odparła. - Aleja zostaje.

- Nie możesz tego zrobić! To znaczy... - Szukał właściwych słów. - ...jeśli zostaniesz, tak jakby rozpułniesz się, będziesz coraz rzadsza, a w końcu...

- To mi odpowiada - rzekła stanowczo.

Pochyliła się i pocałowała go. Dotknięcie było niematerialne niczym westchnienie wąski, a ona rozpułwała się, i w końcu został już tylko pocałunek... Jak u kota z Cheshire, tylko o wiele bardziej erotycznie.

- Uważaj na siebie, Mort - odezwał się jej głos w jego głowie. - Zależy ci pewnie na tej pracy, ale czy potrafisz kiedyś ją rzucić?

Mort stał z głupią miną i trzymał się za policzek. Drzewa wokół polany zadrżały przez moment, w głosie wiatru zabrzmiał śmiech, a potem mroźna cisza znowu objęła wszystko.

Obowiązek przyzywał go poprzez różową mgłę zasnuwającą myśli. Chwycił drugą klepsydrę. Piasek przesypał się już prawie do końca.

Klepsydra była rzeźbiona w płatki lotosu. Mort pstryknął ją palcem, a szkło brzęknęło „ommmm”.

Chłopiec pobiegł po trzeszczącym śniegu do Pimpusia i z rozpędu wskoczył na siodło. Koń potrząsnął łbem, stanął dęba i pomknął ku

gwiazdom.

Długie bezgłośnie wstęgi błękitnych i zielonych płomieni zwisały ze sklepienia świata. Zasłony oktarynowych lśnień tańczyły wolno i majestatycznie ponad Dyskiem, gdy ognie aurory coriolis, potężnego wyładowania ze stojącego pola magicznego Dysku, uziemiały się w zielonolodowych górach Osi. Centralna iglica Cori Celesti, mieszkanie bogów, była dziesięciomilową kolumną zimnego, roziskrzonego płomienia.

Niewielu ludzi oglądało ten widok, a Mort nie należał do ich grona, ponieważ pochylił się nad grzbietem Pimpusia i z całej siły wtulał twarz w jego grzywę. Pędzili po nocnym niebie wlokąc za sobą smugę pary jak ogon komety.

Wokół Cori wznosiły się też inne góry. W porównaniu z nią przypominały raczej kopce termitów, choć w rzeczywistości każda z nich była majestatycznym zbiorowiskiem przełęczy, grani, ścian, urwisk, piargów i lodowców. Każdy normalny łańcuch górski chętnie by się z nimi zaprzyjaźnił.

Wśród najwyższych gór, na krańcu doliny w kształcie lejka, mieszkali Słuchacze.

Należeli do najstarszych sekt religijnych Dysku, choć sami bogowie nie byli zgodni, czy Słuchanie można uznać za prawdziwą religię. Jedynym, co chroniło świątynię przed starciem z powierzchnią Dysku przez kilka dobrze wymierzonych lawin, był fakt, że bogowie byli ciekawi, co Słuchacze mogą Usłyszeć. Jeśli coś naprawdę zdoła zirytować boga, to właśnie niewiedza na jakiś temat.

Mort przybędzie tu dopiero za kilka minut. Linia kropek elegancko wypełniłaby ten okres, jednak czytelnik z pewnością już zauważył niezwykłą sylwetkę świątyni - zwiniętej niby ogromny biały amonit na skraju doliny - i prawdopodobnie zażąda wyjaśnień.

Rzecz w tym, że Słuchacze próbują ustalić, co dokładnie powiedział Stwórca, kiedy stwarzał wszechświat.

Teoria jest całkiem prosta.

To oczywiste, że żadne dzieło Stwórcy nie podlega unicestwieniu. Oznacza to, że echo tych pierwszych sylab wciąż jeszcze gdzieś krąży, raz po raz odbija się od materii w kosmosie i pozostaje słyszalne dla naprawdę uważnego słuchacza.

Przed wiekami Słuchacze odkryli, że lód i przypadek wyrzeźbiły tę dolinę w doskonałe akustyczne przeciwieństwo doliny echa. Zbudowali swą wielokomorową świątynię dokładnie w tym punkcie, jaki zawsze zajmuje jedyny fotel w mieszkaniu zagorzałego fanatyka hi-fi. Złożone ekrany akustyczne chwytają i wzmacniają dźwięk, kierując go coraz dalej do wnętrza, do centralnej komory, gdzie o każdej porze dnia i nocy czuwało zawsze trzech mnichów.

Słuchali.

Pewne kłopoty powodował fakt, że słyszeli nie tylko subtelne echa pierwszych słów, ale też każdy powstający na Dysku dźwięk. Aby rozpoznać brzmienie Słów, musieli się uczyć odróżniać wszelkie inne odgłosy. Wymagało to specyficznego talentu; nowicjuszy przyjmowano do nauki, jeśli po samym brzęku z odległości pięciuset sążni potrafili odgadnąć, na którą stronę upadła rzucona moneta. Uczeń mógł wstąpić do zakonu dopiero wtedy, kiedy umiał stwierdzić, jakiego była koloru.

I chociaż Świątobliwi Słuchacze żyli na takim pustkowiu, wielu ludzi wstępowało na długą i niebezpieczną ścieżkę wiodącą do ich świątyni, przemierzało mroźne, pełne trolli krainy, przekraczało bystre, lodowate rzeki, wspinało się na strome szczyty, wędrowało przez niegościnną tundrę, by wreszcie pokonać wąskie stopnie prowadzące do ukrytej doliny i z otwartym sercem szukać tajemnic istnienia.

A mnisi witali ich słowami:

- Nie można tam trochę ciszej?

Pimpuś jak biała smuga przemknął nad czubkami gór i wylądował na śnieżnej pustce dziedzińca. W wielobarwnym blasku niebios sprawiał wrażenie widma. Mort zeskoczył z siodła i pognął przez puste krużganki do komnaty, gdzie osiemdziesiąty ósmy opat leżał na łożu śmierci, otoczony wiernymi uczniami.

Kroki Morta dudniły głośno, gdy pędził po mozaikowej posadzce. Sami mnisi nosili wełniane kapcie.

Dotarł do łoża i oparł się na kosie, z wysiłkiem łapiąc oddech.

Opat, niski i całkiem łysy, mający na twarzy więcej zmarszczek niż torba suszonych śliwek, otworzył oczy.

- Spóźniłeś się - szepnął i umarł.

Mort przełknął ślinę, z trudem nabrał tchu i szerokim łukiem ciął kosą. Mimo wszystko trafił jak należy; opat usiadł, zostawiając za sobą ciało.

- Ani chwili za wcześnie - stwierdził głosem, który jedynie Mort mógł usłyszeć. - Zaczynałem się martwić.

- Już w porządku? - upewnił się Mort. - Muszę się spieszyć... Opat wstał z łoża i podszedł do Morta, mijając rzędy zrozpaczonych wyznawców.

- Nie ponaglaaj - powiedział. - Tak lubię te rozmowy. Gdzie się podział ten co zawsze?

- Ten co zawsze? - Mort nie zrozumiał.

- Taki wysoki. Czarny płaszcz. Trochę nie dojada, sądząc po wyglądzie.

- Ten co zawsze? Ma pan na myśli Śmierć?

- Właśnie - zgodził się przyjaźnie opat. Mort rozdziawił usta.

- Często pan umiera? - wykrztusił w końcu.

- Owszem, dość często. Oczywiście, kiedy już człowiek złapie, o co w tym chodzi, reszta jest kwestią praktyki.

- Naprawdę?

- Musimy ruszać - przypomniał opat. Mort gwałtownie zamknął usta.

- To samo chciałem powiedzieć - mruknął.

- Gdybyś mógł mnie wysadzić za doliną... - ciągnął łagodnie mnich.

Wyminął Morta i skierował się na dziedziniec. Chłopiec stał przez chwilę ze spuszczoną głową, po czym puścił się za nim biegiem, choć wiedział, że jest to zachowanie całkowicie niepoważne i nieprofesjonalne.

- Proszę posłuchać... - zaczął.

- Tamten miał konia imieniem Pimpuś, o ile sobie przypominam - rzekł uprzejmie opat. - Przejąłeś od niego tę trasę?

- Trasę? - Mort nic już nie rozumiał.

- Czy cokolwiek. Wybacz, chłopcze, ale właściwie nie wiem, jak to wszystko jest zorganizowane.

- Mort - poprawił Mort odruchowo. - Myślę, że powinien pan pojechać ze mną, proszę pana. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu - dodał tonem, który, miał nadzieję, zabrzmiał stanowczo i godnie.

Mnich obejrzał się i uśmiechnął łagodnie.

- Chciałbym - westchnął. - Może kiedyś. Ale teraz, gdybyś mógł mnie podrzucić do najbliższej wioski... Mam wrażenie, że właśnie zostaję tam poczęty.

- Poczęty? Przecież dopiero co pan umarł!

- Tak, ale widzisz, mam coś w rodzaju biletu okresowego - wyjaśnił opat.

Wprawdzie bardzo powoli, ale Mort zaczynał jednak coś pojmować.

- Aha - powiedział. - Czytałem o tym. Reinkarnacja, prawda?

- To właśnie to słowo. Jak dotąd pięćdziesiąt trzy razy. Może pięćdziesiąt cztery.

Gdy się zbliżyli, Pimpuś podniósł łeb i parsknął przyjaźnie, widząc znajomego. Opat poklepał go po pysku. Mort wskoczył na siodło i pomógł opatowi usadowić się z tyłu.

- To musi być ciekawe - powiedział, gdy Pimpuś wznosił się i oddalał od świątyni.

W bezwzględnej skali towarzyskich rozmów ten komentarz musiałby zyskać całkiem sporo m minus, ale nic lepszego nie przyszło Mortowi do głowy.

- Nie, wcale nie musi. Tak ci się wydaje, ponieważ sądzisz, że pamiętam wszystkie swoje wcielenia. Ale to naturalnie niemożliwe. Przy najmniej nie za życia.

- O tym nie pomyślałem - przyznał chłopiec.

- Wyobraź sobie: pięćdziesiąt razy odzwyczajać się od pieluch.

- Rzeczywiście, nie ma czego zazdrościć.

- Słuszna uwaga. Gdybym mógł przeżyć życie normalnie, nigdy bym się nie reinkarnował. Ale właśnie kiedy zaczynam już łapać, o co chodzi, przychodzą chłopcy ze świątyni i szukają chłopczyka poczętego w godzinie śmierci starego opata. Nie grzeszą wyobraźnią. Zatrzymaj się na chwilę.

Mort spojrzał w dół.

- Jesteśmy w powietrzu - zauważył niepewnie.

- To nie potrwa długo.

Opat zsunął się z grzbietu Pimpusia, przeszedł w powietrzu kilka kroków i wrzasnął głośno. Krzyk zdawał się trwać bardzo długo. Potem opat wsiadł z powrotem.

- Nie masz pojęcia, od jak dawna o tym marzyłem - oświadczył.

Mała wioska rozłożyła się na drugim końcu doliny, kilka mil od świątyni. Pełniła funkcję centrum usługowego. Z góry wyglądała jak przypadkowe skupisko niedużych, ale niemal całkowicie dźwiękoszczelnych chat.

- Gdziekolwiek - rzucił opat.

Mort zostawił go kilka cali nad śniegiem w miejscu, gdzie chaty stały najgęściej.

- Mam nadzieję, że kolejne życie będzie lepsze od poprzedniego - powiedział.

- Trzeba mieć nadzieję. - Opat wzruszył ramionami. - W każdym razie czeka mnie dziewięć miesięcy spokoju. Sceneria nie jest najciekawsza, ale przynajmniej ciepło.

- No to do widzenia. Muszę pędzić.

- Do zobaczenia - zawołał ze smutkiem opat i odwrócił się.

Płomienie Zorzy Osiowej wciąż rzucały swój migotliwy blask na krainę. Mort westchnął i sięgnął po trzecią klepsydrę.

Pojemnik był srebrny, ozdobiony małymi koronami. Piasku już prawie nie zostało.

Czując, że noc wszystko już rzuciła przeciw niemu i gorzej być nie może, przekreślił ostrożnie klepsydrę, by spojrzeć na wyryte imię...

Księżniczka Keli ocknęła się.

Obudził ją dźwięk... Jakby był tu ktoś, kto nie wydaje żadnego dźwięku. Nie warto wspominać o materacach i ziarnkach grochu - zwykły dobór naturalny doprowadził do tego, że w królewskich rodzinach najdłużej przeżywali ci, którzy potrafili w ciemności rozpoznać mordercę po dźwięku, którego sprytnie nie wydawał. W kręgach dworskich zawsze znalazła się osoba, która chętnie potraktowałaby nożem następcę tronu.

Keli leżała nieruchomo i zastanawiała się, co powinna zrobić. Pod poduszką miała sztylet. Zaczęła wsuwać dłoń pod pościel, a równocześnie spod półprzymkniętych powiek wypatrywała w komnacie nieznajomych cieni. Doskonale wiedziała, że jeśli tylko nieostrożnym gestem zdradzi, że nie śpi, to już nigdy się nie obudzi.

Nieco światła wpadało do wnętrza przez wielkie okno w ścianie naprzeciwko, jednak komnata pełna była rycerskich zbroi, gobelinów i najrozmaitszych ozdób. Mogłyby ukryć całą armię.

Sztylet zsunął się za materac. Zresztą i tak pewnie nie potrafiłaby go użyć.

Wołanie straży, uznała, nie jest dobrym pomysłem. Jeśli ktoś dotarł do komnaty, to albo unieszkodliwił wartowników, albo przynajmniej ogłuszył ich dużą sumą pieniędzy.

Przed kominkiem leżał pogrzebacz. Czy nadałby się na broń?

Rozległ się cichy, metaliczny dźwięk.

Może jednak krzyk nie był takim złym rozwiązaniem...

Okno pękło i odłamki posypały się do wnętrza. Przez moment Keli widziała - na tle kłębowiska błękitnych i fioletowych płomieni - postać w kapturze, na grzbiecie największego konia, jakiego знаła.

Rzeczywiście, ktoś stał przy jej łożu. I wznosił sztylet.

Patrzyła zafascynowana, jak ramię w zwolnionym tempie sunie do

góry, jak koń galopuje po podłodze z prędkością lodowca. Nóż był już nad nią i zaczął opadać, koń stanął dęba, a jeździec uniósł się w strzemionach i brał zamach jakąś dziwną bronią; ostrze tej broni rozcięło powietrze z odgłosem, jakby ktoś przesunął wilgotnym palcem po brzegu kielicha...

Światło zgasło. Coś upadło miękko na podłogę, potem brzęknął metal.

Keli nabrała tchu.

W tym momencie czyjaś dłoń zakryła jej usta.

- Jeśli krzykniesz, pożałuję tego - zabrzmiał zmartwiony głos. - Proszę... I tak już mam wystarczająco dużo kłopotów.

Ktokolwiek potrafił zawrzeć w słowach tyle błagania, albo mówił szczerze, albo był tak doskonałym aktorem, że nie musiałby zarabiać na życie skrytobójstwem.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Nie jestem pewien, czy wolno mi o tym mówić - odparł głos. - Wciąż jeszcze żyjesz, prawda?

W ostatniej chwili powstrzymała się od sarkastycznej odpowiedzi. Zaniepokoił ją ton tego pytania.

- Sam nie poznajesz?

- To nie takie proste... - Głos urwał z wahaniem. Wyteżała wzrok, by jakoś dostrzec za nim ludzką twarz. - Mogłem ci wyrządzić straszną krzywdę.

- Przecież właśnie ocaliłeś mi życie.

- Nie wiem, co właściwie ocaliłem. Czy jest tu jakieś światło?

- Nad kominkiem pokojówka zostawia czasem zapalki - przypomniała sobie Keli.

Poczuła, że ten ktoś obok niej oddała się. Zabrzmiało kilka niepewnych kroków, kilka głuchych uderzeń, wreszcie brzęk- chociaż to słowo nie oddaje prawdziwej kakofonii i łomotu blach walących się na ziemię. Nastąpiło nawet tradycyjne ciche szcęknięcie w chwili, kiedy od kilku sekund wydawało się, że już po wszystkim.

- Leżę pod zbroją - poinformował głos niezbyt wyraźnie. - Gdzie to może być?

Keli cicho zsunęła się z łóżka, po omacku dotarła do kominka, przy blasku dogasającego ognia znalazła zapalki, w chmurze siarkowego dymu zapaliła świecę, odszukała stos elementów zbroi, wyjęła z pochwy miecz, po czym niemal odgryzła sobie język.

Ktoś dmuchnął jej gorąco i wilgotnie w samo ucho.

- To Pimpuś - oznajmił stos. - Chce się zaprzyjaźnić. Ma pewnie ochotę na trochę siana, gdybyś miała je pod ręką.

- To czwarte piętro - oznajmiła Keli z iście królewskim opanowaniem.
- Sypialnia damy. Byłbyś zdumiony wiedząc, jak wielu koni się tu nie wprowadza.

- Aha... Mogłabyś pomóc mi wstać?

Odłożyła miecz i ściągnęła ze stosu napierśnik. Wychyliła się szczupła, blada twarz.

- Przede wszystkim zechciej mi wytłumaczyć, dlaczego nie powinnam wzywać straży - powiedziała księżniczka. - Za samo przebywanie w mojej sypialni czekają cię tortury i śmierć.

Przyglądała mu się gniewnie.

- Czy mogłabyś uwolnić moją rękę? - zapytał po chwili. - Dziękuję. Po pierwsze strażnicy pewnie by mnie nie zobaczyli. Po drugie, nigdy byś się nie dowiedziała, dlaczego tu jestem, a wyglądasz na taką osobę, która nie znosi niewiedzy. A po trzecie...

- Po trzecie co?

Otworzył i zamknął usta. Chciał powiedzieć: po trzecie jesteś taka piękna, a w każdym razie bardzo atrakcyjna, a przynajmniej o wiele bardziej atrakcyjna od wszystkich dziewcząt, jakie w życiu spotkałem, choć przyznaję, że nie było ich wiele.

Jak z tego widać, przy swej wrodzonej uczciwości Mort nie miał żadnych szans na karierę poety. Gdyby kiedykolwiek porównał dziewczę do letniego dnia, natychmiast by wyjaśnił, o który dzień mu chodzi i czy padał wtedy deszcz. W tej sytuacji może to i lepiej, że nie mógł wykrztusić ani słowa.

Keli podniosła świecę i obejrzała okno.

Było całe. Kamienne framugi nie nosiły żadnych śladów pęknięcia. Każda szybka witraża, przedstawiającego herb Sto Lat, tkwiła w ramach nienaruszona.

Księżniczka zerknęła na Morta.

- Mniejsza o trzecie - rzekła. - Zajmijmy się drugim.

Godzinę później dotarł do miasta brzask. Światło dnia na Dysku raczej płynie niż mknie, ponieważ spowalnia je silne stojące pole magiczne; przetaczało się po równinach niby złociste morze. Miasto na wzniesieniu przez chwilę stało niczym zamek z piasku w fali przyływu, wreszcie dzień zawirował wokół i ruszył dalej.

Mort i Keli siedzieli obok siebie na łóżku. Między nimi leżała klepsydra. W górnej części nie pozostało ani jedno ziarenko piasku.

Zza drzwi dobiegały odgłosy budzącego się do życia zamku.

- Wciąż nie całkiem rozumiem - wyznała księżniczka. - Czy to znaczy, że jestem martwa, czy nie?

- To znaczy, że powinnaś być martwa - wyjaśnił chłopiec. - Zgodnie z wyrokiem losu czy czego tam jeszcze. Nie studiowałem teorii.

- A ty miałeś mnie zabić?

- Nie! Skrytobójca miał cię zabić. Przecież ci tłumaczyłem.

- Dlaczego mu nie pozwoliłeś? Mort spojrzał na nią ze zgrozą.

- A chciałaś umrzeć?

- Oczywiście, że nie. Ale wygląda na to, że ludzkie życzenia są tu całkiem nieistotne. Staram się zachować rozsądek w tej kwestii.. Mort przyglądał się własnym kolanom. Po chwili wstał.

- Chyba lepiej już pójdę - oznajmił lodowatym tonem. Złożył kosę i wsunął ją do futerału przy siodle. Potem obejrzał Okno.

- Tędy wjechałeś - odpowiedziała usłużnie Keli. - Słuchaj, kiedy powiedziałam...

- Czy ono się otwiera?

- Nie. Z korytarza jest wyjście na balkon. Ale ktoś cię zobaczy!

Nie zwracając na nią uwagi, Mort otworzył drzwi i wyprowadził Pimpusia na korytarz. Keli wybiegła za nimi. Pokojówka zatrzymała się, dygnęła i lekko zmarszczyła brwi, gdy jej umysł rozsądnie odrzucił wizję wielkiego konia idącego wolno po dywanie.

Balkon wychodził na jeden z wewnętrznych dziedzińców. Mort wyrzwał przez poręcz i wskoczył na siodło.

- Uważaj na diuka - rzucił przez ramię. - To on za tym wszystkim stoi.

- Ojciec zawsze mnie przed nim ostrzegał - zgodziła się księżniczka.

- Mam człowieka do kosztowania potraw.

- Powinnaś zatrudnić też ochronę osobistą. Muszę jechać. Czekają mnie ważne sprawy. Żegnaj - dodał jeszcze. Miał nadzieję, że ton głosu właściwie

wyraża zranioną dumę.

- Zobacze cię jeszcze? - spytała Keli. - Tak wiele chciałabym...

- Jeśli się zastanowisz, sama zrozumiesz, że to nie jest dobry pomysł - odparł wyniośle Mort.

Cmoknął językiem, a Pimpus skoczył w powietrze, przemknął nad parapetem i pokłusował w błękitne, poranne niebo.

- Chciałam ci podziękować! - wrzasnęła za nimi Keli. Pokojówka nie mogła się pozbyć uczucia, że coś tu się nie zgadza. Dlatego podążyła za swoją panią.

- Coś się stało, wasza wysokość?

Keli spojrzała na nią z roztargnieniem.

- Co? - zapytała.

- Zastanawiałam się tylko, czy... czy wszystko jest w porządku... Keli przygarbiła się.

- Nie - stwierdziła. - Nic nie jest w porządku. W mojej sypialni leży martwy zamachowiec. Czy mogłabyś jakoś to załatwić? Chwileczkę... - Uniosła dłoń. - Nie życzę sobie słyszeć: „Martwy, wasza wysokość?” ani

„Zamachowiec, wasza wysokość?”, ani wrzasków, ani nic podobnego. Chcę tylko, żeby coś z nim zrobić. Po cichu. Chyba mam migrenę. Dlatego kiwnij tylko głową.

Pokojówka kiwnęła, dygnęła niepewnie i wycofała się.

Mort nie był pewien, jak wrócili do domu. Pimpus wsunął się po prostu w szczelinę między wymiarami i niebo zmieniło barwę z lodowatego błękitu

na posępną szarość. Nie wylądowali na czarnej ziemi posiadłości Śmierci... Ona sama znalazła się pod kopytami - jak gdyby lotniskowiec delikatnie podpłynął pod Harriera, by zaoszczędzić pilotowi trudów lądowania.

Wielki rumak podjechał pod stajnię i machając ogonem stanął przed podwójnymi wrotami. Mort zeskoczył z siodła i pobiegł do domu.

Nagle zatrzymał się, zawrócił, podsypał koniowi siana, pobiegł do domu, zatrzymał się, zawrócił, wytarł konia i sprawdził, czy w wiadrze jest woda, pobiegł do domu, zatrzymał się, zawrócił, zdjął z haka derkę i okrył zwierzę. Pimpus z godnością trącił go nosem w ramię.

Nikogo nie spotkał, kiedy wśliznął się przez tylne drzwi i przekradł do biblioteki. Nawet o tej porze nocy powietrze było tu suche i gorące. Zdawało mu się, że minęły lata, nim w końcu znalazł biografię księżniczki Keli. Był to nieprzyjemnie cienki tomik na półce osiągalnej jedynie z pomocą bibliotecznej drabiny - rozklekotanej konstrukcji na kołach, bardzo podobnej do maszyny oblężniczej.

Drżącymi palcami Mort otworzył książeczkę na ostatniej stronie i jęknął.

Wynikiem zabójstwa księżniczki w wieku lat piętnastu, czytał, była unia Sto Lat i Sto Helit, a pośrednio upadek miast - państw równin centralnych i pojawienie...

Czytał dalej, nie mogąc przerwać. Od czasu do czasu wydawał kolejne jęki.

W końcu odłożył książkę, zawahał się, po czym wcisnął ją za kilka innych tomów. Wyczuwał ją tam, gdy schodził po drabinie, jak oskarżycielsko obwieszcza całemu światu swe istnienie.

Na Dysku było tylko kilka statków oceanicznych. Żaden kapitan nie lubił tracić z oczu linii brzegowej. Jest przykrym faktem, że statki, które z daleka wyglądały, jakby spadały poza krawędź świata, wcale nie znikwały za horyzontem, ale rzeczywiście spadały poza krawędź świata.

Mniej więcej co pokolenie pełni entuzjazmu badacze wątpili w to i wyrusжали, by dowieść, że jest inaczej. To dziwne, ale żaden nie powrócił, by ogłosić światu wyniki swej wyprawy.

Poniższa analogia zatem nie miałaby dla Morta żadnego sensu:

Czuł się tak, jakby przeżył katastrofę „Titanica”, ale szczęśliwie niemal natychmiast został ocalony. Przez „Lusitanię”.

Czuł się, jakby uniesiony chwilową radością cisnął śnieżką, a teraz patrzył, jak lawina pochłania trzy narciarskie kurorty.

Czuł, jak historia rozplata się wokół niego.

Czuł, że musi z kimś porozmawiać. I to szybko.

To oznaczało Alberta lub Ysabell, ponieważ myśl o tłumaczeniu wszystkiego tym maleńkim, błękitnym świetlnym punktom nie należała do takich, które chciałby rozważać po długiej nocy. Przy tych rzadkich okazjach, gdy Ysabell zniżala się do spojrzenia w jego stronę, jasno dawała do zrozumienia, iż jedyną różnicą między Mortem a zdechłą ropuchą jest kolor. Co do Alberta...

Owszem, może i nie był idealnym powiernikiem, ale najlepszym w całej jednoosobowej grupie.

Mort zeskoczył z ostatnich szczebli i powlókł się między regałami do wyjścia. Parę godzin snu też mu się przyda.

Usłyszał czyjś gwałtowny oddech, tupot stóp i trzaśnięcie drzwi. Kiedy zajrzał za najbliższy regał, znalazł tam jedynie stolik, a na nim kilka książek. Podniósł jedną, zerknął na imię, przeczytał parę stron. Obok leżała mokra koronkowa chusteczka.

Mort wstał późno i od razu pobiegł do kuchni. Spodziewał się głębokiej

dezaprobaty, jednak nic takiego nie nastąpiło. Albert stał przy kamiennym zlewie i wpatrywał się w patelnię do frytek. Prawdopodobnie dumał nad problemem, czy pora już zmienić olej, czy zostawić go na kolejny rok. Obejrzał się, kiedy Mort opadł na krzesło.

- Miałeś sporo zajęć - zauważył. - Słyszałem, że wałęsałeś się do rana. Zrobię ci jajko. Jest też owsianka.

- Poproszę jajko - wtrącił szybko Mort.

Nigdy nie wystarczyło mu odwagi, by skosztować Albertowej owsianki, która w głębinie garnka prowadziła własne tajemne życie i pożerała łyżki.

- Pan chce cię potem widzieć - dodał jeszcze Albert. - Ale mówił, że nie musisz się spieszyć.

- Uhm... - Mort wpatrywał się w blat stołu. - Powiedział coś jeszcze?

- Że od tysiąca lat nie miał wieczoru dla siebie. Nucił coś. Nie podoba mi się to. Nigdy go jeszcze takim nie widziałem.

- No tak... - Mort nabrał tchu. - Pewnie od dawna tu pracujesz, Albercie?

Staruszek przyjrzał mu się ponad szklami okularów.

- Możliwe - przyznał. - Trudno czasem śledzić upływ czasu na zewnątrz. Jestem tu, odkąd umarł stary król.

- Który król, Albercie?

- Artorollo. Tak chyba miał na imię. Mały grubas. Piskliwy głos. Co prawda tylko raz go widziałem...

- Gdzie to było?

- W Ankh, naturalnie.

- Co? - wykrzyknął Mort. - Przecież w Ankh-Morpork nie ma królów. Wszyscy o tym wiedzą.

- Było to jakiś czas temu. - Albert nalał sobie filiżankę herbaty z osobistego imbryka Śmierci. Wyraźnie się rozmarzył.

Mort czekał niecierpliwie.

- A wtedy to byli królowie, prawdziwi królowie, nie to co teraz. Monarchowie. - Albert ostrożnie wylał trochę herbaty na spodek i powachlował ją końcem szalika. - Mądrzy i sprawiedliwi... w każdym razie dość mądrzy. Bez długich ceregieli ścinał ci głowę, jak tylko cię zobaczyli. - Z aprobatą kiwnął głową. - A wszystkie królowe były smukłe, blade i nosiły takie tam kominiarki...

- Kwefy? - odpowiedział Mort.

- Właśnie. A księżniczki były tak piękne, jak dzień długi i tak delikatne, że mogły obsusnąć groszek przez tuzin materaców...

- Co?

Albert zawahał się.

- Coś w tym rodzaju, w każdym razie - ustąpił. - I były bale, turnieje i egzekucje. Wspaniałe dni... - Uśmiechnął się z rozczeniem do swych wspomnień. - Teraz już takich nie robią - zakończył niezbyt zręcznie, budząc się z zadumy.

- Czy miałeś inne imiona, Albercie? - dopytywał się Mort. Ale chwila minęła i starzec nie pozwolił nakłonić się do zwierzeń.

- Rozumiem - burknął. - Poznasz imię Alberta, a potem znajdziesz go w bibliotece, co? Znam ja was. Tylko szperać i podglądać. Zakradać się tam i bez przerwy czytać o życiu młodych panien...

Heroldzi winy musieli wznieść zaśnieżone trąby w oczach Morta, gdyż Albert zarechotał i dźgnął chłopca kościstym palcem.

- Mógłbyś chociaż odkładać je tam, skąd wzięłeś - powiedział. - A nie zostawiać porozrzucanych, żeby stary Albert musiał je układać na półkach. Wszystko jedno: to nieładnie tak zaglądać w życia tych umarłych biedactw. Możesz od tego oślepnąć.

- Przecież ja tylko... - zaczął Mort, przypomniał sobie mokrą koronkową chusteczkę w kieszeni i umilkł.

Zostawił Alberta burczącego coś pod nosem przy zmywaniu i wymknął się do biblioteki. Białe promienie słońca padały do wnętrza przez wysokie okna, a okładki cierpliwych, starożytnych ksiąg blakły w nich łagodnie. Z rzadka tylko drobinka kurzu płynęła przez te złociste tunele, odbijała blask i rozpłomieniała się niby maleńka supernova.

Mort wiedział, że jeśli wytęży słuch, usłyszy mrówcze skrobanie piszących się ksiązek.

Kiedyś uznałby to za niesamowite. Teraz... Teraz podnosiło na duchu. Dowodziło, że wszechświat sunie gładko do przodu. Czekał na swoją szansę, sumienie przypominało mu o złośliwej uciech, że owszem, może i sunie, ale z pewnością nie w zaplanowanym kierunku.

Chłopiec przeszedł labiryntem regałów do tajemniczego stosu ksiązek na stoliku. Odkrył, że zniknęły. Albert był w kuchni, a Mort nigdy nie widział, żeby Śmierć zaglądała do biblioteki. W takim razie czego tu szukała Ysabella?

Spojrzał w górę, na urwisko półek, i poczuł nagły ucisk w żołądku na myśl o tym, co zaczyna się dziać...

Nic nie mógł na to poradzić. Musiał się komuś zwierzyć.

Tymczasem Keli też nie było lekko.

To dlatego, że przyczynowość posiada ogromną inercję. Żle

wymierzone cięcie Morta, spowodowane gniewem, desperacją i szczeniącą miłością, pchnęło ją na nowe tory, tyle że jeszcze tego nie zauważyła. Chłopiec kopnął dinozaura w ogon, ale minie sporo czasu, zanim drugi koniec gada się zorientuje, że należy powiedzieć „Au”.

Krótko mówiąc, wszechświat uważał Keli za martwą i był trochę zdziwiony widząc, że nie przestała się poruszać ani oddychać.

Okazywał to na wiele sposobów. Dworzanie, którzy zerkali na nią ukradkiem przez cały ranek, nie potrafiliby wyjaśnić, dlaczego na jej widok odczuwali dziwny niepokój. Ku swemu zakłopotaniu, a jej irytacji, starali się ją ignorować i rozmawiali ściszonymi głosami.

Szambelan stwierdził, że rozkazał opuścić królewski sztandar do połowy masztu i nawet na torturach nie umiałby wytłumaczyć dlaczego. A kiedy bez żadnego powodu zamówił dwa tysiące łokci czarnego sukna, delikatnie odprowadzono go do łóżka z rozpoznaniem lekkiego rozstroju nerwowego.

Niezwykły, nierealny nastrój ogarnął wkrótce cały zamek. Główny woźnica odkrył, że polecił wydobyć i oczyścić królewski katafalk. Stał potem na środku stajni i łkał w rękaw zamszowej kurtki, ponieważ nie mógł sobie przypomnieć po co. Służba chodziła po korytarzach na palcach. Kucharz musiał walczyć z przemożnych odruchem szykowania wielkich ilości zimnego mięsa na przekąski. Psy zaczęły wyć, a potem przestały nagle, czując się trochę głupio. Dwa czarne rumaki, tradycyjnie zaprzęgane w Sto Lat do karawanu, parskwały nerwowo w swoich zagrodach, a koniuszego skopały prawie na śmierć.

W swoim zamku w Sto Helit diuk na próżno czekał na posłańca, który istotnie wyruszył, ale zatrzymał się na środku ulicy nie pamiętając, o czym właściwie miał zawiadomić.

Wśród tego wszystkiego Keli poruszała się jak materialny i coraz bardziej zirytowany duch.

Przy obiedzie sprawy zaszły już za daleko. Wkroczyła do sali jadalnej i odkryła, że przed królewskim krzesłem nie ma nakrycia. Głośno i wyraźnie

przemawiając do lokaja zdołała naprawić to niedopatrzenie. Potem zobaczyła, że jedzący podają sobie półmiski, zanim ona zdążyła wbić widelec w któreś danie. Patrzyła z posępnym niedowierzaniem, jak wniesiono wino i jako pierwszemu nalano Lordowi Wygódki.

Choć to nie po królewsku, ale odwróciła się i podstawiała nogę lokajowi. Potknął się, wymruczał coś pod nosem i stanął wpatrzony w posadzkę.

Pochyliła się i wrzasnęła w samo ucho Kredensarza:

- Czy ty mnie widzisz, człowieku? Dlaczego muszę jeść tylko zimne mięso i szynkę?

Odwrócił się, przerywając ściszoną rozmowę z Panią Małej Sześciobocznej Komnaty w Północnej Wieży, spojrzał na księżniczkę, a w jego oczach przerażenie z wolna ustępowało miejsca zaskoczeniu.

- No więc... tego... Mogę...

- Wasza Królewska Mość - odpowiedziała Keli.

- Ależ... oczywiście... Mość... - wymamrotał.

Zapadła cisza.

Potem, jakby na nowo włączony, odwrócił się do Keli plecami i wrócił do rozmowy.

Przez chwilę księżniczka siedziała nieruchomo, pobladła ze złości i zdumienia. Potem odsunęła krzesło i pobiegła do swoich komnat. Paru służących, którzy nerwowo palili w korytarzu wspólnego papierosa, zostało roztrąconych przez coś, co nie do końca zdołali zauważyć.

Keli wpadła do sypialni i pociągnęła za sznur. Powinno to sprowadzić biegiem pokojówkę czekającą w pomieszczeniu na końcu korytarza. Przez dłuższy czas nic się nie działo, wreszcie drzwi otworzyły się wolno i do wnętrza wsunęła się zdziwiona twarz.

Keli rozpoznała to spojrzenie i była na nie przygotowana. Chwyciła służącą za ramiona, siłą wciągnęła do środka i zatrzasnęła drzwi. Kiedy przerażona dziewczyna starała się patrzeć wszędzie, byle nie na swoją panią, Keli z rozmachu wymierzyła jej siarczysty policzek.

- Poczułaś to? Poczułaś? - wrzasnęła.

- Ale przecież wy... ja... - bełkotała służąca. Cofała się, aż trafiła na łóżko i siadła ciężko.

- Spójrz na mnie! Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! - krzyczała Keli. - Widzisz mnie, prawda? Powiedz, że mnie widzisz, bo poślę cię na szafot!

Pokojówka popatrzyła na nią przerażona.

- Widzę was, pani - powiedziała. - Ale...

- Ale co? No co?

- Z pewnością jesteście... Słyszałam... Myślałam...

- Co myślałaś? - warknęła Keli. Już nie krzyczała. Jej słowa cięły jak rozżarzone do białości bicz.

Pokojówka skuliła się i rozplakała. Keli przez chwilę stukała stopą o podłogę, wreszcie łagodnie potrząsnęła dziewczynę za ramię.

- Czy jest w tym mieście jakiś mag? - spytała. - Patrz na mnie... Na mnie! Mieszka tu mag, prawda? Wy, dziewczęta, zawsze się wymykacie do magów. Gdzie mieszka?

Służąca zwróciła ku niej zalaną łzami twarz. Walczyła z własnym instynktem, który przekonywał ją, że księżniczka Keli nie istnieje.

- Uhm... Mag, owszem... Cutwell, przy Murowej...

Keli rozciągnęła wargi w uśmiechu. Nie wiedziała, gdzie trzymają płaszcze, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że łatwiej samej poszukać, niż

zmusić pokojówkę, by dostrzegła jej obecność. Czekala i patrzyła uważnie. Dziewczyna przestała szlochać, rozejrzała się niepewnie i szybko wyszła z komnaty.

Już o mnie zapomniała, pomyślała Keli. Spojrzała na swoje dłonie. Wydawały się całkiem materialne.

To z pewnością magia.

Przeszła do garderoby, na próbę otworzyła kilka szaf i wreszcie znalazła czarną pelerynę z kapturem. Narzuciła ją, wyszła na korytarz i zbiegła schodami dla służby.

Ostatnio chodziła tędy, kiedy była małą dziewczynką. Tutaj znajdował się świat komód z pościelą, nagich podłóg i barków na kółkach. Pachniało lekko spleśniałą skórą od chleba.

Keli sunęła niby materialne widmo. Wiedziała, oczywiście, że istnieją kwatery służby, podobnie jak na pewnym poziomie świadomości ludzie zdają sobie sprawę z istnienia ścieków i rynsztoków. Skłonna była przyznać, że chociaż służący wydają jej się całkiem do siebie podobni, mają zapewne jakieś cechy indywidualne, po których - prawdopodobnie - rozpoznają ich najbliżsi i ukochani. Nic jednak nie przygotowało jej na widok Moghedrona, zarządzającego królewską piwnicą, którego dotąd widywała tylko sunącego statecznie niby galeon pod żaglami. Teraz siedział w pokoju z rozpiętą kurtą i fajką w zębach.

Dwie rozchichotane pokojówki przebiegły obok, nie zwracając na księżniczkę uwagi. Szła dalej. Miała wrażenie, że z jakiejś nieznanej przyczyny stała się intruzem we własnym zamku.

Pewnie dlatego, uświadomiła sobie, że to wcale nie był jej zamek. Ten gwarny świat dookoła, z zaparowanymi pralniami i zimnymi chłodniami, istniał sam w sobie. Nie mogła go posiadać. Może to ona była jego własnością.

Porwała udko kurczęcia ze stołu w największej kuchni - prawdziwej grocie zastawionej tyloma garnkami, że w blasku ognia na paleniskach

wyglądała jak zbrojownia żółwi. Poczuła obcy sobie dreszcz emocji. Ukradła! We własnym królestwie! A kucharz spoglądał przez nią wzrokiem szklistym niczym szynka w galarecie.

Keli przebiegła obok stajni, do tylnej furty, obok dwóch gwardzistów, których surowe spojrzenie jakoś nie zdołało się na niej zogniskować.

Na ulicach nie było tak źle, chociaż wciąż czuła się dziwnie naga. To irytujące, być wśród ludzi zajętych własnymi sprawami i nie zadających sobie trudu, żeby na człowieka popatrzeć, kiedy całe człowieka doświadczenie mówiło, że świat kręci się wokół niego. Przechodnie często wpadali na człowieka i odbijali się, nie wiedząc, z czym się właściwie zderzyli. I często człowiek musiał odskakiwać z drogi jadących wozów.

Udko kurczęcia nie zdołało wypełnić pustki pozostawionej brakiem obiadu, Keli dyskretnie poczęstowała się więc jabłkami ze straganu. Postanowiła, że każe szambelanowi sprawdzić ich cenę i wysłać sprzedawcy trochę pieniędzy.

Rozczochrana, trochę brudna i lekko pachnąca końskim nawozem, stanęła wreszcie u drzwi Cutwella. Kołatka sprawiła jej niejaki problem. Zgodnie z dotychczasowym doświadczeniem drzwi same otwierały się przed wchodzącym. Pilnowali tego specjalnie zatrudnieni ludzie.

Była tak wstrząśnięta, że nawet nie zauważyła, jak kołatka do niej mrugnęła.

Zastukała znowu i usłyszała stłumiony trzask. Po chwili drzwi uchyliły się i dostrzegła za nimi okrągłą, zarumienioną twarz, zwieńczoną kręconymi włosami. Prawa stopa księżniczki zaskoczyła swoją właścicielkę, inteligentnie wsuwając się w szczelinę.

- Chcę się widzieć z magiem - oznajmiła Keli. - Wpuść mnie natychmiast.

- Jest w tej chwili zajęty - odparła twarz. - Szukasz napoju miłosnego?

- Czego?

- Mam... Mamy specjalną zniżkę na maść Tarcza Namiętności Cutwella
- oznajmiła twarz i mrugnęła podejrzenie. - Pozwala siać do woli i gwarantuje nieudane plony, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Keli zjeżyła się.

- Nie - skłamała zimno. - Nie rozumiem.

- Olejek? Przystanek Dziewicy? Krople do oczu z belladonną?

- Żądam...

- Przepraszamy, zamknięte - stwierdziła twarz i zatrzasnęła drzwi. Keli ledwie zdążyła wyciągnąć stopę.

Wymruczała kilka słów, które zdumiałyby i zaszokowały jej nauczycieli, po czym zaczęła walić w drzwi pięściami.

Rytm uderzeń stracił tempo, gdy nagle uświadomiła sobie: on ją widział! Słyszał ją!

Z nową siłą zaatakowała drzwi, wrzeszcząc przy tym ile sił w płucach.

- To nie fomoże - odezwał się jakiś głos tuż nad jej uchem. - Jest fardzo ufarty.

Rozejrzała się powoli i napotkała bezczelne spojrzenie kołatki. Ta poruszała metalowymi brwiami i mówiła niezbyt wyraźnie poprzez pierścień z kutego żelaza.

- Jestem księżniczką Keli, dziedziczką tronu Sto Lat - oznajmiła dumnie Keli, tłumiąc grozę. - I nie rozmawiam z ozdobami na drzwiach.

- A ja jestem kołatką i łogę rozławiać z kił zechcę - odparł uprzejmie gargulec. - I łogę ci jeszcze fowiedzieć, że fan ła zły dzień i nie życzy sofie intruzóf. Ale łogłafyś użyć czarodziejskiego słowa. F fykonaniu atrakcyjnej kofiety działa dziefięć razy na osieł.

- Czarodziejskiego słowa? Jakiego czarodziejskiego słowa? Kołatka

wyraźnie skrzywiła się pogardliwie.

- Niczego cię nie uczyli, fanienko?

Keli wyprostowała się na całą wysokość, co właściwie nie było warte wysiłku. Czuła, że ona także miała ciężki dzień. Ale jej ojciec w bitwie zabił kiedyś osobiście setkę nieprzyjaciół. Ona powinna sobie poradzić z kołatką.

- Zostałam wyedukowana - oznajmiła z lodowatą precyzją. - Przez najznakomitszych uczonych w kraju. Na kołatce nie zrobiło to wrażenia.

- Jeśli nie nauczyli cię czarodziejskiego słowa, to chyba nie byli tacy znakołici - stwierdziła spokojnie.

Keli chwyciła ciężki pierścień i zastukała z całej siły. Kołatka wykrzywiła się złośliwie.

- Traktuj łnie frutalnie - wysepleniła. - Tak to lufie.

- Jesteś obrzydliwa.

- Tak... To było dofre, łoże jeszcze raz...

Drzwi uchyliły się odrobinę. Za nimi przesunął się cień kędzierzawych włosów.

- Mówiłem pani, że zam... Keli zaszłochała.

- Proszę mi pomóc! -jęknęła. - Proszę...

- Fidzisz? - zauważyła tryumfująco kołatka. - Frędzej czy fóżniej każdy sofie frzyfomina czarodziejskie słowo.

Keli składała już oficjalne wizyty w Ankh-Morpork i poznała co ważniejszych magów z Niewidocznego Uniwersytetu, najsłynniejszej

magicznej uczelni Dysku. Niektórzy z nich byli wysocy, większość tęga i prawie wszyscy nosili bogate szaty, a przynajmniej wierzyli, że są bogate.

W świecie magii obowiązują zmieniające się mody, podobnie jak w sztukach bardziej przyziemnych. Styl mieszczański był jedynie chwilowy. Poprzednie generacje bywały na przemian blade i interesujące, druidyczne i zaniedbane albo mroczne i tajemnicze. Keli jednak przyzwyczaiła się do magów przypominających obrębione futrem pagórki z chrapliwym głosem, zaś Igneous Cutwell niezbyt pasował do tego wizerunku.

Był młody. Cóż, na to nie ma rady, pewnie nawet magowie zaczynają jako młodzi ludzie. Nie miał brody, a jedyne, czym była obrębiona jego niezbyt czysta szata, to przetarte szwy.

- Napijesz się może czegoś? - zapytał, dyskretnie wkopując pod stół brudną kamizelkę.

Keli rozejrzała się, szukając do siedzenia czegoś, co nie byłoby zajęte przez używaną odzież albo brudne naczynia. Pokręciła głową. Cutwell dostrzegł jej minę.

- Obawiam się, że trochę tu nieporządnie - rzucił pośpiesznie, strącając łokciem na podłogę resztkę czosnkowej kiełbasy. - Pani Nugent sprząta zwykle dwa razy w tygodniu, ale wyjechała do siostry, która znowu ma jeden z tych swoich ataków. Na pewno nic? To żaden kłopot. Nie dalej jak wczoraj widziałem tu gdzieś czysty kubek.

- Mam problem, panie Cutwell - przerwała mu Keli.

- Jedną chwileczkę. - Z haka nad kominkiem zdjął szpiczasty kapelusz, którego lepsze czasy już dawno minęły, chociaż sądząc z wyglądu nie były one dużo lepsze. - W porządku. Strzelaj.

- Czy ten kapelusz jest taki ważny?

- Jest niezbędny. Do magii należy wkładać odpowiedni kapelusz. My, magowie, znamy się na takich sprawach.

- Jeśli pan tak twierdzi... Proszę powiedzieć, czy pan mnie widzi? Przyjrzał się jej uważnie.

- Tak. Mogę stanowczo stwierdzić, że cię widzę.

- I słyszy? Słyszy mnie pan, prawda?

- Głośno i wyraźnie. Każda sylaba wskakuje na swoje miejsce. Żadnych problemów.

- W takim razie czy zdziwiłby się pan, gdybym powiedziała, że nikt inny w całym mieście tego nie potrafi?

- Oprócz mnie?

- I pańskiej kołatki - prychnęła Keli.

Cutwell przysunął sobie krzesło i usiadł. Powiercił się chwilę. Wyraz zadumy przemknął po jego obliczu. Wstał, sięgnął za siebie i wyciągnął płaską, czerwonawą masę, która kiedyś mogła być połówką pizzy[2]. Przyjrzał się jej ze smutkiem.

- Dasz wiarę? Szukałem jej cały ranek - westchnął. - Była ze wszystkimi dodatkami i podwójną papryką.

Zaczął posępnie wybierać z resztek pizzy jadalne kąski. I nagle przypomniał sobie o Keli.

- Ojej, przepraszam! - zawołał. - Gdzież moje maniery? Co sobie o mnie pomyślisz? Poczęstuj się, proszę. O, tu jest anchois.

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz? - rozzłościła się księżniczka.

- Czy czujesz się niewidzialna? To znaczy wewnętrznie? - wymamrotał niewyraźnie Cutwell.

- Oczywiście że nie. Czuję się rozzłoszczona. Dlatego chcę, żebyś mi powróżył.

- Nie znam się na tym specjalnie. To raczej praktyki szamańskie i...

- Mogę zapłacić.

- Wiesz, to nielegalne - wyznał niechętnie Cutwell. - Stary król wyraźnie zakazał wróżenia w Sto Lat. Nie przepadał za magami.

- Mogę dużo zapłacić.

- Pani Nugent opowiadała, że ta nowa, ta dziewczyna, będzie pewnie jeszcze gorsza. Podobno strasznie zadziera nosa. Nie z tych, obawiam się, co łaskawszym okiem spojrzą na adeptów subtelnych sztuk.

Keli uśmiechnęła się. Dworzanie, którzy dostrzegliby ten uśmiech, natychmiast spróbowaliby odciągnąć Cutwella z jej drogi i ukryć go w bezpiecznym miejscu, na przykład na innym kontynencie. On jednak siedział spokojnie i zbierał z szaty resztki pieczarek.

- Słyszałam, że ma paskudny charakter - stwierdziła Keli. - Nie zdziwiłabym się, gdyby i tak kazała wypędzić cię z miasta.

- O rany! - jęknął mag. - Naprawdę tak sądzisz?

- Posłuchaj uważnie - powiedziała Keli. - Nie musisz przepowiadać mi przyszłości, jedynie teraźniejszość. Nawet ona nie może mieć nic przeciw temu. Jeśli chcesz, wstawię się za tobą - dodała wielkodusznie.

- Znasz ją? - Mag rozpromienił się.

- Tak. Ale czasem mam wrażenie, że niezbyt dobrze.

Cutwell westchnął i poszperał wśród chaosu na stole, zrzucając kaskady wiekowych talerzy i dawno zmumifikowane resztki kilku posiłków. W końcu znalazł przyklejony do plasterka sera gruby skórzany futerał.

- No tak... - mruknął z powątpiewaniem. - To są karty Karoka. Wysublimowana wiedza starożytnych i w ogóle. A może lepiej ching-aling? Wszystko co potrzebne w jednym praktycznym zestawie. Nie wróżę z fusów.

- Spróbujmy tego chinga coś-tam.

- W takim razie podrzuc do góry te oto łodygi krwawnika. Podrzuciła. Przyjrzeni się wzorcowi, jaki utworzyły.

- Hmm... - mruknął po chwili Cutwell. - Ta jest w kominku, ta w kubku kakao, jedna na ulicy... Szkoda, że nie zamknąłem okna... Jedna na stole i jedna... nie, dwie za komodą. Sądę, że pani Nugent znajdzie resztę. ; - Nie mówiłeś jak mocno. Mam rzucić jeszcze raz?

- Ee... nie... Lepiej nie. - Mag przerzucał karty poźółkłej księgi, która do tej chwili służyła za podpórkę stołowej nogi. - Ten układ wydaje się mieć pewien sens. Tak, już mam. Oktogram 8887: Bezprawie, Nie Przepraszająca Gęś. Co ma odnośnik tutaj... zaraz... zaraz... tak. Już mam.

- I co?

- *Bez wertykalności skorupiakowy cesarz rozumnie wyrusza w porze herbatki; o wieczorze małż spoczywa w milczeniu pośród kwiecia migdałowca.*

- Aha - rzekła z szacunkiem Keli. - A co to znaczy?

- Jeśli nie jesteś małżem, to chyba nic ważnego - odparł Cutwell. - Mam wrażenie, że tekst stracił nieco w przekładzie.

- Czy na pewno wiesz, jak się to robi?

- Spróbujmy z kartami - zaproponował szybko mag i rozłożył talię. - Wybierz jedną. Którąkolwiek.

- To Śmierć - oznajmiła Keli.

- No tak. Śmierć. Oczywiście Śmierć nie oznacza koniecznie śmierci... Nie w każdej sytuacji - zapewnił nerwowo Cutwell.

- Chcesz powiedzieć, że nie oznacza śmierci w sytuacji, gdy podmiot jest zdenerwowany, a ty zbyt zakłopotany, żeby wyznać prawdę?

- Może weź inną kartę.

- To też Śmierć.

- Odłożyłaś tamtą do talii?

- Nie. Wziąć jeszcze jedną?

- Właściwie możesz.

- Co za przypadek.

- Śmierć numer trzy?

- Tak jest. Czy to specjalna talia do sztuczek z kartami? - Keli starała się zapanować nad sobą, ale nawet ona słyszała we własnym głosie lekką nutę hysterii.

Cutwell zmarszczył brwi, wsunął wyciągnięte przez nią trzy karty do talii, potasował i rozłożył wszystkie na stole. Była tylko jedna ze Śmiercią.

- No tak - mruknął. - To poważna sprawa. Mogę obejrzeć twoją rękę?

Długo się w nią wpatrywał. Potem wstał, podszedł do komody, wyjął z szuflady jubilerskie szkło powiększające, rękawem starł z niego owsiankę i przez kolejne parę minut badał najdrobniejsze szczegóły dłoni księżniczki. Wreszcie wyprostował się i wyjął szkło z oka.

- Jesteś martwa - oświadczył.

Keli milczała. Żadna dobra odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. „Nie jestem” brakowało stylu, zaś „Czy to poważna sprawa?” wydało się nieco frywolne.

- Powiedziałem już, że moim zdaniem to poważna sprawa? - zapytał Cutwell.

- Chyba tak. - Keli mówiła doskonale obojętnym tonem.

- Miałem rację.

- Och...

- Może nawet groźna.

- Co może mi grozić gorszego niż bycie martwą?

- Nie miałem na myśli ciebie.

- Och...

- Wydaje się, że coś fundamentalnego poszło nie tak, jak powinno. Jesteś martwa w każdym znaczeniu tego słowa, z wyjątkiem, ee... dosłownego. To znaczy karty uważają cię za martwą. Twoja linia życia uważa, że nie żyjesz. Wszystko i wszyscy wierzą, że umarłaś.

- Ja nie - wtrąciła Keli, ale zabrzmiało to niepewnie.

- Obawiam się, że twoja opinia nie ma tu znaczenia.

- Przecież ludzie mogą mnie widzieć i słyszeć!

- Pierwsza rzecz, jakiej uczą na Niewidocznym Uniwersytecie, to że ludzie nie zwracają na takie rzeczy uwagi. Najważniejsze jest to, co odpowiada im umysł.

- To znaczy ludzie nie widzą mnie, bo umysły im zabraniają?

- Mniej więcej. Nazywa się to przeznaczeniem czy jakoś tak. - Cutwell spojrzał na nią z zakłopotaniem. - Jestem magiem. Znam się na tym.

- Właściwie to nie jest pierwsza rzecz, jakiej nas uczą - dodał po chwili.
- Wiesz, najpierw tłumaczą, gdzie są toalety i takie tam sprawy. Ale potem od razu to.

- Przecież ty mnie widzisz.

- No tak... Magowie są szkoleni, by widzieć to, co jest, i nie widzieć

tego, czego nie ma. Mamy specjalne zajęcia...

Keli zabębniła palcami o stół, a przynajmniej próbowała. Okazało się to dość trudne. Popatrzyła na blat z nieokreśloną grozą.

Cutwell podbiegł i wytarł stół rękawem.

- Przepraszam - wymruczał. - Wczoraj na kolację jadłem chleb z miodem.

- Co mogę zrobić?

- Nic.

- Nic?

- Mogłabyś zostać włamywaczem doskonałym... Przepraszam. To nie było w najlepszym guście.

- Też tak sędzę.

Cutwell niezgrabnie poklepał ją po ręce. Keli była zbyt zamyślona, by zwrócić uwagę na tę ewidentną obrazę majestatu.

- Widzisz, wszystko jest z góry ustalone. Historia została opracowana od początku do końca. To, jakie fakty są istotne, nie ma najmniejszego znaczenia. Historia przetacza się po nich. Niczego nie możesz zmienić, ponieważ zmiany są już jej elementem. Jesteś martwa. Tak chciał los. Musisz się z tym pogodzić. Uśmiechnął się przepraszająco.

- I tak masz więcej szczęścia niż większość zmarłych - zauważył. - Żyjesz, żeby móc to docenić.

- Nie chcę się z tym pogodzić. Dlaczego miałabym się pogodzić? To nie moja wina!

- Nie zrozumiałaś. Historia toczy się dalej. Nie grasz w niej już żadnej roli. Nie ma dla ciebie miejsca, pojmujesz? Lepiej niech sprawy płyną swoim trybem.

Znów ją poklepał. Spojrzała na niego. Cofnął rękę.

- Więc jak mam się zachowywać? - spytała. - Nie jeść, ponieważ jedzeniu nie było przeznaczone trafić do mojego żołądka? Wynieść się i zamieszkać gdzieś w krypcie?

- Pozer z niego, prawda? - westchnął Cutwell. - Ale Los taki już jest. Jeśli świat cię nie dostrzega, to nie istniejesz. Jestem magiem. Znam się...

- Nie mów tego.

Keli wstała.

Pięć pokoleń temu jeden z jej przodków zatrzymał swoją zbójczą bandę nomadów o kilka mil od wzgórza Sto Lat i spojrzał na uśpione miasto. Jego niezwykle stanowcza twarz zdawała się mówić: „To wystarczy. Z faktu, że człowiek urodził się w siodle nie wynika jeszcze, że musi umrzeć w tym paskudztwie”.

To dziwne, ale dzięki jakiejś sztuczce dziedziczenia wiele jego charakterystycznych rysów[3] ujawniło się w jego potomkini i legło u podstaw jej nietypowej urody. Nigdy nie były bardziej wyraźne niż w tej chwili. Nawet na Cutwellu wywarła silne wrażenie. Jeśli chodzi o determinację, to ojej podbródek można by kruszyć kamienie.

Dokładnie takim samym tonem, jakim jej przodek tuż przed atakiem[4] przemówił do swych zmęczonych, znużonych ludzi, powiedziała:

- Nie. Nie uznaję tego. Nie zmienię się w jakieś widmo. A ty mi pomożesz, magu.

Podświadomość Cutwella rozpoznała ten ton. Miał w sobie takie brzmienie, że nawet kornik w desce podłogi rzucił zwykłe zajęcia i stanął na baczność. To nie było wyrażenie opinii, to była decyzja: tak będzie.

- Ja, pani? - wyjąkał mag. - Nie wiem, co mógłbym...

Potężna siła poderwała go z krzesła i wywlokła na ulicę. Wiatr rozwiewał mu szatę. Dumnie wyprostowana Keli maszerowała do pałacu,

wlokąc za sobą Cutwella jak upartego szczeniaka. Takim krokiem zmierzały matki do szkoły, kiedy ich synek wracał do domu z podbitym okiem. Był niepowstrzymany; był jak Bieg Czasu.

- Co zamierzasz? - wykrztusił Cutwell, przytłoczony straszliwą świadomością, że cokolwiek to będzie, on nie zdoła się temu przeciwstawić.

- To twój szczęśliwy dzień, magu.

- Ojej... To dobrze...

- Zostałeś mianowany Królewskim Rozpoznawcą.

- Aha. A na czym to polega?

- Masz wszystkim przypominać, że ja żyję. To bardzo proste. Do-
staniesz trzy solidne posiłki dziennie i opierunek. Żywo, człowieku.

- Królewskim?

- Jesteś magiem. Myślę, że jest coś, czego powinienes się dowiedzieć.

DOPRAWDY?, zapytał Śmierć.

(To trik kinowy, zaadaptowany do druku. Śmierć nie rozmawiał z księżniczką. Był w swoim gabinecie i rozmawiał z Mortem. Ale to niezły efekt, prawda? Nazywa się chyba przenikanie, albo cięcie-zbliżenie. Albo jakoś tak. Wszystko jest możliwe w przemyśle, gdzie podstawowy element dzieła nazywa się klapsem).

A CÓŻ TAKIEGO?, dodał, okręcając kawałek czarnego jedwabiu wokół groźnego haczyka zaciśniętego w małym imadle umocowanym do biurka.

Mort zawahał się. Głównie ze strachu i zakłopotania, ale również

dlatego, że każdemu mógłby odebrać głos widok zakapturzonego kościotrupa spokojnie przygotowującego przynętę na ryby.

Poza tym Ysabell siedziała na drugim końcu pokoju, ostentacyjnie zajęta haftem, i przyglądała mu się otoczona obłokiem dezaprobaty. Czuł, jak spojrzenie zaczerwienionych oczu wwierca mu się w kark.

Śmierć umocował krucze piórko i zagwizdał prostą melodyjkę - przez zęby, bowiem nie dysponował niczym innym, przez co mógłby gwizdać. Podniósł głowę.

HM?

- Oni... Oni nie poszli mi tak gładko, jak myślałem - wyjąkał Mort, nerwowo przestępując z nogi na nogę na dywanie przed biurkiem.

MIAŁEŚ KŁOPOTY?, zainteresował się Śmierć.

Przyciął piórko.

- No więc... Czarownica nie chciała odejść, a mnich, no... zaczął od początku.

NIE MA SIĘ O CO MARTWIĆ, CHŁOPCZE...

- ...Mort...

POWINIENEŚ SIĘ JUŻ ZORIENTOWAĆ, ŻE KAŻDY DOSTAJE TO, W CO WIERZYŁ, ŻE GO CZEKA. TO BARDZO ELEGANCKIE ROZWIĄZANIE.

- Wiem, proszę pana. Ale to znaczy, że źli ludzie, którzy wierzą, że trafią do jakiegoś raju, naprawdę się tam dostaną. A dobrzy, którzy się boją, że pójdą w jakieś okropne miejsce, naprawdę cierpią. To nie jest sprawiedliwe.

CO CI MÓWIŁEM? O CZYM JEDYNIE MASZ PAMIĘTAĆ, KIEDY JESTEŚ NA SŁUŻBIE?

- Mówił pan...

HM?

Mort zaciął się.

NIE MA SPRAWIEDLIWOŚCI. JESTEŚ TYLKO TY.

- No...

NIE WOLNO CI O TYM ZAPOMINAĆ.

- Tak, ale...

SĄDZĘ, ŻE W KOŃCU WSZYSTKO SIĘ JAKOŚ UŁOŻY NIGDY NIE POZNAŁEM STWÓRCY, SŁYSZAŁEM JEDNAK, ŻE JEST DOBRZE USPOSOBIONY DO LUDZI.

Śmierć urwał nić i zaczął odkręcać imadło.

NIE DRĘCZ SIĘ TAKIMI RZECZAMI, dodał. PRZYNAJMNIEJ TRZECI OBIEKT NIE POWINIEN BYŁ SPRAWIĆ CI KŁOPOTÓW.

Nadeszła właściwa chwila. Mort od dawna się do niej przygotowywał. Nie warto było ukrywać swego czynu. Zakłócił przecież cały przyszły bieg historii, a takie rzeczy zwykle zwracają uwagę. Najlepiej zrzucić to z siebie. Zachować się jak mężczyzna. Nawarzone piwo - wypić. Karty - na stół. Krążenie opłotkami - nie. Łaska - zdać się na.

Przenikliwe błękitne oczy zamigotały.

Patrzył w nie jak królik, co nocą próbuje wytrzymać spojrzenie reflektorów szesnastokołowego kolosa, którego kierowca od dwunastu godzin ciągnie na kofeinie i usiłuje wyprzedzić szybkościomierze piekła.

Nie udało mu się.

- Nie, proszę pana - powiedział.

ŚWIETNIE. DOBRA ROBOTA. A TERAZ... CO O TYM MYŚLISZ?

Wędkarze twierdzą, że dobra mucha powinna jak najlepiej udawać prawdziwą. Są muchy odpowiednie na ranek, są inne, właściwe na letnie wieczory. I tak dalej.

Ale mucha, którą Śmierć trzymał w kościstych palcach, była muchą z początków czasu. Muchą z pierwotnej mazi. Żerowała na odchodach mamutów. Nie taką, która obija się o szyby, ale taką, która przebija ściany. Owadem, co wyczołguje się spod najcięższej packi, ociekając jadem i palając żądzą zemsty. Sterczały z niej dziwaczne skrzydła i wisały jakieś strzępki. Zdawało się, że ma mnóstwo zębów.

- Jak się nazywa?

NAZWĘ JĄ... CHWAŁĄ ŚMIERCI. Śmierć raz jeszcze z podziwem przyjrzał się swemu dziełu, po czym wpiął je w kaptur płaszcza. DZIŚ WIECZOREM MAM OCHOTĘ TROCHĘ POKOSZTOWAĆ ŻYCIA, oznajmił. MOŻESZ PRZEJĄĆ SŁUŻBĘ, SKORO WIESZ JUŻ, NA CZYM TO WSZYSTKO POLEGA. WŁAŚNIE.

- Tak. Proszę pana - zgodził się smętnie Mort. Zobaczył swoje życie rozciągające się przed nim na podobieństwo długiego, ciemnego tunelu bez światła na końcu.

Śmierć stukał palcem o biurko, mruczając coś pod nosem.

ATAK, przypomniał sobie. ALBERT MÓWIŁ, ŻE KTOŚ SZPERAŁ W BIBLIOTECĘ.

- Słucham?

WYJĄŁ KSIĄŻKI I ZOSTAWIŁ JE POROZRZUCANE. KSIĄŻKI O MŁODYCH KOBIETACH. MAM WRAŻENIE, ŻE GO TO BAWI.

Jak już powiedziano, Świątobliwi Słuchacze posiadają tak wyczulony słuch, że nawet porządny wschód słońca może ich ogłuszyć. Przez kilka sekund Mort miał wrażenie, że skóra na jego karku osiągnęła podobnie

niezwykłe zdolności: widział, jak Ysabell zamiera ze wzniesioną igłą. Usłyszał też gwałtowne wciągnięcie powietrza, takie samo jak wtedy za regałem. Przypomniawszy sobie koronkową chusteczkę.

- Przepraszam - powiedział. - To się więcej nie powtórzy.

Skóra na karku zaswędziała go wściekle.

TO DOBRZE. A TERAZ MOŻECIE JUŻ IŚĆ. POPROŚCIE ALBERTA, ŻEBY PRZYGOTOWAŁ WAM PIKNIK ALBO CO. ZACZERPNIJCIE ŚWIEŻEGO POWIETRZA, ZAUWAŻYŁEM, ŻE STAŁE SIĘ UNIKACIE. Konspiracyjnie szturchnął Morta łokciem - przypominało to ukłucie kijem - i dodał: ALBERT WYTŁUMACZYŁ MI, CO TO ZNACZY

- Naprawdę? - spytał ponuro chłopiec.

Mylił się. Na końcu tunelu jaśniało światło: miotacz ognia.

Śmierć obdarzył go kolejnym mrugnięciem supernowej.

Mort nie odpowiedział. Odwrócił się i powlókł do drzwi ze średnią prędkością, przy której Wielki A'Tuin przypominał rozbrykane jagnię.

Był już w połowie korytarza, gdy usłyszał za sobą ciche kroki i poczuł dłoń na ramieniu.

- Mort...

Odwrócił się i przez mgiełkę depresji spojrzał na Ysabell.

- Dlaczego mu nie powiedziałaś, że to nie ty byłaś w bibliotece?

- Nie wiem.

- To bardzo... bardzo ładnie z twojej strony - stwierdziła ostrożnie.

- Naprawdę? Sam nie wiem, co mnie napadło. - Wyjął z kieszeni chusteczkę. - To chyba twoje.

- Dziękuję. - Głośno wytarła nos.

Mort tymczasem zdążył już odejść. Przygarbione ramiona przypominały skrzydła sępa. Pobiegnęła za nim.

- Zaczekaj.

- Co?

- Chciałam ci podziękować.

- Nie ma za co - mruknął. - Najlepiej będzie, jeśli przestaniesz wynosić książki. To je niepokoi czy coś takiego. - Wydał z siebie dźwięk, który miał być ponurym śmiechem. - Ha!

- Co ha?

- Ha i już.

Dotarł do drzwi kuchennych. W środku Albert na pewno będzie uśmiechał się porozumiewawczo, a tego Mort by nie wytrzymał. Zatrzymał się.

- Ale mam tylko książki do towarzystwa - odezwała się za nim. Podał się.

- Moglibyśmy przespacerować się po ogrodzie - zaproponował zrezygnowany. A kiedy zdołał nakłonić serce, by stało się twarde jak kamień, dodał jeszcze: - Bez żadnych zobowiązań, ma się rozumieć.

- To znaczy, że się ze mną nie ożenisz?

- Ożenię? - Mort był wstrząśnięty.

- Czy nie po to ojciec cię do nas sprowadził? Przecież nie potrzebuje ucznia.

- Masz na myśli te jego szturchańce, te mrugnięcia, uwagi, że kiedyś, synu, przejmiesz po mnie to wszystko? Starałem się nie zwracać na to uwagi.

Nie zamierzam się jeszcze żenić. Z nikim - dodał, wymazując z myśli przelotny obraz księżniczki. - A zwłaszcza z tobą. Bez urazy.

- Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś był ostatnim mężczyzną na Dysku
- oświadczyła ze słodyczą.

Mort poczuł się nieco urażony. Co innego nie chceć się z kimś ożenić, a co innego, kiedy ten ktoś zapewnia, że nie zamierza za ciebie wyjść.

- Przynajmniej nie wyglądam, jakbym od lat wyjadał pączki za szafą - rzekł, kiedy wstąpili na czarne trawniki Śmierci.

- A ja chodzę, jakby moje nogi miały po jednym kolanie - odparła.

- A moje oczy nie przypominają dwóch ślimatych gotowanych jajek.

Ysabell kiwnęła głową.

- Z drugiej strony jednak moje uszy nie są podobne do tego czegoś, co rośnie na zwalonym drzewie. Co to znaczy „ślimate”?

- No wiesz, to takie, jakie robi Albert.

- Z takim prawie płynnym i lepkim białkiem i takimi śliskimi kawałkami w środku?

- Tak.

- Niezłe słowo - przyznała po namyśle. - W dodatku moje włosy, chciałabym zauważyć, nie przypominają czegoś, czym się czyści wygodkę.

- To prawda, ale za to moje nie przypominają zmokłego jeżozwierza.

- Zwróć uwagę, że moja pierś nie wygląda jak stojak na grzanki w mokrej papierowej torbie.

Mort zerknął z ukosa na dekolt sukienki Ysabell. Zobaczył tam dość tkanki, żeby podlać tłuszczem bankiet plemienia kanibali. Zrezygnował z komentarza.

- Moje rzęsy nie przypominają dwóch parzących się gąsienic - spróbował.

- Fakt. Ale moje nogi, mam wrażenie, potrafiłyby zatrzymać świnię na korytarzu.

- Nie bardzo...

- Nie są krzywe - wyjaśniła.

- Aha.

Nie znajdując chwilowo słów szli niespiesznie między grządkami lilii. Wreszcie Ysabell stanęła przed Mortem i wyciągnęła rękę. Uścisnął ją we wdzięcznym milczeniu.

- Wystarczy? - spytała.

- Mniej więcej.

- To dobrze. Chyba jasne, że nie możemy się pobrać. Choćby ze względu na dobro dzieci.

Mort przytaknął.

Usiedli na kamiennej ławie między równiutko przyciętym żywopłotem. W tym zakątku ogrodu Śmierć stworzył staw zasilany lodowatym strumieniem, który wyglądał, jakby wymiotował go kamienny lew na brzegu. Tłusty biały karp krył się w głębinie, a od czasu do czasu podpływał pod powierzchnię, między aksamitno-czarne lilie wodne.

- Powinniśmy zabrać ze sobą trochę okruszków - zauważył uprzejmie Mort, szukając jakiegoś nie kontrowersyjnego tematu.

- On tu nigdy nie przychodzi, wiesz? - odpowiedziała Ysabell, patrząc na rybę. - Zrobił to wszystko dla mojej przyjemności.

- Nie udało mu się?

- To nie jest prawdziwe. Nic tu nie jest prawdziwe. Nie takie naprawdę prawdziwe. On po prostu lubi się zachowywać jak człowiek. Zauważyłeś pewnie, że w tej chwili bardzo się stara. Wydaje mi się, że masz na niego wpływ. Wiesz... kiedyś próbował grać na banjo.

- Mam wrażenie, że jest raczej typem organowym.

- Nie potrafił. - Ysabell nie zwracała na chłopca uwagi. - On nie umie niczego stworzyć. Rozumiesz?

- Mówiłaś, że stworzył sadzawkę.

- To kopia jakiejś, którą gdzieś zobaczył. Wszystko tu jest kopią. Mort poruszył się niespokojnie. Mały owad wspinał mu się po nodze.

- Smutne - stwierdził z nadzieją, że używa odpowiedniego tonu.

- Tak.

Podniosła z alejki garść żwiru i zaczęła z roztargnieniem rzucać kamyki do wody.

- Czy rzeczywiście mam takie fatalne brwi? - spytała.

- Ehm... - odpowiedział Mort. - Obawiam się, że tak.

- Och... - Chlup, chlup. Karp obserwował ją wzgardliwie.

- A moje nogi? - chciał wiedzieć Mort.

- Owszem. Przykro mi.

Mort nerwowo przejrzał swój ograniczony repertuar towarzyskich pogawędek. Zrezygnował.

- To głupstwo - rzekł mężnie. - Przynajmniej możesz użyć pincety.

- Jest bardzo dobry - oznajmiła Ysabell, puszczając jego słowa mimo uszu. - Tylko tak jakby stale myślał o czymś innym.

- Nie jest twoim prawdziwym ojcem?

- Moi rodzice zginęli w drodze przez Wielki Nef. Wiele lat temu. Chyba wybuchła burza. On mnie znalazł i przyprowadził tutaj. Nie wiem, czemu to zrobił.

- Może było mu cię żal?

- On nigdy niczego nie czuje. Nie ma czym, brakuje mu... jakże się nazywają... gruczołów. Pewnie tylko pomyślał, że mu mnie żal.

Zwróciła bladą twarz do Morta.

- Nie mogę się na niego skarżyć. Stara się jak najlepiej potrafi. Tyle że ma tak wiele spraw na głowie...

- Mój ojciec był trochę podobny. To znaczy jest.

- Ale chyba jednak ma gruczoły.

- Chyba tak. - Mort przesunął się niespokojnie. - Szczerze mówiąc nigdy się nad tym nie zastanawiałem... nad gruczołami.

Stojąc ramię w ramię, spoglądali na karpia. Karp odpowiadał spokojnym spojrzeniem.

- Właśnie zakłóciłem całą historię przyszłości - oznajmił Mort.

- Tak?

- Widzisz, kiedy on chciał ją zabić, to ja zabiłem jego, ale problem w tym, że według historii ona powinna zginąć, a diuk miał być królem, ale najgorsze, najgorsze, to że chociaż on jest zepsuty do szpiku kości, zjednoczyłby miasta i w końcu powstałaby federacja, a w książkach piszą, że nastąpi sto lat pokoju i dobrobytu. Rozumiesz, można by przypuszczać, że zapanują rządy terroru albo coś w tym rodzaju, tyle że najwyraźniej historia potrzebuje czasem takiego człowieka, a księżniczka byłaby po prostu jeszcze jedną władczynią. Nie to że złą, właściwie całkiem dobrą, ale nie tą właściwą, a teraz nic z tego już się nie zdarzy, historia się uwolniła i

wszystko to przeze mnie. Umilkł, niespokojnie czekając jej odpowiedzi.

- Miałeś rację, wiesz?

- Tak?

- Powinniśmy przynieść jakieś okruchy - wyjaśniła. - Przypuszczam, że znajdują jedzenie w wodzie. Żuki i inne takie.

- Słuchałeś, co mówiłem?

- O czym?

- Nie, właściwie o niczym specjalnym. Przepraszam. Ysabell westchnęła i podniosła się.

- Sądzę, że niedługo zechcesz wyruszyć - rzekła. - Cieszę się, że wyjaśniliśmy sobie sprawę tego małżeństwa. Przyjemnie mi się z tobą rozmawiało.

- Mogliśmy doprowadzić się do nienawiści.

- Z ludźmi, z którymi pracuje ojciec, zwykle nie da się rozmawiać. Zdawało się, że nie potrafi odejść, jakby czekała, aż Mort powie coś istotnego.

- Rzeczywiście. - To było wszystko, co zdołał wymyślić.

- Chyba musisz już jechać do pracy.

- Mniej więcej.

Mort zawahał się. Uświadomił sobie, że w jakiś niewytłumaczalny sposób pogawędka spłynęła z mielizny i teraz unosiła się nad głębokimi problemami, które nie do końca rozumiał.

Zabrzmiał dźwięk, jakby...

Sprawił, że Mort wspomniał stare podwórko za domem. Poczul ukłucie

nostalgii. Podczas surowych zim Ramtopów trzymali na podwórzu wytrzymałe górskie bestie, thaigi. Spokojnie przeżuwały siano. Z nadejściem wiosny podwórze zalegała warstwa głęboka na kilka stóp, z solidną lodową pokrywą. Można było po niej przejść, jeśli człowiek uważał. Jeśli nie, wpadał po kolano w skoncentrowaną substancję, a dźwięk, jaki wydawał wyszarpywany but, zielony i parujący, w równym stopniu był odgłosem nowej pory roku co śpiew ptaków i brzęczenie pszczoł.

To był właśnie taki dźwięk. Mort odruchowo spojrzał na buty.

Ysabell płakała. Nie szlochała jak dama, ale łkała głośno, pociągając nosem - jakby bąble powietrza z podwodnego wulkanu ściągały się, który pierwszy dotrze na powierzchnię. Łkania wyrywały się pod ciśnieniem, dojrzałe latami nieszczęścia.

- Ehm... - powiedział Mort.

Drżała jak wodne łóżko w strefie wstrząsów sejsmicznych. Nerwowo szperała po rękawach szukając chusteczki, ale byłaby ona tak nieprzydatna jak papierowy kapelusz podczas burzy z piorunami. Próbowала coś powiedzieć, lecz wydobywała z siebie jedynie strumień spółgłosek przerywanych łkaniem.

- Ee... - powiedział Mort.

- Zapytałam: jak myślisz, ile mam lat?

- Piętnaście? - zaryzykował.

- Szesnaście - zawyła. - A wiesz, jak długo mam szesnaście lat?

- Przepraszam, ale nie ro...

- Pewnie, że nie rozumiesz. Nikt nie rozumie. - Wysiąkała nos i mimo drżenia dłoni starannie wetknęła dość mokrą chustkę z powrotem do rękawa.

- Ty możesz wyjeżdżać - powiedziała. - I jesteś tu za krótko, żeby się zorientować. Nie zauważyłeś, że czas stoi tu w miejscu? Oczywiście, coś płynie, ale to nie jest prawdziwy czas. On nie potrafi stworzyć prawdziwego

czasu.

-Aha...

Kiedy znów się odezwała, mówiła cienkim głosem, spokojnie, a przede wszystkim odważnie, jak ktoś, kto mimo fatalnej sytuacji wziął się w garść, ale lada chwila może wypuścić.

- Jestem szesnastolatką od trzydziestu pięciu lat.

- Nie...

- Już w pierwszym roku było fatalnie.

Mort wspomniał ostatnie kilka tygodni i pokiwał głową.

- To dlatego czytałaś te książki? - zapytał.

Ysabell spuściła głowę i z zakłopotaniem szurała sandałkiem po żwirze.

- Są bardzo romantyczne - wyjaśniła. - To naprawdę śliczne historie. Była tam taka młoda dziewczyna, która zażyła truciznę, kiedy umarł jej ukochany, i jedna, która skoczyła w przepaść, kiedy jej ojciec się upierał, żeby wyszła za tego starucha, i jeszcze taka, co wolała się utopić niż poddać...

Mort słuchał zdumiony. Sądząc po starannie dobranych lekturach Ysabell, byłoby zadziwiające, gdyby choć jedna osoba płci żeńskiej na Dysku przeżyła wiek młodzińczy dostatecznie długo, by włożyć parę pończoch.

- ...i pomyślała, że on nie żyje, więc się zabiła, a on się wtedy obudził, zobaczył ją i popełnił samobójstwo, a potem była jeszcze taka dziewczyna...

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że przynajmniej kilka kobiet dożywało trzydziestki, nie zabijając się z miłości. Jednak zdrowy rozsądek nie grał w tych dramatach żadnej roli, nawet jako statysta[5]. Mort wiedział już, że miłość wzbudza uczucie gorąca i zimna, że czyni okrutnym i słabym, ale nie

zdawał sobie sprawy, że może tak bardzo ogłupić.

- ...co noc przepływał rzekę, ale raz wybuchł sztorm, a kiedy on się nie zjawił, ona...

Mort instynktownie wyczuwał, że niektóre młode pary spotykały się, powiedzmy, na tańcach we wsi, młodzi podobali się sobie, chodzili ze sobą przez rok czy dwa, kłócili się parę razy, potem godzili, pobierali, mieli dzieci i wcale nie popełniali samobójstwa.

Zauważył, że litania tragicznych romansów dobiegła końca.

- No tak... - mruknął niepewnie. - A czy ktokolwiek, no wiesz... ktokolwiek żył sobie dalej?

- Kochać znaczy cierpieć - oznajmiła Ysabell. - Musi też być dużo mrocznych namiętności.

- Musi?

- Absolutnie. I zgryzoty.

Nagle jakby coś sobie przypomniała.

- Wspominałeś chyba, że coś się uwolniło - powiedziała, z trudem nad sobą panując.

Mort pomyślał chwilę.

- Nie.

- Obawiam się, że nie uważałam.

- To naprawdę nieważne.

W milczeniu ruszyli do domu.

Mort wrócił do gabinetu i przekonał się, że Śmierć zniknęła. Na biurku stały cztery klepsydry, a wielka oprawna w skórę księga na pulpicie była

starannie zamknięta.

Pod klepsydrami zauważył liścik.

Mort wyobrażał sobie, że Śmierć pisze gotykiem albo kanciastymi literami używanymi na nagrobkach. Śmierć jednak studiował grafologię i przejął charakter pisma wskazujący na osobowość zrównoważoną i spokojną.

W liście napisał:

Poszedłem na ryby. Zostawiam ci egzekucję w Pseudopolis, naturalny w Krullu, śmiertelny upadek w Górach Carrick i starość w Ell-Kinte. Potem jesteś wolny.

Mort sądził, że historia miota się jak zerwana lina holownicza, że smaga na prawo i lewo szerokimi, niszczycielskimi cięciami.

Historia jest inna. Historia pruje się delikatnie jak stary sweter. Wiele razy była łatana i cerowana, splatana na nowo, by bardziej odpowiadała różnym osobom, wciskana do pudła pod zlewem cenzury, by czekać tam, aż potną ją na ścierki propagandy. Jednak zawsze w końcu wyrwała się i powracała do dawnego, znajomego kształtu. Historia ma zwyczaj zmieniać ludzi, którzy myślą, że ją zmieniają. Zawsze trzyma w wystrzępionym rękawie kilka dodatkowych asów. Radzi sobie już od bardzo dawna.

Oto, co się działo:

Fałszywie wymierzony cios kosi Morta rozciął historię na dwie oddzielne rzeczywistości. W mieście Sto Lat wciąż panowała księżniczka Keli, choć z pewnymi kłopotami i całodobową pomocą Królewskiego Rozpoznawcy. Cutwell dostał posadę na dworze i miał za zadanie pamiętać, że Keli istnieje. Jednak w dalszych krainach - poza równinami, w Ramtopach, wokół Okrągłego Morza i dalej, aż do Krawędzi - tradycyjna rzeczywistość przeważała i Keli była bez wątpienia martwa, diuk został

królem i świat podążał potulnie według planu, cokolwiek ten plan miał przynieść.

Rzecz w tym, że obie te rzeczywistości były prawdziwe.

Coś w rodzaju historycznego horyzontu zdarzeń otaczało teraz miasto w odległości około dwudziestu mil i póki co nie rzucało się w oczy. To dlatego, że... nazwijmy tę wielkość różnicą historycznych ciśnień... nie była jeszcze zbyt wielka. Ale narastała. Gdzieś pośród pól mokrej kapusty powietrze migotało i trzeszczało lekko, jakby ktoś smażył koniki polne.

Ludzie nie zmieniają historii, tak jak ptaki nie zmieniają nieba. Rysują w niej tylko niezwykle wzory. Cał po calu, niepowstrzymana jak lodowiec, ale o wiele zimniejsza, prawdziwa rzeczywistość sunęła powoli w stronę Sto Lat.

Mort był pierwszym, który to zauważył. Miał ciężkie popołudnie. Wspinacz trzymał się lodowego chwytu do ostatniej sekundy, a skazaniec nazwał Morta sługusem monarchistycznego reżimu. Jedynie starsza pani, stutrzyletnia, która w otoczeniu zapłakanych krewnych czekała na przejście do lepszego świata, uśmiechnęła się do niego i powiedziała, że wygląda trochę blado.

Słońce Dysku zniżało się już do horyzontu, kiedy Pimpuś kłusował wolno po niebie w stronę Sto Lat. Mort spojrzał w dół i zobaczył granicę rzeczywistości. Zakrzywiała się pod nim niby półksiężyc delikatnej, srebrzystej mgły. Nie wiedział, co to jest, ale miał brzydkie przeczucie, że ma to jakiś związek z jego dokonaniem.

Ściągnął wodze i pozwolił, by koń powolnym krokiem zbliżył się do ziemi i wylądował o kilka sążni przed ścianą migoczącego powietrza. Przesuwała się w tempie nieco wolniejszym od spacerowego, posykując z cicha, gdy dryfowała widmowo przez mokre zagony kapusty i zamrożone rowy melioracyjne.

Noc była chłodna: z takich nocy, kiedy przymrozek i mgła walczą o panowanie nad światem, a każdy dźwięk rozlega się przytłumiony. Z nozdrzy Pimpusia tryskały obłoczki pary. Rumak zarżał cicho, niemal przepraszająco, i uderzył kopytem o ziemię.

Mort zsunął się z siodła i ostrożnie podszedł do powierzchni styku. Lśniąca ściana trzeszczała lekko. Dziwaczne kształty migotały na niej, przepływały, zmieniały się i znikwały bez śladu.

Rozejrzał się, znalazł patyk i ostrożnie dotknął nim bariery. Wzbudził koliste zmarszczki, które rozbiegły się i zniknęły.

Podniósł głowę, kiedy przepłynął nad nim ciemny kształt. To czarna sowa patrolowała rowy w poszukiwaniu czegoś małego i piskliwego. W rozprysku lśniącej mgły uderzyła w ścianę, pozostawiając sowokształtną falę, która rosła i rozlewała się, aż dołączyła do kalejdoskopu wrzących form.

A potem ptak zniknął. Powierzchnia styku była przezroczysta i Mort widział, że żadna sowa nie pojawiła się po drugiej stronie. I kiedy zastanawiał się nad tym, o kilka stóp od niego nastąpiło kolejne bezgłośnie chlupnięcie i ptak wyfrunął, po czym nie przejmując się zupełnie podjął lot nad polami.

Mort zebrał się na odwagę i przeszedł przez barierę, która nie była żadną barierą. Poczuł mrowienie.

Chwilę później Pimpus przeskoczył za nim, przewracając w desperacji oczami i ciągnąc za sobą błyszczące włókna, lepiące się do kopyt. Stał dęba, potrząsnął grzywą, by usunąć kleiste pasemka mgły, i spojrzał na Morta z wyrzutem. Chłopiec złapał go za uzdę i sięgnął do kieszeni po trochę przybrudzoną kostkę cukru. Wiedział, że natrafił na coś ważnego. Nie był tylko pewien, co to jest.

Zobaczył drogę biegnącą między szeregami mokrych i posępnych wierzb. Wskoczył na siodło i pokierował Pimpusia w ociekającą wilgocią ciemność pod gałęziami.

W dali widział światła Sto Helit, które było właściwie jedynie nie-

dużym miasteczkiem. Delikatne lśnienie na horyzoncie to z pewnością Sto Lat. Mort tęsknie spojrział w tamtą stronę.

Bariera martwiła go. Widział, jak sunie wolno przez pole za drzewami.

Chciał już popędzić Pimpusia w powietrze, gdy niedaleko w przodzie dostrzegł jakieś światło, ciepłe i gościnne. Spływało z okien sporego budynku ustawionego w pewnej odległości od drogi. Prawdopodobnie w każdej sytuacji byłoby to przyjazne światło, jednak w tych okolicznościach i wobec nastroju Morta wywoływało niemal ekstazę.

Kiedy podjechał bliżej, zauważył poruszające się w nim cienie i pochwycił strzępki piosenki. Przed nim stała gospoda, a w środku ludzie bawili się, czy też zajmowali tym, co uchodzi za zabawę wśród wieśniaków, całe życie pracujących przy kapuście. Wobec tych roślin prawie wszystko sprawia człowiekowi radość.

Tam były ludzkie istoty, zajęte prostymi ludzkimi czynnościami, takimi jak upijanie się i zapominanie słów piosenek.

Mort nigdy nie odczuwał tęsknoty za domem - pewnie dlatego, że myśli miał zajęte innymi sprawami. Teraz jednak po raz pierwszy ogarnęła go nostalgia - rodzaj żalu nie za miejscem, ale za stanem ducha, za byciem zwykłym człowiekiem nękanym zwykłymi zmartwieniami, na przykład brakiem pieniędzy, chorobą, innymi ludźmi...

Napiję się czegoś, pomyślał, to może poczuję się lepiej.

Obok gospody stała duża stajnia z otwartymi wrotami. Mort wprowadził Pimpusia w ciepłą, pachnącą zwierzętami ciemność, gdzie stały już trzy inne konie. Kiedy mocował worek z obrokiem, zastanowił się, co rumak Śmierci odczuwa wobec innych koni, prowadzących nie tak nadprzyrodzony tryb życia. Z pewnością w porównaniu z nimi, obserwującymi go nieufnie, wyglądał wspaniale. Był prawdziwym koniem, czego dowodem były pęcherze od łopaty na dłoniach Morta. A tutaj sprawiał wrażenie bardziej prawdziwego, bardziej materialnego niż kiedykolwiek. Bardziej końskiego. Trochę większego niż w rzeczywistości.

Niewiele brakowało, a Mort wydedukowałby ważny wniosek. Nie-szczęśliwie się zatem złożyło, że kiedy szedł przez podwórze do niskich drzwi, jego uwagę zwrócił szyld gospody. Twórca dzieła nie przejawiał szczególnego talentu, ale z niczym nie dało się pomylić linii podbródka Keli i jej masy ognistych włosów na portrecie Pod Głowom Krulowej.

Westchnął ciężko i pchnął drzwi.

Wszyscy obecni zamilkli jak jeden mąż i wlepili w niego te szczere, wieśniacze spojrzenia, sugerujące, że za złamany szeląg walną człowieka łopatą po łbie i zakopią ciało pod kopcem kompostu o pełni księżyca.

Warto może w tym miejscu raz jeszcze przyjrzeć się Mortowi, jako że w trakcie ostatnich kilku rozdziałów bardzo się zmienił. Na przykład nadal sprawia wrażenie, jakby miał za dużo kolan i łokci, jednak wydaje się, że przewędrowały bliżej swych normalnych pozycji. Nie chodzi już o stawy powiązane gumką. Kiedyś wyglądał, jakby o niczym nie miał pojęcia; teraz raczej jak człowiek, który wie za dużo. Coś w jego oczach zdaje się sugerować, że widział rzeczy, których zwykli ludzie nie oglądają nigdy, a w każdym razie nie więcej niż jeden raz w życiu.

Coś w jego wyglądzie podpowiada patrzącym, że sprawianie temu chłopcu kłopotów jest mniej więcej tak samo rozsądne jak kopanie gniazda szerszeni. Krótko mówiąc, Mort nie przypomina już czegoś, co przywłókł kot i co sobie zostawił na potem.

Karczmarz wypuścił krótką drewnianą pałkę, którą trzymał pod ladą, i ułożył wargi w coś przypominającego - chociaż nie za bardzo - serdeczny powitalny uśmiech

- Dobry wieczór, wasza wysokość - powiedział. - Czego pragniecie w tę zimną, wietrzną noc?

- Co? - Mort zamrugnął, oślepiony blaskiem.

- Chce wiedzieć, czego się napijecie - wyjaśnił mały człowieczek o twarzy łasicy. Spoglądał na Morta wzrokiem, jakim rzeźnik spogląda na podwórze pełne owiec.

- Hm... Sam nie wiem. Macie tu Gwiazdną Rosę?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem, wasza miłość.

Mort popatrzył na zwrócone ku niemu, oświetlone blaskiem ognia twarze. Byli to ludzie, których zwykle nazywa się solą ziemi. Innymi słowy twardzi, prości i szkodliwi dla zdrowia, jednak chłopiec był zbyt zamyślony, by to zauważyć.

- A co się tutaj zwykle pija?

Karczmarz spojrział z ukosa na swoich gości, co było chytrą sztuczką, jako że siedzieli wprost przed nim.

- Cóż, wasza miłość, najchętniej jabłkownik.

- Jabłkownik? - Mort puścił mimo uszu kilka stłumionych chichotów.

- Tak, wasza miłość. To z jabłek. No... głównie z jabłek. Mort uznał, że jabłka są zdrowe.

- No dobrze - mruknął. - Dajcie mi kufel jabłkownika.

Sięgnął do kieszeni po sakiewkę ze złotem, którą dostał od Śmierci. Wciąż była prawie pełna. W nagłej ciszy delikatny brzęk monet rozbrzmiewał niczym legendarne Mosiężne Gongi Leshpu, słyszalne na morzu podczas sztormowych nocy, gdy prądy poruszają nimi w zatopionych wieżach trzysta sążni pod powierzchnią.

- I podajcie tym dżentelmenom czego sobie życzą - dodał po chwili.

Chór podziękowań odwrócił jego uwagę od faktu, że nowi przyjaciele piją z małych kieliszek wielkości naparstka, on jeden zaś otrzymał duży, drewniany kubek.

Wiele legend krąży na temat jabłkownika i tego, jak jest produkowany na bagiennych polanach, według recepty przekazywanej drżącą ręką z ojca na syna. Nie jest prawdą to, co powtarza się o szczurach, łbach węży czy ołowianym śrucie. Historia o zdechłych owcach to czysty wymysł. Można

również zapomnieć o guzikach spodni. Prawdą jest za to, że nie należy pozwalać na kontakt trunku z metalem. Kiedy bowiem karczmarz, bezczelnie oszukując przy wydawaniu, wysypał w kałużę jabłkownika na barze niewielki stosik miedziaków, płyn natychmiast zaczął się pienić.

Mort powąchał napój i wypił nieduży łyk. Smakowało trochę jabłkami, trochę jak jesienne poranki, a najbardziej jak kora spod sągu drewna. Nie chcąc jednak okazać braku szacunku, pociągnął solidnie.

Goście obserwowali go i odliczali bezgłośnie.

Mort wyczuł, że czegoś po nim oczekują.

- Niezłe - oświadczył. - Bardzo odświeżające. - Łyknął jeszcze trochę. - Wymaga wyrobionego podniebienia - dodał. - Ale jestem pewien, że warto się przyłożyć.

W gromadzie gości zabrzmiały jeden czy dwa pomruki niezadowolenia.

- Mówię wam, że dolewa wody. Ot co.

- Nie... Przecież wiesz, co się dzieje, kiedy choć kropla wody dotknie jabłkownika.

Karczmarz starał się nie zwracać na to uwagi.

- Smakuje panu? - zapytał Morta takim tonem, jakiego ludzie używali wobec św. Jerzego pytając: „Co takiego zabiłeś?”

- Aromatyczny - stwierdził Mort. - Lekko orzechowy posmak.

- Przepraszam bardzo - powiedział karczmarz i delikatnie wyjął kubek z dłoni chłopca. Powąchał. Przetarł oczy.

- Annyag - oświadczył. - To prawdziwy trunek. Na pewno.

Spojrzał na Morta z czymś zbliżonym do podziwu. Rzecz nie w tym, że chłopak wypił już trzecią część kufla jabłkownika, ale w tym, że wciąż trwał

w pozycji pionowej i najwyraźniej pozostawał przy życiu. Oddał kubek takim gestem, jakby wręczał nagrodę za jakiś niewiarygodny wyczyn. A kiedy Mort wypił jeszcze łyk, kilku patrzących drgnęło niespokojnie. Karczmarz zastanawiał się, z czego ten młodzik ma zęby. Uznał, że pewnie z tego samego co żołądek.

- Nie jesteście przypadkiem magiem? - zapytał dla porządku.

- Przykro mi, ale nie. A powinienem?

Chyba nie, pomyślał karczmarz. Zresztą on nie chodzi jak mag i w dodatku niczego nie pali.

Raz jeszcze zerknął na kubek jabłkownika.

Coś tu wyglądało podejrzenie. Chłopak wyglądał podejrzenie. Nie tak jak powinien. Wyglądał...

...o wiele bardziej realnie niż by należało.

To śmieszne, ma się rozumieć. Bar był realny, podłoga realna, klienci tak realni, jak tylko można zapragnąć. Mimo to Mort, stojący z zakłopotaną miną i sączący ciecz, w której można by czyścić łyżki, promieniował jakąś wyjątkowo potężną realnością, dodatkowym wymiarem rzeczywistości. Włosy miał bardziej włochate, ubranie bardziej ubraniowe, buty były kwintesencją butowości. Głowa bolała od samego patrzenia na niego.

A jednak w tej właśnie chwili Mort wykazał, że jest jednak istotą ludzką. Kubek wypadł z jego zeszywniałych palców i stuknął o posadzkę, a strużki jabłkownika zaczęły wyżerać w niej dziury. Bezgłośnie otwierając i zamykając usta, chłopiec wyciągnął rękę w stronę ściany.

Stali bywalcy wrócili do swoich zwykłych rozmów i gry w bierki, uspokojeni, że wszystko jest takie, jak być powinno. Mort zachowywał się teraz zupełnie normalnie. Karczmarz, zadowolony, że trunek podtrzymał swą reputację, sięgnął ponad barem i przyjaźnie poklepał chłopca po ramieniu.

- Wszystko w porządku - zapewnił. - Często tak ludzi bierze. Będzie

was tylko głowa bolała przez parę tygodni, ale to głupstwo. Kropelka jabłkownika znowu postawi was na nogi.

Wiadomo jednak, że najlepszym lekarstwem na jabłkownikowego kaca jest włos z psiej sierści... czy może raczej ząb rekina albo gąsienica buldożera.

Mort jednak nadal wskazywał przed siebie.

- Nie widzicie? - zapytał drżącym głosem. - To przechodzi przez ścianę! Przechodzi przez ścianę!

- Wiele rzeczy przechodzi przez ścianę, kiedy człowiek pierwszy raz napije się jabłkownika. Zwykle różne stwory, zielone i włochate.

- To mgła? Nie słyszycie jak syczy?

- Sycząca mgła, tak? - Karczmarz zerknął na ścianę, wcale nie tajemniczą i całkiem pustą, jeśli nie liczyć kilku pajęczyn. Przerażenie Morta nieco go zaniepokoiło. Wolałby chyba typowe pokryte łuską potwory. Przy nich człowiek wiedział przynajmniej, na czym stoi.

- Przechodzi przez salę! Nie czujecie jej?

Bywalcy popatrzyli po sobie. Mort odbierał im pewność siebie. Jeden czy dwóch przyznało potem, że poczuli jakby lodowaty dreszcz, ale mogła to być niestrawność.

Mort cofnął się i chwycił oburącz za bar. Zadygotał.

- Spokojnie - mruknął karczmarz. - Dowcip to dowcip, ale bez...

- Przedtem mieliście zieloną koszulę!

Karczmarz spojrzał w dół. W jego głosie zadźwięczała nuta grozy.

- Przed czym? - wyjąkał.

Ku jego zdumieniu, zanim dłoń zakończyła dyskretną wycieczkę w

stronę pałki, Mort pochylił się nad ladą i złapał go za fartuch.

- Macie zieloną koszulę, prawda? - zapytał. -Widziałem ją. Miała takie małe, żółte guziczki.

- No owszem. Mam dwie koszule. - Karczmarz usiłował się wyprostować. - Jestem człowiekiem dobrze sytuowanym - dodał. - Po prostu jej dzisiaj nie włożyłem.

Wolał nie zgadywać, skąd chłopak wie o guziczkach.

Mort puścił go i odwrócił się.

- Oni wszyscy siedzą na innych miejscach! Gdzie jest ten, co siedział przy kominku? Wszystko się zmieniło!

Wybiegł za drzwi, z dworu dobiegł stłumiony okrzyk, chłopiec wpadł z powrotem i szeroko otwierając oczy spojrzał na przerażonych gości.

- Kto zmienił szyld? Ktoś przemalował szyld! Karczmarz nerwowo oblizał wargi.

- Znaczy się po śmierci starego króla? - zapytał. Spojrzenie Morta wzbudziło dreszcz. Oczy były jak dwie czarne otchłanie grozy.

- Znaczy się nazwa! O nazwę mi chodzi!

- Zawsze... zawsze nazywaliśmy się tak samo. - Karczmarz z desperacją zerkał na gości, szukając u nich wsparcia. - Prawda, chłopcy? Pod Głową Diuka.

Zabrzmiął chór potwierdzających mruknięć.

Mort przyglądał się im, drżąc wyraźnie. Po chwili odwrócił się i znowu wybiegł na zewnątrz.

Usłyszeli tętent kopyt, który cichł z wolna, aż w końcu umilkł, jakby koń nagle opuścił tę ziemię. W gospodzie zaległa cisza. Goście unikali swojego wzroku. Żaden nie chciał być pierwszym, który przyzna, że widzieli

to, co im się zdawało.

Karczmarz musiał więc sam przejść niepewnym krokiem przez całą salę, wyciągnąć rękę i przesunąć palcami po znajomej, solidnej, drewnianej powierzchni drzwi. Były całe, bez żadnego pęknięcia. Dokładnie takie, jakie powinny być drzwi.

Wszyscy widzieli, że Mort przebiegł przez nie trzy razy. Tyle że ich nie otwierał.

Pimpuś zwiększał pułap, wznosił się niemal pionowo, kopyta uderzały o powietrze, a para oddechu rozwiewała się za nim niczym smuga kondensacyjna. Mort trzymał się go kolanami i rękami, lecz głównie siłą woli. Wtulił twarz w końską grzywę. Nie spojrzał w dół, póki atmosfera nie stała się zimna i rzadka jak sos w stołówce.

Zorza Osiowa migotała nad nim bezgłośnie na zimowym niebie. W dole leżał...

...odwrócony talerz o średnicy wielu mil, srebrzysty w blasku gwiazd. Widział przez niego światła. Dryfowały przez niego chmury.

Nie. Przyjrzał się dokładniej. Z pewnością chmury dryfowały do tej kopuły, były też chmury wewnątrz, lecz te wewnętrzne wydawały się mniej gęste i sunęły w nieco innym kierunku. Właściwie nie miały chyba wiele wspólnego z chmurami zewnętrznymi. I jeszcze coś... a tak, Zorza Osiowa. Na zewnątrz widmowej półkuli nadawała nocy niesamowity zielonkawy odcień, jednak pod kopułą nie było po nim nawet śladu.

Miał wrażenie, że spogląda na fragment innego świata, prawie identycznego, zaszczipionego na Dysku. Pogoda była tam trochę inna i Zorza dzisiaj nie świeciła.

A Dysk odrzucał ten obcy fragment, okręzał go i wypychał w niebyt. Z

tej pozycji Mort nie widział, czy półkula się zmniejsza, jednak uszami duszy słyszał brzęczenie powłoki sunącej po polach, zmieniającej rzeczy na takie, jakimi stać się powinny. Rzeczywistość sama się naprawiała.

Wcale o tym nie myśląc Mort wiedział, kto znajduje się w centrum kopuły. Nawet z tej wysokości było widać, że jej środkiem jest miasto Sto Lat

Starał się sobie nie wyobrażać, co nastąpi, kiedy kopuła zmniejszy się do rozmiarów pokoju, potem do rozmiarów człowieka, potem jajka. Bezskutecznie.

Logika podpowiedziałyby mu, że w tym tkwi ocalenie. Za dzień czy dwa problem sam się rozwiąże; treść książek w bibliotece znów będzie odpowiadać rzeczywistości; świat wróci do dawnej formy jak elastyczny bandaż. Logika przypomniałyby, że kolejna interwencja prawdopodobnie pogorszy tylko sytuację. Logika wykazałyby to wszystko, gdyby ona także nie wzięła sobie wolnego na dzisiejszą noc.

Światło na Dysku sunie powoli, ze względu na hamujący efekt potężnego pola magicznego. W tej chwili fragment Krawędzi, na którym leżała wyspa Krull, znajdował się dokładnie pod orbitą małego słońca, zatem wciąż panował tu wczesny wieczór. Było też całkiem ciepło, jako że Krawędź otrzymuje więcej energii i cieszy się łagodnym morskim klimatem.

Co więcej, Krull ze sterczącą poza Krawędź dużą częścią tego, co z braku lepszego słowa trzeba nazwać linią brzegową, był szczęśliwą wyspą. Jedyni obywatele, którzy tego nie doceniali, to ci, którzy nie patrzyli pod nogi albo którzy chodzili przez sen, lecz dobór naturalny sprawił, że nie zostało ich wielu. Wszystkie społeczeństwa mają pewien procent wyrzutków, ale na Krullu nie dostają oni szansy, żeby wskoczyć z powrotem.

Terpsic Mims nie był wyrzutkiem. Był wędkarzem. Istnieje pewna różnica: wędkowanie jest bardziej kosztowne. Ale Terpsic był szczęśliwy.

Patrzył, jak piórko na korkowym spławiku podskakuje łagodnie na spokojnych wodach porośniętej trzciną rzeki Hakrull, i właściwie o niczym nie myślał. Zepsuć mu nastrój mogłoby tylko złapanie jakiejś ryby, ponieważ łapanie ryb było tym, co w wędkowaniu naprawdę go przerażało. Zimne i śliskie ryby wyrywały się i działały mu na nerwy, a nerwy Terpsica nie były w najlepszym stanie.

Dopóki niczego nie złowił, Terpsic Mims był jednym z najszcześliwszych wędkarzy na Dysku, a to dlatego, że Hakrull płynęła o pięć mil od jego domu, zatem i pięć mil od pani Gwladys Mims, z którą przeżył sześć szczęśliwych miesięcy małżeństwa. Działo się to jakieś dwadzieścia lat temu.

Terpsic nie zwrócił szczególnej uwagi na innego wędkarza, który zajął pozycję na brzegu kawałek dalej. Oczywiście, inni rybacy protestowaliby może przeciwko takiemu naruszeniu etykiety, jednak kodeks Terpsica stwierdzał wyraźnie, że nie przeszkadza mu nic, co zmniejsza szansę złowienia jakiegoś śliskiego paskudztwa. Kątem oka zauważył tylko, że przybysz łowił na spinning - interesująca rozrywka, którą jednak Terpsic odrzucał, ponieważ człowiek zbyt dużo czasu musi spędzać w domu, szykując odpowiedni sprzęt.

Nigdy jeszcze nie widział takiego łowienia. Wiedział, że używa się rozmaitych przynęt, jednak nowo przybyły miał muchę, która pędziła przez powietrze brzęcząc jak piłą, i sama wyciągała ryby z wody.

Terpsic przyglądał się z chorobliwą fascynacją, jak niewyraźna postać za kępą wierzb raz za razem zarzuca, przynętę. Woda wrzała, kiedy cała rybna populacja rzeki przeciskała się, by jak najszybciej uciec przed brzęczącą grozą. Na nieszczęście spory i oszalały ze strachu szczupak przez zwykłą nieuwagę połknął haczyk Terpsica.

Nieszczęśnik w jednej chwili stał spokojnie na brzegu, w następnej pogrążał się w zielony, lepki półmrok, bąbelkami oddawał ostatnie tchnienie, widział, jak przed oczami przebiega mu całe jego życie i nawet w tej chwili bał się fragmentu między swoim ślubem a dniem dzisiejszym. Przyszło mu do głowy, że Gwladys wkrótce zostanie wdową i to odrobinę poprawiło mu humor. Szczerze mówiąc Terpsic zawsze starał się dostrzegać jasne strony życia, więc zapadając się w muł pomyślał z wdzięcznością, że od tej chwili

sytuacja może się już tylko poprawić.

I wtedy czyjaś ręka złapała go za włosy i wywlokła na powierzchnię, nagle pełną bólu. Upiorne niebieskie i czarne płatki pływały mu przed oczami. Płuca gorzały ogniem. Krtań była jak tunel agonii.

Dłonie - zimne dłonie, lodowate dłonie, dłonie przypominające w dotyku rękawiczki wypełnione kośćmi - wyholowały go z wody i rzuciły na brzeg. Tutaj, po kilku próbach dokończenia tonięcia, został brutalnie i przemocą przywrócony temu, co uchodziło za życie.

Terpsic nieczęsto się złościł, ponieważ Gwladys tego nie lubiła. Ale czuł się oszukany. Nikt się z nim nie konsultował w sprawie jego przyjścia na świat; ożenił się, ponieważ Gwladys i jej ojciec o to zadbali. A teraz brutalnie odebrano mu jedyne osiągnięcie, które należało tylko do niego. Jeszcze kilka sekund temu wszystko wydawało się całkiem proste. A teraz znów się skomplikowało.

Nie znaczy to, oczywiście, że Terpsic chciał umrzeć. Bogowie mieli bardzo stanowcze poglądy na temat samobójstwa. Po prostu nie chciał zostać uratowany.

Przez straszną maskę mułu i wodorostów spojrzał na niewyraźną, pochyloną nad nim sylwetkę.

- Na co mnie ratowałeś? - wykrzyknął.

Odpowiedź trochę go zdziwiła. Myślał o niej, kiedy chlupocząc człapał do domu. Tkwiła w umyśle, kiedy Gwladys narzekała na stan jego ubrania. Wędrowała po głowie, kiedy kichając siedział smętnie przy kominku, jako że chorób Gwladys też nie lubiła. A kiedy rozdygotany leżał już w łóżku, przygniatała jego sny niczym góra lodowa. I w gorączkowych majaczeniach wymruczał:

- Co to miało znaczyć: NA PÓŹNIEJ?

Pochodnie płonęły w mieście Sto Lat. Duże grupy ludzi zajmowały się wymianą ich na nowe w razie potrzeby. Ulice jaśniały. Skwierczące ognie odpychały cienie, które od stuleci bezwstydnie pilnowały własnych spraw. Rozświetlały pradawne zaułki, gdzie zdumione szczury błyskały oczkami z głębi swych nor. Zmuszały włamywaczy do pozostania w domu. Świeciły na nocne mgły, tworząc aureolę żółtego blasku przyćmiewającą zimne jasne frędzle płynące od Osi. Głównie jednak rozświetlały oblicze księżniczki Keli.

Było wszędzie. Na każdej płaskiej powierzchni. Pimpus siedł jasnymi ulicami między księżniczkami Keli na drzwiach, ścianach i okapach. Mort widział plakaty z twarzą swej ukochanej na każdej powierzchni, gdzie robotnicy zdołali je przykleić.

Co dziwniejsze, nikt jakoś nie zwracał na nie uwagi. Co prawda nocne życie Sto Lat nie było tak barwne i pełne wydarzeń jak w Ankh-Morpork - podobnie jak kosz na śmieci nie może się równać z miejskim wysypiskiem - jednak ulice pełne były ludzi, rozbrzmiewały przenikliwymi wołaniami handlarzy, hazardzistów, sprzedawców łakoci, graczy w trzy kubki, dam do towarzystwa, kieszonkowców i z rzadka jakiegoś uczciwego kupca, który trafił tu przypadkiem i nie mógł zebrać pieniędzy na wyjazd. Do Morta dobiegały strzępy rozmów w kilkunastu językach; z obojętną akceptacją przyjmował fakt, że wszystkie je rozumie.

W końcu zsiadł i poprowadził wierzchowca wzdłuż ulicy Murowej, na próżno wypatrując domu Cutwella. Znalazł go jedynie dzięki temu, że garb na najbliższym plakacie wydawał jakieś stłumione dźwięki. Mort ostrożnie zdarł pas papieru.

- Dziękuję fardzo - powiedziała kołatka-gargulec. - Jak fy ci się to fodofało? F jednej chwili życie fłyniejak zfykle, f następnej łasz gęfę fełną kleju.

- Gdzie jest Cutwell?

- Fyfrofadził się do fałacu. - Kołatka zerknęła na Morta i mrugnęła żelaznym okiem. - Jacyś ludzie frzyszli i zafralijego rzeczy. A fotem jacyś

inni zaczęli fszędzie fieszać fortrety jego dziefczyny. Łoluzy - dodała.

Mort zaczerwienił się.

- Jego dziewczyny?

Kołatka, mająca demoniczny charakter, parsknęła śmiechem. Brzmiało to tak, jakby ktoś przeciągnął paznokciami po pilniku.

- Tak - odparła. - Chyfa ił się sfieszyło, jeśli łogę fyrazić sfoją ofi-nię.

Mort siedział już w siodle.

- Zaraz! - krzyknęła kołatka w stronę jego pleców. - Łołent! Łóglfys lnie odkleić, chłofcze?

Mort szarpnął wodze tak mocno, że Pimpus stanął dęba i zatańczył do tyłu na bruku. Chłopiec złapał za żelazny pierścień. Kołatka spojrzała na niego i nagle poczuła się bardzo przestraszona kołatką. Oczy Morta gorzały jak tygiel, jego twarz była jak palenisko, głos mógłby roztopiać metale. Kołatka nie wiedziała, do czego jest zdolny, ale miała wrażenie, że wolałaby trwać w tej niewiedzy.

- Jak mnie nazwałaś? - syknął Mort. Kołatka zastanowiła się szybko.

- Szanofnył fanel? - spróbowowała.

- A czego chciałaś?

- Żefys odkleił ze lnie ten fafler?

- Nie mam zamiaru.

- Śfietnie - mruknęła kołatka. - Śfietnie, lnie to nie frzeszkadza. Trzyłał się tego, co łał.

Spoglądała, jak Mort oddala się kłusem. Zadygotała z ulgi, w zde-nerwowaniu stukając sobą cicho.

- Ciiienki piiiissk - zauważył jeden z zawiasów.

- Załknij się!

Mort minął nocny patrol. Zadanie strażników polegało teraz chyba wyłącznie na dzwonieniu dzwoneczkami i wykrzykiwaniu imienia księżniczki. Robili to niepewnie, jakby z trudem je sobie przypominali. Nie zwrócił na nich uwagi, ponieważ nasłuchiwał głosów we własnej głowie. Prowadziły taką dyskusję:

Widziała cię tylko raz, durniu jeden. Dlaczego miałaby się tobą przejmować?

Tak, ale przecież uratowałem jej życie...

To znaczy, że ono teraz należy do niej, nie do ciebie. Poza tym on jest magiem.

No to co? Magowie podobno nie mogą... nie mogą spotykać się z dziewczętami. Żyją w celi i bacie.

Celi i bacie?

Nie wolno im no-wiesz...

Co? Żadnego no-wiesz?, spytał wewnętrzny głos takim tonem, jakby uśmiechał się z niedowierzaniem.

Podobno to źle wpływa na magię, pomyślał z goryczą Mort

Zabawne miejsce na trzymanie magii.

Mort był zaszokowany.

Kim jesteś?, zapytał.

Jestem tobą, Mort. Twoim wewnętrznym ja.

No to proszę, żebyś się wyniósł z mojej głowy. Jest dostatecznie ciasno, kiedy sam tam jestem.

Jak sobie życzysz, odparł głos. Chciałem tylko pomóc. Ale pamiętaj, gdybyś kiedyś siebie potrzebował, zawsze jesteś pod ręką.

Głos ucichł.

No tak, pomyślał smętnie Mort. To musiałem być ja. Tylko ja nazywam siebie Mortem.

Ta świadomość zaszokowała go i nie zauważył, że pogrążony w monolog przejechał przez bramę pałacu. Oczywiście, ludzie codziennie przejeżdżają przez bramę pałacu, jednak wolą, żeby ją najpierw otworzyć.

Strażnicy po drugiej stronie skamienieli ze zgrozy. Myśleli, że zobaczyli ducha. Byliby o wiele bardziej przerażeni, gdyby odkryli, że duch to niemal dokładnie to, czego nie widzieli.

Strażnik przy drzwiach do głównego korytarza także to widział, ale miał czas się trochę opanować. Kiedy Pimpus przemierzał truchtem dziedziniec, żołnierz uniósł włócznie.

- Stój! - wychrypiał. - Stój, kto idzie? Mort dopiero teraz go zauważył.

- Co? - spytał, nadal zamyślony.

Strażnik przesunął językiem po suchych wargach i odstąpił o krok. Mort zsunął się z siodła i podszedł bliżej.

- Pytałem, kto idzie - spróbował jeszcze raz żołnierz z tą mieszaniną uporu i samobójczej głupoty, które wróżyły mu szybki awans.

Mort delikatnie chwycił włócznie i odsunął ją sobie z drogi. Pochodnia oświeciła mu twarz.

- Mort - powiedział cicho.

Wystarczyłoby to każdemu normalnemu żołnierzowi, ale ten gwardzista był materiałem na oficera.

- To znaczy przyjaciel czy wróg? - wykrztusił, unikając wzroku przybysza.

- A kogo byś wolał? - Mort uśmiechnął się. Ten uśmiech nie dorównywał uśmiechowi jego mistrza, ale był całkiem skuteczny i nie miał w sobie ani śladu humoru.

Strażnik odetchnął z ulgą i odsunął się.

- Wejdz, przyjacielu - powiedział.

Mort ruszył korytarzem ku schodom prowadzącym do komnat królewskich. Zmieniło się tu bardzo od czasu, kiedy ostatnio był w zamku. Wszędzie wisiały portrety Keli, zastąpiły nawet starożytne, zetlałe proporce bojowe w cieniach pod stropem. Trudno było zrobić kilka kroków, żeby nie spojrzeć w twarz księżniczki. Część umysłu Morta zastanawiała się dlaczego, inna część martwiła się migotliwą kopułą nieuchronnie zbliżającą się do miasta, ale największa wrzała i bulgotała z zazdrości i oszołomienia. Ysabell miała rację, pomyślał chłopiec. To musi być miłość.

- Chłopak, który chce przechodzić przez ściany!

Mort gwałtownie podniósł głowę. U szczytu schodów stał Cutwell.

Mag bardzo się zmienił, zauważył Mort z goryczą. Chociaż może nie aż tak bardzo. Wprawdzie nosił czarno-białą szatę wyszywaną cekinami, chociaż szpiczasty kapelusz był na dwa łokcie wysoki i udekorowany magicznymi symbolami jak tablica pogładowa u dentysty, i chociaż buty z czerwonego aksamitu miały srebrne klamry i czubki zawinięte niczym węże, jednak na kołnierzu dało się zauważyć kilka plam. W dodatku chyba coś przeżuwał.

Spokojnie patrzył, jak Mort wspina się do niego po schodach.

- Złóścisz się na mnie? - zapytał. - Podjąłem studia, ale potem

musiałem dopilnować innych zajęć. Ciężka sprawa, przechodzić przez...
Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Co tu robisz?

- Mógłbym zapytać o to samo. Chcesz truskawkę? Mort zerknął na mały koszyczek w dłoni maga.

- W środku zimy?

- Szczerze mówiąc to kielki z odrobiną czaru.

- Smakują jak truskawki?

- Nie. - Cutwell westchnął. - Jak kielki. Zaklęcie nie jest całkiem skuteczne. Myślałem, że pocieszę tym księżniczkę, ale rzuciła nimi we mnie. Szkoda marnować. Częstuj się.

Mort przyglądał mu się niepewnie.

- Rzuciła w ciebie?

- Owszem, niestety bardzo celnie. Niezwykle stanowcza młoda dama.

Hej, odezwał się głos w głębi umysłu Morta. To znowu ty, uświadamiasz sobie, że szansę, by księżniczka choćby pomyślała o no-wiesz z tym człowiekiem, są mniej niż znikome.

Odejdź, pomyślał Mort. Własna podświadomość zaczynała go niepokoić. Odnosił wrażenie, że ma bezpośrednie połączenie z tymi częściami ciała, które w tej chwili wolałby ignorować.

- Ale co tu robisz? - zapytał na głos. - Czy ma to jakiś związek z tymi portretami?

- Niezły pomysł, prawda? - Cutwell rozpromienił się. - Szczerze mówiąc jestem z siebie dumny.

- Przepraszam bardzo - przerwał mu słabym głosem Mort. - Miałem

ciężki dzień. Chyba powinienem usiąść.

- Może w sali tronowej. O tej porze nikogo tam nie ma. Wszyscy śpią.

- To dlaczego ty nie śpisz?

- Ehem... - odchrząknął mag. - No, pomyślałem sobie, że zobaczę, czy nie zostało coś w spiżarni.

Wzruszył ramionami[6].

Pora już poinformować, że Cutwell również zauważa, iż Mort - nawet Mort wycieńczony długą jazdą i brakiem snu - sprawia wrażenie jaśniejszego, a także w jakiś dziwny sposób, zupełnie nie związany ze wzrostem, większego niż w rzeczywistości. Różnica polega na tym, że dzięki studiom Cutwell potrafi odgadnąć więcej niż zwykli ludzie i wie, że w sprawach magicznych oczywista odpowiedź jest zwykle błędna.

Mort potrafi przechodzić przez ściany i bez przykrych efektów pić mocny alkohol nie dlatego, że zmienia się w widmo, ale że staje się niebezpiecznie realny.

Co więcej, kiedy chłopiec potyka się na pustym korytarzu i nawet tego nie zauważając przenika marmurową kolumnę, jest oczywiste, że z jego punktu widzenia świat zaczyna szybko tracić swoją materialność.

- Właśnie przeszedłeś przez marmurową kolumnę - zauważył Cutwell.
- Jak to zrobiłeś?

- Naprawdę?

Mort obejrzał się. Kolumna wyglądała całkiem solidnie. Trącił ją ręką i rozbił sobie łokieć.

- Mógłbym przysiąc, że przeszedłeś - potwierdził Cutwell. - Wiesz, magowie widzą takie rzeczy.

Sięgnął do kieszeni swej szaty.

- W takim razie zauważyłeś może tę mglistą kopułę nad okolicą? - spytał Mort.

- Już?!

- Nie wiem, czy już. Ale ta trzeszcząca powierzchnia sunie coraz bliżej, a nikt inny jakoś się nią nie przejmuję. W dodatku...

- Jak szybko się przesuwa?

- ...ona wszystko zmienia.

- Widziałeś ją? Jak daleko stąd? Jak szybko się przesuwa?

- Oczywiście, że widziałem. Przejechałem przez nią dwa razy. To było jak...

- Ale przecież nie jesteś magiem, więc...

- A co ty tu robisz, tak w ogóle... Cutwell nabrał tchu.

- Cisza! - wrzasnął.

Zapadła cisza. Mag złapał Morta za ramię.

- Chodź - rzucił i pociągnął go z powrotem korytarzem. - Nie wiem, kim właściwie jesteś i mam nadzieję, że kiedyś będę miał czas, żeby się przekonać. Ale niedługo wydarzy się coś strasznego, a ty jesteś w to jakoś zamieszany.

- Coś strasznego? Kiedy?

- Zależy, jak daleko jest styk i jak szybko się porusza. - Cutwell wciągnął chłopca w boczne przejście. Puścił go, gdy stanęli przed wąskimi dębowymi drzwiami. Poszperał w kieszeni i wyjął mały, twardy kawałek sera oraz nieprzyjemnie miękkiego pomidora.

- Potrzebujesz? Dzięki. - Sięgnął znowu, znalazł klucz i otworzył drzwi.

- To zabije księżniczkę, prawda? - spytał Mort.

- Tak - przyznał Cutwell. - A właściwie nie. - Znieruchomiał z ręką na kłamce. - To bardzo inteligentne spostrzeżenie. Skąd wiedziałeś?

- Ja... - Mort zawahał się.

- Opowiedziała mi bardzo dziwną historię - oświadczył Cutwell.

- Tak przypuszczam. Jeśli była niewiarygodna, to musiała być prawdziwa.

- To ty nim jesteś, zgadłem? Asystentem Śmierci?

- Tak. W tej chwili nie na służbie.

- Miło mi to słyszeć.

Cutwell zamknął za nimi drzwi i poszukał świecy. Coś stuknęło, błysnęło niebieskie światło i zabrzmiał jęk.

- Przepraszam - powiedział, ssąc palce. - Czar ognia. Nigdy mi dobrze nie wychodzi.

- Spodziewałeś się tej półkuli? - spytał niespokojnie Mort. - Co się stanie, kiedy ona się zamknie?

Mag usiadł ciężko na resztkach kanapki z szynką.

- Nie jestem całkiem pewny - oświadczył. - Ciekawie będzie popatrzeć. Ale obawiam się, że raczej nie od wewnątrz. Okaże się, przypuszczam, że ostatniego tygodnia w ogóle nie było.

- Ona nagle umrze?

- Nie rozumiesz. Ona będzie martwa od tygodnia. To wszystko... - zatoczył krąg rękami - się nie wydarzy. Zabójca wykona swoje zadanie. A ty swoje. Historia się naprawi. Wszystko będzie w najlepszym porządku... To znaczy z punktu widzenia Historii. Właściwie żaden inny się nie liczy.

Mort wpatrywał się w wąskie okno. Za dziedzińcem widział oświetlone jasno ulice, a portrety księżniczki uśmiechały się do nieba.

- Powiedz, po co te portrety. Wygląda to na jakieś działania magiczne.

- Działania... Nie jestem pewien, czy działają. Widzisz, ludzie zaczęli się denerwować, nie wiedzieli dlaczego i to jeszcze pogarszało sytuację. Ich umysły znalazły się w innej rzeczywistości, a ciała w innej. Bardzo nieprzyjemne zjawisko. Nie mogli się pogodzić z faktem, że ona wciąż żyje. Pomyślałem, że portrety coś pomogą, ale ludzie zwyczajnie nie widzą tego, o czym myślą, że nie istnieje.

- Tyle to ja sam wiem - mruknął Mort.

- Za dnia kazałem wysyłać heroldów - mówił dalej Cutwell. - Myślałem, że jeśli ludzie zdołają w nią uwierzyć, to ta nowa rzeczywistość stanie się prawdziwa.

- Słucham? - Mort odwrócił się od okna. - Nie zrozumiałem.

- No wiesz... Gdyby dostatecznie wielu ludzi w nią uwierzyło, potrafiliby zmienić rzeczywistość. Z bogami to działa. Kiedy ludzie przestają wierzyć w boga, on umiera. Jeśli ma wielu wyznawców, staje się silniejszy.

- O tym nie wiedziałem. Myślałem, że bogowie to po prostu bogowie.

- Nie lubią, kiedy się o tym mówi - ostrzegł Cutwell, przerzucając stos książek i pergaminów na biurku.

- Zresztą dla bogów może to być skuteczne, bo oni są wyjątkowi - zauważył Mort. - Ludzie są... bardziej materialni. Z ludźmi się nie uda.

- Nieprawda. Przypuśćmy, że wyjdiesz stąd i będziesz się włóczył po pałacu. Któryś ze strażników pewnie cię zauważy, weźmie za złodzieja i strzeli z kuszy. Rozumiesz, w jego rzeczywistości będziesz złodziejem. Naprawdę nie jesteś, ale staniesz się takim samym trupem, jakby miał rację. Wiara to potężna siła. Jestem magiem. Znamy się na takich rzeczach. Popatrz tutaj.

Z chaosu na blacie wydobył księgę i otworzył ją na plasterku boczku, którego używał jako zakładki. Mort spojrzał mu przez ramię i zmrużył oczy widząc kręte, magiczne pismo. Litery przemieszczały się na stronie, próbując nie dopuścić do przeczytania siebie przez nie-maga. Efekt był raczej nieprzyjemny.

- Co to jest? - zapytał.

- To Księga Magii autorstwa Alberto Malicha, Arcymaga. Coś w rodzaju podręcznika teorii. Lepiej nie przyglądaj się słowom zbyt uważnie, one tego nie lubią. O tutaj... Piszą...

Bezgłośnie poruszał wargami. Drobne kropelki potu wystąpiły mu na czoło, postanowiły zebrać się razem i zajrzeć na dół, sprawdzić, co porabia nos. Oczy łzawiły.

Są ludzie, którzy lubią usiąść w fotelu z dobrą książką. Nikt jednak, kto zachował choćby odrobinę zdrowego rozsądku, nie próbowałby tego z księgą czarów, ponieważ w niej nawet pojedyncze słowa prowadzą własne, złowrogie życie. Czytanie ich jest psychicznym odpowiednikiem zapasów. Często się zdarzało, że młody mag próbował czytać zbyt dla niego potężny grimoire, ludzie, którzy usłyszeli krzyki, znajdowali tylko szpiczaste buty z unoszącym się nad nimi klasycznym kłębem dymu, oraz księgę - może odrobinę grubszą. Szperającym w czarodziejskich bibliotekach mogą się przydarzyć rzeczy, wobec których wyssanie twarzy przez mackowatego potwora z Piekielnych Wymiarów wyda się zaledwie delikatnym masażem.

Na szczęście Cutwell miał wersję ocenzurowaną, a niektóre co bardziej niespokojne stronice spięto razem. Co prawda w ciche noce słyszał, jak pochwycone tam słowa drapią z irytacją o ściany swego więzienia, niby pajak złapany do pudełka po zapałkach (każdy, kto choć raz w życiu siedział obok człowieka z walkmanem, może sobie wyobrazić, jak to brzmiało).

- To ten kawałek - wskazał Cutwell. - Piszą tutaj, że nawet bogowie...

- Już go gdzieś widziałem!

- Co?

Mort drżącym palcem wskazał księgę.

- Jego!

Cutwell spojrzał niepewnie na Morta i zerknął na lewą stronicę. Był tam rysunek starszego maga, trzymającego książkę i świecę, w pozie wręcz ociekającej godnością.

- To nie dotyczy magii - oświadczył kwaśno. - To po prostu portret autora.

- A co jest napisane pod obrazkiem?

- Hm... Piszą „Yeśli xięga ta spodobała ci się, może zainteresuyą cię takōż ynne Tytuły naszego...”

- Nie! Chodziło mi o to, co jest pod obrazkiem.

- To proste. To przecież sam stary Malich. Wszyscy magowie go znają. Rozumiesz, to on założył Uniwersytet. - Cutwell zachichotał. - Słynny jego posąg stoi w głównym holu. Raz podczas dni wydziału wlażłem na niego i założyłem...

Mort przyglądał się portretowi.

- Powiedz - rzucił z naciskiem - czy temu posągowi kapąło z nosa?

- No nie. Przecież był marmurowy. Ale nie rozumiem, czym się tak przejmujesz. Wielu ludzi wie, jak on wyglądał. Jest sławny.

- Żył bardzo dawno temu, prawda?

- Dwa tysiące lat, o ile pamiętam. Ale naprawdę...

- Założę się, że nie umarł - oświadczył Mort. - Założę się, że pewnego dnia zniknął. Zgadłem?

Cutwell zastanawiał się przez chwilę.

- Zabawne, że o tym mówisz - mruknął. - Krąży pewna legenda... Próbował jakichś dziwnych rzeczy, podobno. I podobno sam cisnął sobą do Piekielnych Wymiarów, kiedy próbował dopełnić Rytuału AshkEnte od tyłu. Znaleźli tylko jego kapelusz. Zresztą nawet nieszczególnie elegancki kapelusz; nosił ślady spalenizny.

- Alberto Malich - wymruczał Mort, przede wszystkim do siebie.

- Coś podobnego.

Zabębnił palcami po blacie, choć dźwięk rozległ się dziwnie stłumiony.

- Przepraszam - wtrącił Cutwell. - Zawsze tak jest po chlebie z miodem.

- Sądzę, że powierzchnia styku przesuwą się w tempie powolnego marszu - oświadczył Mort, z roztargnieniem oblizując palce. - Możesz zatrzymać ją czarami?

Cutwell pokręcił głową.

- Nie ja. Zgniotłaby mnie na placek - dodał wyjaśniająco.

- Co się więc stanie, kiedy tu dotrze?

- Wrócę do mieszkania przy Murowej. To znaczy okaże się, że nigdy się stamtąd nie wyprowadzałem. Wszystko to się nie wydarzyło. Trochę szkoda. Świetnie tu gotują i piorą mi za darmo. Mówiłeś, że jak jest daleko?

- Moim zdaniem jakieś dwadzieścia mil.

Cutwell wzniósł oczy do nieba i bezgłośnie poruszył wargami. Po chwili odezwał się głośno:

- To oznacza, że dotrze tutaj jutro około północy, akurat na koronację.

- Czyją?

- Jej.

- Przecież już jest królową.

- W pewnym sensie, ale oficjalnie nie, dopóki nie zostanie koronowana.
- Cutwell uśmiechnął się, a twarz pokryła mu mozaika cieni.

- Jeśli miałbym podać ci jakiś przykład, to mniej więcej taka różnica, jak między tym, kto przestał żyć, a tym, kto jest martwy.

Dwadzieścia minut temu Mort czuł się tak zmęczony, że mógłby zapuścić korzenie. Teraz wyraźnie czuł syk wrzącej krwi. Był to rodzaj nocnej, gorączkowej energii, za której wybuch trzeba zwykle płacić około południa dnia następnego. Na razie jednak wiedział, że musi zacząć działać, inaczej mięśnie z czystej żywotności popękają mu jak postronki.

- Chcę ją zobaczyć - oznajmił. - Skoro ty w niczym nie możesz jej pomóc, może ja zdołam.

- Przed jej drzwiami stoją gwardziści - poinformował mag. - Wspominam o tym wyłącznie jako o ciekawostce. W najśmielszych wyobrażeniach nie przyszłoby mi do głowy, że ci to sprawi jakąś różnicę.

W Ankh-Morpork nastała północ. Jednak w tym ogromnym bliźniaczym mieście jedyna różnica między dniem a nocą polegała na tym, że było, no... ciemniej. Ludzie tłoczyli się na placach targowych, widzowie wciąż gęsto obstawiali zamtuzy, przez chłodne wody rzeki dryfowali cicho konkurenci w wiecznej i skomplikowanej wojnie gangów z ołowianymi ciężarkami przywiązanymi do stóp, sprzedawcy licznych nielegalnych, a często i nielogicznych rozkoszy prowadzili swoje interesy, włamywacze włamywali się, noże w zaułkach odbijały światło gwiazd, astrologzy rozpoczynali kolejny dzień pracy, a na Mrokach nocny strażnik, który zgubił drogę, potrząsnął dzwonkiem i zawołał:

- Już dwunasta i wszyyyyyygrhhhh.....

Tym niemniej Izba Handlowa Ankh-Morpork nie byłaby zachwycona tą, iż miasto różni się od bagniska jedynie ilością nóg aligatorów. Rzeczywiście, w bardziej eleganckich dzielnicach, zwykle rozłożonych na terenach pagórkowatych, gdzie istniała realna szansa na lekki podmuch wiatru, noce są łagodne, pachnące kwiatami habiscynii i cecylii.

Ta szczególna noc pachniała również saletrą, ponieważ akurat przypadała dziesiąta rocznica objęcia urzędu przez aktualnego Patrycjusza[7]. Zaprosił więc kilku przyjaciół - około pięciuset - na drinka i po każdych sztucznych ogni. Śmiechy, a czasem i namiętny bulgot, rozlegał się w pałacowych ogrodach. Wieczór osiągnął ten interesujący etap, gdy każdy zdążył już wypić za dużo dla własnego dobra, ale nie dość, by się przewrócić. Jest to stan, w którym człowiek dokonuje rzeczy, wspomnianych w późniejszym życiu z rumieńcem wstydu, takich jak dmuchanie w piszczałki i ryczący śmiech, od którego robi się niedobrze.

W tej chwili około dwustu gości Patrycjusza zataczało się i kopało nogami w Tańcu Węża, malowniczym morporkiariskim rytuale, którego uczestnicy najpierw upijają się, a potem łapią stojącą z przodu osobę w talii i z chichotem ruszają długą kolumną przez możliwie dużą liczbę pomieszczeń, najlepiej zawierających kruche przedmioty. Kopia przy tym na boki w rytm muzyki, a przynajmniej w jakiś tam rytm. Ta zabawa trwała już od pół godziny i wąż przemierzył wszystkie pałacowe komnaty, porywając w drodze dwa trolle, kucharza, głównego oprawcę Patrycjusza, trzech kelnerów, włamywacza, który akurat się napatoczył, i małego pokojowego smoka bagiennego.

W okolicach środka węża sunął gruby lord Rodley z Quirmu, dziedzic legendarnych włości. W tej chwili zajęty był głównie wąskimi palcami ściskającymi go w talii. Zza oparów alkoholu mózg starał się zwrócić na niego uwagę.

- Hej tam! - krzyknął przez ramię lord, kiedy po raz dziesiąty radośnie wili się przez gigantyczną kuchnię. - Nie tak mocno, jeśli wolno!

PRZEPRASZAM NIEZWYKLE SERDECZNIE.

- Nie ma sprawy, przyjacielu. Czy my się znamy? - spytał Rodley,

kopiąc energicznie w tanecznym rytmie.

UWAŻAM TO ZA MAŁO PRAWDOPODOBNE. POWIEDZ MI PROSZĘ, JAKIE ZNACZENIE MA NASZA OBECNA DZIAŁALNOŚĆ?

- Co? - wrzasnął arystokrata, przekrzykując trzask kopniętej szklanej szafki i okrzyków radości.

CO TO JEST TO, CO ROBIMY?, zapytał głos z cierpliwością lodowca.

- Nigdy nie byłeś na przyjęciu? A przy okazji, uważaj na szkło.

OBAWIAM SIĘ, ŻE NIE BYWAM TAK CZĘSTO, JAK BYM PRAGNAŁ. CZY MÓGŁBYŚ MI WYJAŚNIĆ? CZY MA TO JAKIŚ ZWIĄZEK Z SEKSEM?

- Nie, chyba że pójdziemy na ostro, staruszk. Rozumiesz, co mam na myśli? - Jego lordowska mość szturchnął rozmówcę łokciem i wydał z siebie dystyngowane: - Au!

Trzask w przedzie był oznaką końca zimnego bufetu.

NIE.

- Co?

NIE ROZUMIEM, CO MASZ NA MYŚLI.

- Uważaj na śmietankę, jest śliska... Posłuchaj, to tylko taniec. Jasne? Robi się to dla zabawy. ZABAWY.

- Właśnie. Tada dada da... kop! Nastąpiła słyszalna przerwa.

KIM JEST ZABAWA?

- Nie, zabawa to nie jest ktoś. Zabawę się ma. Najlepiej dobrą.

MY MAMY DOBRĄ ZABAWĘ?

- Myślałem, że ja mam - mruknął niepewnie jego lordowska mość. Ten głos zaczynał go lekko niepokoić. Zdawało się, że dociera bezpośrednio do mózgu.

A CO TO JEST ZABAWA?

- Właśnie to!

KOPANIE TO ZABAWA?

- Przynajmniej jej element. Kop!

SŁUCHANIE GŁOŚNEJ MUZYKI W DUSZNYCH POMIESZCZENIACH TO ZABAWA?

- Możliwe.

JAK TAKA ZABAWA SIĘ MANIFESTUJE?

- No... Widzisz, albo masz dobrą zabawę, albo nie masz. Nie musisz nikogo pytać, po prostu wiesz. Jasne? A właściwie jak się tutaj dostałeś? Jesteś przyjacielem Patrycjusza?

POWIEDZMY, ŻE DOSTARCZA MI ZAJĘCIA. UZNAŁEM, ŻE POWINIENEM SIĘ ZAPOZNAĆ Z LUDZKIMI PRZYJEMNOŚCIAMI.

- Wygląda na to, że masz przed sobą długą naukę.

WIEM. PROSZĘ O WYBACZENIE DLA MOJEJ POŻAŁOWANIA GODNEJ IGNORANCJI. SZUKAM JEDYNNIE WIEDZY. CI WSZYSCY LUDZIE... MAJĄ DOBRĄ ZABAWĘ?

- Tak!

A WIĘC TO JEST ZABAWA.

- Cieszę się, żeśmy to ustalili. Uwaga, krzesło! - burknął lord Rodley. W tej chwili wcale nie czuł się rozbawiony, a w dodatku nieprzyjemnie trzeźwy.

Głos za nim powtarzał cicho:

TO JEST ZABAWA. PIĆ ZA DUŻO TO ZABAWA. MY MAMY ZABAWĘ. ON MA ZABAWĘ. NIEZŁA ZABAWA. ALEŻ ZABAWA.

Tuż za Śmiercią mały pokojowy smok bagienny Patrycjusza ścisnął posępnie kościste biodra i myślał: strażnicy czy nie strażnicy, kiedy następnym razem miniemy otwarte okno, uciekam stąd ile sił w nogach.

Keli usiadła na łóżku.

- Nie ruszaj się - zawołała. - Straże!

- Nie mogliśmy go zatrzymać - oświadczył pierwszy z gwardzistów, wsuwając zawstydzoną twarz.

- Przepchnął się po prostu - dodał inny, stojący po drugiej stronie drzwi.

- I mag powiedział, że wszystko w porządku, a nam kazali go słuchać, bo...

- Dobrze, dobrze. Widzę, że ludzie mogą tu nawet zginąć - mruknęła gniewnie Keli i odłożyła kuszę na nocną szafkę. Na nieszczęście zapomniała przesunąć bezpiecznik.

Zabrzmiało trzask, brzęk cięciwy o metal i głośny jęk. Jęk wydał z siebie Cutwell. Mort odwrócił się błyskawicznie.

- Nie jesteś ranny? - zapytał niespokojnie. - Nie trafiła cię?

- Nie - odparł słabym głosem mag. - Nie trafiła. A jak ty się czujesz?

- Trochę zmęczony. Bo co?

- Nie, nic. Nic. Żadnych dziwnych przewiewów? Poczucia wyciekania?

- Nie. Dlaczego?

- Nie, nic. Nic. - Cutwell odwrócił się i zaczął studiować ścianę za Mortem.

- Czy martwi nie mają prawa do chwili spokoju? - spytała z goryczą Keli. - Myślałam, że jeśli po śmierci można być czegoś pewnym, to właśnie spokojnego snu.

Wyglądała, jakby przed chwilą płakała. W przebłysku intuicji, który samego go zadziwił, Mort zrozumiał nagle, że księżniczka wie o tym i pewnie jeszcze bardziej ją to złości.

- Jesteś niesprawiedliwa - oświadczył. - Przyszedłem, żeby ci pomóc. Dobrze mówię, Cutwell?

- Hmm? - Cutwell odnalazł wbity głęboko w tynk bełt kuszy i przyglądał mu się podejrzliwie. - A tak. Pomóc. Ale to się nie uda. Przepraszam, czy ktoś tu ma kawałek sznurka?

- Pomóc? - krzyknęła Keli. - Pomóc? Gdyby nie ty...

- Byłabyś martwa - przypomniał jej Mort. Popatrzyła na niego, szeroko otwierając usta.

- Ale nie wiedziałabym o tym - oświadczyła w końcu. - A to chyba najgorsze.

- Sądzę, że powinniście się wynieść - rozkazał Cutwell gwardzistom, którzy starali się nie rzucać w oczy. - Ale tę włóczęgę proszę zostawić. Dziękuję.

- Posłuchaj - rzekł Mort. - Na dziedzińcu czeka mój koń. Zdziwisz się, ale mogę cię zabrać dokąd zechcesz. Nie musisz tutaj czekać.

- Nie znasz się na monarchii, prawda? - spytała Keli.

- Ee... nie.

- Chodzi jej o to, że lepiej być martwą królową we własnym zamku niż żywą kobietą z pospólstwa gdzie indziej - wyjaśnił Cutwell, który wbił włócznię w ścianę obok bełtu i usiłował spojrzeć wzdłuż drzewca. - Ale to i tak na nic. Kopuła nie jest ześrodkowana na pałacu. Jest ześrodkowana na niej.

- Na kim? - spytała Keli. Jej głos mógłby przez miesiąc utrzymać mleko w stanie świeżości.

- Na jej wysokości - poprawił się odruchowo Cutwell, zezując wzdłuż włóczni.

- Nie zapominaj o tym.

- Nie zapomnę, ale nie o to chodzi - mruknął mag. Wyrwał bełt z tynku i palcem zbadał ostrze.

- Przecież umrzesz, jeśli tu zostaniesz! - zawołał Mort.

- Będę więc musiała pokazać Dyskowi, jak potrafi umierać królowa - rzekła Keli wyglądając tak dumnie jak to tylko możliwe w różowym pikowanym szlafrocze.

Mort usiadł na skraju łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

- Ja wiem, jak może umierać królowa - wymruczał. - Tak samo jak wszyscy inni ludzie. A niektórzy z nas woleliby, żeby do tego nie doszło.

- Przepraszam, chciałbym obejrzeć tę kuszę - wtrącił konwersacyjnym tonem Cutwell i sięgnął pomiędzy nich. - Nie zwracajcie na mnie uwagi.

- Dumnie wyruszę na spotkanie mego przeznaczenia - oznajmiła Keli, ale w jej głosie zadrżała leciutka nutka niepewności.

- Nie, wcale nie wyruszysz. To znaczy... Wiem, co mówię. Możesz mi wierzyć. Nie ma w tym żadnej dumy. Po prostu umierasz.

- Tak, ale rzecz w tym, jak się to robi. Zginę szlachetnie jak królowa Ezeriel.

Mort zmarszczył czoło. Historia była dla niego zamkniętą księgą.

- A kto to taki?

- Żyła w Ktachu, miała licznych kochanków i usiadła na wężu - poinformował Cutwell, który właśnie naciągał kuszę.

- Chciała tego! Była nieszczęśliwa w miłości!

- Pamiętam tylko, że kąpała się w oślim mleku. Zabawna rzecz ta historia... - Cutwell zadumał się. - Zostajesz królową, rządzisz przez trzydzieści lat, ustanawiasz prawa, wypowiadasz wojny, a jedyne, co o tobie pamiętają, to że pachniałaś jak jogurt i że wąż ugryzł cię w...

- Była moją odległą przodkinią! - warknęła Keli. - Nie życzę sobie wysłuchiwać o niej takich insynuacji!

- Może się uspokoić oboje i wysłuchacie mnie! - krzyknął Mort.

Cisza opadła jak całun.

Wtedy Cutwell wymierzył starannie i strzelił Mortowi w plecy.

Noc porzuciła swe pierwsze ofiary i sunęła dalej. Nawet najbardziej szalone przyjęcia dobiegły końca, a goście człapali do swoich, albo może jakichś innych łóżek. Pozbywszy się tych współpodróżnych, zwykłych ludzi dnia, którzy zbłądzili i opuścili znajomy grunt, prawdziwe istoty nocy wzięły się do poważnych interesów. Nie różniły się one specjalnie od zwykłych interesów, prowadzonych za dnia w Ankh-Morpork. Tyle że noże były bardziej widoczne, a ludzie nie uśmiechali się tak często.

Na Mrokach panowała cisza, przerywana tylko umówionymi gwizdami

złodziei i miękkimi stapaniami dziesiątków ludzi w czujnym milczeniu pilnujących własnych spraw.

A w Szynkowym Zaułku słynna gra w pływające śmiecie Kulawego Wa właśnie się rozkręcała. Kilkanaście zakapturzonych postaci uklękło lub przykucnęło wokół niewielkiego kręgu ubitej ziemi, gdzie trzy ośmiościenne kostki Wa podskakiwały i udzielały swych fałszywych lekcji zasad statystyki i prawdopodobieństwa.

- Trzy!

- Na Io, Oczy Tuphala!

- Dostał cię, Hummok! Ten facet wie, co się robi z kośćmi!

TO WRODZONY TALENT.

Hummok M'Guk był małym człowieczkiem o płaskiej twarzy. Pochodził z któregoś z osiowych szczepów, a jego talent do kości znano wszędzie, gdzie tylko dwóch ludzi zbierało się, by oskubać trzeciego. Teraz podniósł kostki i przyjrzał im się gniewnie. Bezgłośnie przeklął Wa, którego talenty były równie słynne wśród specjalistów, ale teraz najwyraźniej go zawiodły. Hummok życzył też przedwczesnej i bolesnej śmierci widmowemu graczowi siedzącemu naprzeciwko. Dopiero wtedy rzucił kości w błoto.

- Dwadzieścia jeden! Dobrze!

Wa zebrał kostki i wręczył je obcemu. Kiedy zerknął na Hummoka, jedno oko mrugnęło leciuteńko. Hummok był pełen podziwu - ledwie zauważył błyskawiczny ruch niepozornych, pokrzywionych palców Wa... a przecież czekał na to.

Kostki posępnie zagrzechotały w dłoni obcego, wyfrunęły powolnym łukiem i znieruchomiały. Dwadzieścia cztery kropki spoglądały ku gwiazdom.

Kilku co sprytniejszych widzów w tłumie zaczęło odsuwać się od przybysza, ponieważ takie szczęście może być bardzo pechowe przy grze w

pływające śmiecie u Kulawego Wa.

Palce Wa zamknęły się na kostkach z dźwiękiem przypominającym szczęk odwodzonego kurka.

- Same ósemki - tchnął. - Takie szczęście nie jest rzeczą zwyczajną.

Reszta widzów wyparowała niczym rosa. Pozostało tylko kilku solidnie zbudowanych mężczyzn o mało sympatycznym wyglądzie. Gdyby Wa kiedykolwiek zapłacił podatek, znaleźliby się w jego formularzu jako Sprzęt Ogrodniczy Niezbędny do Prowadzenia Interesów.

- A może to wcale nie szczęście? - dodał Kulawy Wa. - Może to czary?

BARDZO BY MNIE TO URAZIŁO.

- Mieliśmy tu kiedyś maga, który próbował się wzbogacić - oświadczył Wa. - Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, co się z nim stało. Chłopcy?

- Pogadaliśmy z nim poważnie...

- ...i zostawiliśmy go w Świńskim Pasażu...

- ...i w Miodowej Alei...

- ...i jeszcze w paru innych miejscach, których nie pamiętam.

Obcy powstał. Chłopcy otoczyli go zwartym kręgiem.

TO NIEPOTRZEBNE. SZUKAM JEDYNIE WIEDZY. JAKĄ PRZYJEMNOŚĆ ZNAJDUJĄ LUDZIE W ZWYKŁYM WIELOKROTNYM APLIKOWANIU PRAW PRZYPADKU?

- Przypadek nie ma tu nic do rzeczy. Przyjrzyjcie mu się, chłopcy.

Wydarzeń, jakie potem nastąpiły, nie oglądał nikt prócz zdziżiałego kocura, jednego z tysięcy w mieście, który przechodził zaułkiem w drodze na schadzke. Zatrzymał się jednak i spojrzał z zainteresowaniem.

Chłopcy zastygli z rękami wzniesionymi do ciosu. Otoczyła ich boleśnie fioletowa jasność. Obcy zrzucił kaptur, podniósł kostki i wcisnął je w bezwładną dłoń Wa. Mężczyzna na przemian otwierał i zamykał usta, zaś oczy bezskutecznie usiłowały nie widzieć tego, co stało przed nim. I szczyrzyło zęby.

RZUCAJ.

Wa zdołał jakoś zerknąć na swoją dłoń.

- Jaka jest stawka? - wyszeptał.

JEŚLI WYGRASZ, POWSTRZYMASZ SIĘ OD SWOICH ŚMIESZNYCH PRÓB SUGEROWANIA, ŻE PRZYPADEK RZĄDZI SPRAWAMI LUDZI.

- Tak. Tak. A... A jeśli przegram?

POŻAŁUJESZ, ŻE NIE WYGRAŁEŚ.

Wa spróbował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche jak popiół.

- Wiem, że zabiłem wielu ludzi...

DWUDZIESTU TRZECH, LICZĄC DOKŁADNIE.

- Czy już za późno na wyznanie, że bardzo mi przykro?

TAKIE RZECZY MNIE NIE INTERESUJĄ. A TERAZ RZUCAJ.

Wa zamknął oczy i wypuścił kości na ziemię - zbyt przerażony, by próbować specjalnego zagrania z podrzutem i podcięciem. Nie otwierał oczu.

ÓSEMKI. SAM WIDZISZ, TO NIE BYŁO TRUDNE. PRAWDA?

Wa zemdlał.

Śmierć wzruszył ramionami i odszedł. Przystanął tylko na moment, żeby podrapać za uszami dzikiego kota, który przypadkiem wtedy przechodził.

Mruczał coś pod nosem. Nie wiedział, co się z nim dzieje, ale bardzo mu się to podobało.

- Skąd wiedziałeś, że się uda? Cutwell bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiedziałem - przyznał. - Ale pomyślałem: co mam do stracenia? - cofnął się.

- Ty? Co ty masz do stracenia? - wrzasnął Mort. Tupnął gniewnie i wyrwał bełt z filara łoża księżniczki.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że to przeze mnie przeleciało? - zapytał.

- Uważnie patrzyłem - zapewnił Cutwell.

- Ja też widziałam - wtrąciła Keli. - To było straszne. Strzała wyleciała z miejsca, gdzie masz serce.

- A ja widziałem, jak przeszedłeś przez marmurową kolumnę - dodał mag.

- A ja jak wjechałeś przez okno.

- Tak, ale wtedy byłem na służbie! - Mort zamachał rękami. - To co innego. Nie zdarza się codziennie. A w dodatku... Urwał.

- Co tak na mnie patrzycie? - zapytał. - Tak samo jak w tej gospodzie dziś wieczorem. Co się stało?

- Przesunąłeś rękę przez filar łoża - wyjaśniła niepewnie Keli. Mort spojrzał na swoją dłoń, po czym stuknął o drewno.

- Widzisz? - zapytał. - Solidna ręka, solidne drzewo.

- Mówiłeś, że ludzie przyglądali ci się w gospodzie? - wtrącił Cutwell.
- Co takiego zrobiłeś? Przeszedłeś przez ścianę?

- Nie! To znaczy nie, wypilem tylko trochę. Chyba mówili na to: jabłkownik.

- Jabłkownik?

- Tak. Smakuje jak zgniłe jabłka. Można by pomyśleć, że to jakaś trucizna, tak się na mnie gapili.

- A ile tego wypiłeś? - dopytywał się Cutwell.

- Jeden kufel. Nie zwracałem uwagi...

- Czy wiesz, że jabłkownik to najmocniejszy napój alkoholowy stąd aż do Ramtopów?

- Nie. Nikt mnie nie uprzedził. A co to ma wspólnego...

- Nie... - mruknął Cutwell. - Nie wiedziałeś. Hmm... To ważna wskazówka, nieprawdaż...

- Czy ma to jakiś związek z ratowaniem księżniczki?

- Raczej nie. Ale chciałbym zajrzeć do swoich ksiąg.

- W takim razie to nic ważnego - oznajmił Mort stanowczo. Odwrócił się do Keli, która przyglądała mu się z zapałem podziwu.

- Myślę, że znajdę radę - rzekł. - Wydaje mi się, że potrafię uzyskać dostęp do potężnej magii. Magia zatrzyma tę kopułę. Prawda, Cutwell?

- Moja nie. Potrzebne są naprawdę mocne czary. I nawet wtedy nie jestem pewien... Rzeczywistość jest silniejsza od...

- Odchodzę więc - przerwał mu Mort. - Do jutra.

- Już jest jutro - zauważyła Keli. Mort stracił nieco zapału.

- Dobrze więc, do wieczora - rzucił nieco urażonym tonem. - Ruszam zatem.

- Ruszasz co?

- To mowa bohaterów - wyjaśnił uprzejmie Cutwell. - On nie może nic na to poradzić.

Mort spojrzał na niego gniewnie, uśmiechnął się dzielnie do Keli i wyszedł z komnaty.

- Mógłby otworzyć drzwi - stwierdziła Keli, gdy już zniknął.

- Myślę, że był trochę zakłopotany. Wszyscy przechodzimy przez ten etap.

- Jaki? Przenikania przez różne rzeczy?

- W pewnym sensie. W każdym razie wchodzenia na nie.

- Mam zamiar trochę się przespać - oznajmiła Keli. - Nawet nieżywi potrzebują odpoczynku. Cutwell, przestań się bawić tą kuszą. Sądzę, że magowi nie uchodzi przebywać samotnie w buduarze damy.

- Tak? Ale przecież nie jestem tu sam. Jest tu wasza wysokość.

- O to właśnie chodzi - odparła. - Prawda?

- Aha... No tak. Przepraszam. W takim razie zobaczymy się rano.

- Dobranoc, Cutwell. I zamknij za sobą drzwi.

Słońce wypełzło nad horyzont, postanowiło nie rezygnować i zaczęło wschodzić.

Minie jeszcze sporo czasu, zanim powolne światło przetoczy się przez uśpiony Dysk, odpędzając swymi falami ciemność. Nocne cienie wciąż władały miastem.

Zgromadziły się wokół Załatanego Bębna przy ulicy Filigranowej, najznakomitszej tawerny w mieście. Słynna była nie ze swego piwa, przypominającego barwą mocz niemowlęcia i smakującego jak kwas akumulatorowy, ale ze swojej klienteli. Mówiło się, że jeśli człowiek posiedzi w Załatanym Bębnie dostatecznie długo, prędzej czy później każdy wielki bohater Dysku ukradnie mu konia.

Atmosfera wewnątrz wciąż rozbrzmiewała rozmowami i była ciężka od dymu, lecz oberżysta robił już to, co zwykle oberżyści, kiedy uznają, że pora zamykać: gaszą niektóre światła, nakręcają zegar, kładą ścierkę na kurkach z piwem i na wszelki wypadek sprawdzają, gdzie leży nabijana gwoździami pałka. Nie znaczy to, że klienci zwracali uwagę na te czynności. Dla większości bywalców nawet nabijana maczuga stanowiłaby tylko dyskretną sugestię.

Byli jednak dostatecznie spostrzegawczy, by odczuwać lekki niepokój na widok posępnej, wysokiej postaci stojącej przy barze i kosztującej po kolei wszystko, czym bar dysponował.

Samotni, pełni poświęcenia pijacy zawsze generują psychiczne pole gwarantujące im całkowite odosobnienie. Ten jednak emanował wręcz fatalistyczny smutek, z wolna wypędzający gości z lokalu.

Barmana to nie martwiło, gdyż samotny gość przeprowadzał bardzo kosztowny eksperyment.

Każda knajpa w multiversum dysponuje podobnym zestawem: półkami lepkich butelek o dziwacznych kształtach, zawierających nie tylko płyny o egzotycznych nazwach, często zielone albo niebieskie, ale też rozmaite przedmioty, do przechowywania których zwykłe butelki by się nie zniżyły. Na przykład całe owoce, gałązki, a w ekstremalnych przypadkach nawet nieduże utopione jaszczurki. Nikt nie wie, dlaczego barmani trzymają je w takich ilościach, zwłaszcza że wszystkie te napoje smakują jak melasa rozpuszczona w terpentynie. Istnieje hipoteza, że marzą o dniu, kiedy ktoś

wejdzie z ulicy, zamówi Brzoskwiniowy Kordiał z Aromatem Mięty i w ciągu jednej nocy lokal stanie się miejscem, gdzie Wypada Bywać.

Przybysz wolno kontynuował trasę wzdłuż rzędu butelek.

CO TO JEST TO ZIELONE?

Oberżysta spojrzał na etykietę.

- Piszą, że to Melonowe Brandy- odparł z powątpiewaniem. - I jeszcze, że robią je jacyś mnisi według starożytnej receptury.

SPRÓBUJĘ.

Barman zerknął na rząd pustych kieliszków na ladzie. W niektórych pozostały resztki owocowej sałatki, wisienki na patyczkach i małe parasolki z bibułki.

- Jest pan pewien, że nie ma pan dosyć? - zapytał. Martwiło go trochę, że nie dostrzega twarzy klienta. Kieliszek z krystalizującym się na ściankach napojem zniknął pod kapturem, by po chwili wysunąć się pusty.

NIE. CO TO JEST TO ŻÓŁTE Z SZERSZENIAMI W ŚRODKU?

- Piszą, że Kordiał Wiosenny. Podać?

TAK A POTEM TO NIEBIESKIE ZE ZŁOTYMI CĘTKAMI.

- Ehm... Stary Prochowiec?

TAK. A POTEM Z DRUGIEGO RZĘDU.

- O który trunek panu chodzi?

O WSZYSTKIE.

Obcy siedział sztywno wyprostowany, a kieliszki ze swym ładunkiem syropu i rozmaitej roślinności znikwały pod kapturem, jakby podawane na taśmie produkcyjnej.

To jest to, myślał oberżysta. To styl, to szansa, że kupię sobie czerwoną marynarkę, może postawię na barze misę małych orzeszków i parę korniszonów, powieszę na ścianach kilka luster, wymienię trociny na podłodze.

Porwał wilgotną od piwa ścierkę i entuzjastycznie przetrął ladę, rozmazując krople z kieliszków w tęczową plamę, która przeżarła politurę. Ostatni ze stałych klientów wcisnął na głowę kapelusz i wytoczył się na ulicę, bełkocząc coś pod nosem.

NIE WIDZĘ SENSU, oświadczył przybysz.

- Słucham?

CO WŁAŚCIWIE POWINNO SIĘ ZDARZYĆ?

- A ile drinków wypileś, przyjacielu?

CZTERDZIEŚCI SIEDEM.

- W takim razie praktycznie wszystko - odparł barman. A ponieważ znał się na swoim fachu i wiedział, czego oczekują klienci pijący samotnie do świtu, zaczął polerować ścierką kieliszki i zapytał: - Kobieta cię wyrzuciła, co?

SŁUCHAM?

- Zalewasz smutki, prawda?

NIE MAM SMUTKÓW.

- Nie, pewno, że nie. Zapomnij, że o tym wspominałem. - Parę razy energicznie przetrął kieliszek. - Pomyślałem tylko, że czasem przyjemnie jest z kimś pogadać.

Obcy milczał przez chwilę, wyraźnie zamyślony. Wreszcie powiedział:

CHCESZ ZE MNĄ POROZMAWIAĆ?

- Tak. Jasne. Potrafię dobrze słuchać.

NIKT JESZCZE NIGDY NIE CHCIAŁ ZE MNĄ ROZMAWIAĆ.

- Paskudna sprawa.

I WIESZ? NIGDY NIE ZAPRASZAJĄ MNIE NA PRZYJĘCIA.

- Fatalnie.

WSZYSCY MNIE NIENAWIDZĄ - KAŻDY, BEZ WYJĄTKU. NIE
MAM ŻADNYCH PRZYJACIÓŁ.

- Każdemu przyda się przyjaciel - wygłosił mądrą sentencję barman.

MYŚLĘ...

- Tak?

MYŚLĘ, ŻE MÓGLBYM SIĘ ZAPRZYJAŻNIĆ Z TĄ ZIELONĄ
BUTELKĄ.

Oberżysta pchnął ośmiokątną butlę przez bar. Śmierć złapał ją i prze-
chylił nad kieliszkiem. Krople cieczy zadzwoniły o szkło.

PIJANY MYŚLISZ JESTEM JA, CO?

- Obsługuję każdego, kto potrafi ustać prosto dwa razy na trzy -
zapewnił oberżysta.

I MASZ ABSORULUTNĄ RRACJĘ. ALE JA...

Gość znieruchomiał z palcem wystawionym do góry. CO TAKIEGO
MÓWIŁEM?

- Że mam cię za pijanego.

AHA. TAK... AALE MOGĘ WYCZTRZEŻWIEĆ JAK TYLKO
ZECHCZĘ. TO JEST EKSZPER... MENT. A TERAZ ŻYCZĘ SOBIE JE-

SZCZE POEKSZ... POEKSZPERYMENTOWAĆ Z POMARAŃCZOWĄ BRANDY

Oberżysta westchnął i zerknął na zegar. Bez wątpienia właśnie zarabiał dużo pieniędzy, zwłaszcza że obcy nie wyglądał na pedanta, który obrazi się z powodu nieco podwyższonego rachunku albo niedokładności w wydawaniu reszty. Ale było już późno. Tak późno, że robiło się wcześnie. Poza tym samotny klient miał w sobie coś niepokojącego. Goście w Załatanym Bębnie często pili tak, jakby kolejny dzień miał już nie nadejść, jednak po raz pierwszy oberżysta odnosił wrażenie, że mogą mieć rację.

NO I CO JEST JESZCZE PRZEDE MNĄ? JAKI TO WSZYSTKO MA SENS? O CO W OGÓLE W TYM CHODZI?

- Nie mam pojęcia, przyjacielu. Myślę, że powinieneś się porządnie wyspać. Od razu poczujesz się lepiej.

WYŚPIĘ? SEN? NIGDYNIE SYPIAM. JESTEM WRĘCZ... JAK TO MÓWIA... PRZYSŁOWIOWY Z TEGO POWODU.

- Każdy potrzebuje snu. Nawet ja - zasugerował barman.

NIENAWIDZĄ MNIE.

- Tak, już mówiłeś. Ale jest za piętnaście trzecia. Klient odwrócił się chwiejnie i rozejrzał po pustej sali.

NIKOGO TU NIE MA, TYLKO TY I JA, zauważył.

Oberżysta podniósł klapę, wyszedł zza baru i pomógł gościowi zejść z wysokiego stołka.

NIE MAM ŻADNYCH PRZYJACIÓŁ. NAWET KOTY UWAŻAJĄ, ŻE JESTEM ZABAWNY

Dłoń wystrzeliła do przodu i zanim oberżysta odciągnął jej właściciela od baru, zdążyła pochwycić butelkę likieru Amanita. Gospodarz nie rozumiał, jak ktoś tak chudy może być taki ciężki.

WCALE NIE MUSZĘ SIĘ UPIJAĆ, CHYBA POWIEDZIAŁEM.
DLACZEGO LUDZIE LUBIĄ SIĘ UPIJAĆ? CZY TO ZABAWA?

- To im pomaga zapomnieć o życiu, przyjacielu. A teraz oprzyj się o ścianę, a ja otworzę drzwi...

ZAPOMNIEĆ O ŻYCIU. HA HA.

- Wpadnij znowu, kiedy tylko przyjdzie ci ochota. Nie zapomnij.

NAPRAWDĘ CHCIAŁBYŚ MNIE TU ZNOWU ZOBACZYĆ?

Oberżysta spojrzał przez ramię na stosik monet na barze. Warte były odrobiny dziwactwa. Przynajmniej ten tutaj był spokojny i chyba nieszkodliwy.

- Oczywiście - zapewnił, jednym płynnym ruchem wypychając gościa na ulicę i odbierając porwaną butelkę. - Zjrzyj koniecznie.

TO NAJMISZ... NAMILSZA RZECZ, JAKĄ W ŻYCIU...

Trzask zamykanych drzwi zagłuszył dalszy ciąg zdania.

Ysabell usiadła na łóżku.

Stukanie rozległo się znowu, ciche i nagłe. Podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Kto tam? - szepnęła.

- To ja, Mort - syknął ktoś za drzwiami. - Wpuść mnie. Proszę.

- Zaczekaj!

Gorączkowo sięgnęła po zapalki na nocnej szafce. Przewróciła przy

tym butelkę wody toaletowej i zrzuciła pudełko czekoladek, zawierające teraz głównie puste papierki. Kiedy już zapaliła świecę, poprawiła pozycję dla lepszego efektu i obciągnęła koszulę, by dekolt więcej odsłaniał.

- Otwarte - zawołała.

Mort wtoczył się do pokoju. Pachniał koźmi, mrozem i jabłkownikiem.

- Mam nadzieję - rzekła z godnością Ysabell - że nie wdarłeś się tutaj, by wykorzystać swoją pozycję w tym domu.

Mort rozejrzał się. Ysabell wyraźnie kochała falbanki. Nawet toaletka wyglądała jak ubrana w pelerynkę. Cały pokój sprawiał wrażenie wyposażonego nie tyle w meble, ile w bieliznę.

- Nie mam czasu na głupstwa - powiedział. - Zabierz świecę i chodź do biblioteki. I na litość bogów, włoż coś sensownego. Wylewasz się. Ysabell zerknęła w dół, po czym z godnością uniosła głowę.

- Ach tak!

Mort wysunął jeszcze głowę zza drzwi.

- To sprawa życia i śmierci - dodał i zniknął.

Ysabell patrzyła, jak drzwi zamykają się za nim ze zgrzytem. Odsłoniły niebieski szlafrok z frędzelkami, który Śmierć wymyślił dla niej w ostatnie Strzeżenie Wiedźm i którego nie miała serca wyrzucić, choć był już za mały i miał na kieszonce wyhaftowanego króliczka.

Po chwili zsunęła nogi z łóżka na podłogę, wciągnęła nieszczęsny szlafrok i wyszła na korytarz. Mort czekał.

- Czy ojciec nas nie usłyszy? - spytała.

- Jeszcze nie wrócił. Chodźmy.

- Skąd wiesz?

- Kiedy jest w domu, panuje tu inna atmosfera. Różnica jest taka... czyja wiem... jak między płaszczem, który ktoś nosi, a takim, który wisi na wieszaku. Nie zauważyłaś?

- A co właściwie mamy zrobić?

Mort pchnął drzwi do biblioteki. Dmuchało ciepłe, suche powietrze, a zawiasy pisnęły ostrzegawczo.

- Musimy komuś uratować życie - wyjaśnił. - Księżniczce. To natychmiast rozbudziło ciekawość Ysabell.

- Prawdziwej księżniczce? To znaczy, że może wyczuwać ziarnko grochu przez tuzin materaców?

- Czy potrafi...? - Jedno z drobniejszych zmartwień Morta rozplynęło się nagle.

No tak. Wiedziałem, że Albert coś pomylił.

- Kochasz się w niej?

Mort znieruchomiał wśród regałów, świadom cichego skrobienia między okładkami książek.

- Trudno być pewnym - stwierdził. - Wyglądam na to?

- Wyglądasz na pobudzonego. Co ona do ciebie czuje?

- Nie wiem.

- Aha - mruknęła z mądrą miną Ysabell, tonem eksperta. - Nie odwzajemniona miłość to najgorszy rodzaj. Ale prawdopodobnie trucizna czy inny typ samobójstwa nie byłby wskazany - dodała po chwili zastanowienia. - Co tu robimy? Chcesz znaleźć jej książkę i sprawdzić, czy wyjdzie za ciebie?

- Już czytałem i ona nie żyje - odparł Mort. - To znaczy technicznie. To znaczy naprawdę żyje.

- To dobrze. Inaczej mielibyśmy do czynienia z nekromancją. Czego szukamy?

- Biografii Alberta.

- Po co? On chyba nie ma biografii.

- Każdy ma.

- Nie lubi, kiedy zadaje mu się osobiste pytania. Raz jej szukałam, ale nie mogłam znaleźć. Zresztą Albert sam w sobie nie jest szczególnie ciekawy. Co można wyczytać w jego biografii?

Ysabell zapaliła od przyniesionej świecy kilka innych i bibliotekę zaludniły roztańczone cienie.

- Potrzebuję wielkiego maga i sądzę, że on nim jest.

- Co? Albert?

- Tak. Tylko że poszukamy Alberto Malicha. Ma chyba ponad dwa tysiące lat.

- Co? Albert?

- Tak. Albert.

- Nigdy nie nosi kapelusza magów- zauważyła z powątpiewaniem Ysabell.

- Zgubił go. Zresztą kapelusz nie jest obowiązkowy. Gdzie zaczniemy?

- Jeśli jesteś tego pewien... Chyba w Magazynie. Ojciec odkłada tam wszystkie biografie starsze niż pięćset lat. Tędy.

Poprowadziła między półkami szeleszczących książek do drzwi na końcu ślepego zaułka. Otworzyli je z pewnym wysiłkiem i zgrzytem zawiasów, odbijającym się echem w całej bibliotece. Mortowi zdawało się przez moment, że wszystkie książki przerwały nagle pracę i nasłuchują.

Stopnie prowadziły w dół, w aksamitną ciemność. Pełno tu było pajęczyn i kurzu, a powietrze pachniało tak, jakby od tysięcy lat było zamknięte w piramidzie.

- Nieczęsto ktoś tu zagląda - powiedziała Ysabell. - Poprowadzę. Mort uznał, że coś jej się należy.

- Muszę przyznać - rzekł - że masz siłę przebicia cegły.

- Takiej różowej, kanciastej i wilgotnej? Naprawdę umiesz rozmawiać z dziewczętami, mój chłopcze.

- Mort - poprawił odruchowo Mort.

Magazyn był ciemny i cichy niczym głęboka podziemna jaskinia. Regały stały blisko siebie i ledwie można było się między nimi przecisnąć, zaś sięgały o wiele wyżej niż sfera światła świecy. Wydawały się niesamowite, ponieważ stały w milczeniu. Żadne życie się nie dopisywało. Książki spały. Mort jednak wyczuwał, że śpią jak koty, z jednym okiem otwartym. Były świadome.

- Zeszłam tu kiedyś - szepnęła Ysabell. - Tam daleko na półkach nie ma już książek. Są gliniane tabliczki, kamienne płyty, skóry zwierząt, a wszyscy nazywają się Ug i Zog.

Cisza stała się niemal dotykalna. Mort wyczuwał, że książki obserwują ich, kroczących gorącymi, mrocznymi korytarzami. Wszyscy, którzy kiedyś żyli, stali teraz gdzieś tutaj - aż po pierwszych ludzi, ulepionych przez bogów z gliny czy czegoś innego. Nie złościli się na niego, po prostu się zastanawiali, co tu robi.

- Przeszłaś poza Uga i Zog? - syknął. - Wielu ludzi bardzo chciałoby wiedzieć, co jest dalej.

- Przestraszyłam się. To daleko stąd, a miałam za mało świec.

- Szkoda.

Nagle Ysabell zatrzymała się tak gwałtownie, że Mort wpadł jej na

plecy.

- To mniej więcej właściwa okolica - stwierdziła. - Co teraz? Mort przyjrzał się wyblakłym imionom na grzbietach.

- One są ustawione bez żadnego porządku - jęknął.

Spojrżeli w górę. Przespacerowali wzdłuż kilku bocznych odnóg. Wzniesając tumany kurzu wyciągnęli kilka książek z najniższych półek.

- To bez sensu - westchnął po chwili Mort. - Tu są książki o milionach niegdyś żyjących. Szansa, że na niego trafimy, jest mniejsza niż...

Ysabell położyła mu dłoń na ustach.

- Słuchaj!

Mort bełkotał coś jeszcze przez jej palce, ale w końcu zrozumiał. Wyteżył słuch, starając się wychwycić cokolwiek głośniejszego niż głuchy szum absolutnej ciszy.

I wtedy usłyszeli. Delikatne, irytujące skrobanie. Wysoko, bardzo wysoko, gdzieś w nieprzeniknionej ciemności urwiska półek, wciąż zapisywało się życie.

Spojrżeli na siebie, szeroko otwierając oczy.

- Tam z tyłu mijaliśmy drabinę - przypomniała Ysabell. - Na kółkach.

Małe rolki piszczały, kiedy Mort przetaczał konstrukcję. Górny koniec także się przesunął, umocowany do innego zestawu rolek gdzieś w czerni pod sklepieniem.

- Jest - sapnął chłopiec. - Daj świecę...

- Jeśli świeca idzie do góry, to ja też - oświadczyła stanowczo Ysabell.
- Ty zostaniesz tutaj i kiedy powiem, przesuniesz drabinę. I nie kłóć się.

- U góry może być niebezpiecznie - ostrzegł szlachetnie Mort.

- Na dole też może być niebezpiecznie. Dziękuję bardzo, ale wolę być na drabinie i ze świecą.

Postawiła stopę na pierwszym szczeblu. Wkrótce była już tylko postrzępionym cieniem na tle szybko malejącej aureoli blasku.

Mort trzymał drabinę i starał się nie myśleć o ludzkich istnieniach, które napierały na niego ze wszystkich stron. Od czasu do czasu meteor gorącego wosku uderzał głucho o podłogę i tworzył krater w pokrywie kurzu. Ysabell stała się delikatną poświatą daleko nad nim. Słyszał każdy jej krok, niesiony wibracjami wzdłuż drabiny.

Zatrzymała się. Miał wrażenie, że trwa to bardzo długo.

Potem w dół spłynął jej głos przygłuszony ciężarem panującej dookoła ciszy.

- Mort, znalazłam.

- Świetnie. Znieś ją na dół.

- Mort, miałeś rację.

- Dobrze, dziękuję. A teraz znieś ją.

- Tak, Mort, ale którą?

- Nie żartuj. Świeca nie wystarczy na długo.

- Mort!

- Co?

- Mort, tego jest cała półka!

Teraz nastał już prawdziwy świt, początek dnia nie należący do nikogo prócz mew w dokach Morpork, fali przypływu wtaczającej się w górę rzeki i ciepłego obrotowego wiatru, który do złożonych odorów miasta dodawał aromat wiosny.

Śmierć siedział na pachołku cumowniczym i spoglądał w morze. Postanowił nie być już pijany. Głowa go od tego bolała.

Wypróbował wędkarstwo, taniec, hazard i pijaństwo, podobno cztery największe rozkosze życia, i nie był przekonany, czy dostrzegł w nich jakiś sens. Jedzenie mu odpowiadało - Śmierć lubił dobrze zjeść, tak samo jak wszyscy. Nie mógł myśleć o innych rozkoszach ciała, a właściwie mógł, ale były one, no... cielesne. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł się nimi zająć bez gruntownej rekonstrukcji organizmu, czego nie miał ochoty rozważać. Poza tym istoty ludzkie porzucały je chyba, kiedy nadchodziła starość, więc nie mogło to być nic szczególnie atrakcyjnego.

Śmierć zaczynał nabierać przekonania, że do końca swego życia nie zdoła zrozumieć ludzi.

Słońce grzało kamienie bruku i Śmierć poczuł najlżejsze mrowienie tego wiosennego pędu, który potrafi tysiąc ton soków pchnąć na dwadzieścia sążni w górę lasu.

Mewy krążyły nad nim i nurkowały. Jednooki kot, który stracił już osiem swoich żywotów i jedno ucho, wynurzył się z legowiska pod stosem porzuconych skrzynek po rybach, przeciągnął się, ziewnął i otarł o nogi Śmierci. Bryza rozcięła sławny zapach Ankh-Morpork, niosąc aromat przypraw i świeżego chleba.

Śmierć był zdumiony. Nie potrafił z tym walczyć. Naprawdę czuł się szczęśliwy, że żyje. I bardzo nie chciał być Śmiercią.

MUSI MI CZEGOŚ BRAKOWAĆ, westchnął.

Mort usadowił się na drabinie obok Ysabell. Konstrukcja chwiała się trochę, ale stała raczej pewnie. Przynajmniej wysokość nie wzbudzała lęku - wszystko poniżej znikało w czerni.

Niektóre z początkowych tomów Alberta prawie się rozpadały

Chłopiec na chybił trafił sięgnął ręką, czując, jak drży pod nim drabina. Wyjął tom i otworzył na chybił trafił w środku.

- Przysuń mi świecę - poprosił.

- Potrafisz to odczytać?

- Mniej więcej...

...rękę przyłożył, ale rozczarowań był wielce, dysz wszyscy ludzie kiedyś umrzeć muszą i Śmierć po nich pszyjdzie. W dumie swej za przysięg więc poszukiwać Nieśmiertelności. „Tak to” powiedział młodym magom, „możem na siebie przywdziać płaszcz Bogów”. Następnego dnia deszcz padał. Alberta...

- Napisane jest w Starożytnym Języku - stwierdził Mort. - Zanim wynaleźli ortografię. Zajrzyjmy do ostatniego.

Rzeczywiście, to był ten sam Albert. Mort zauważył kilka odniesień do smażonego chleba.

- Może sprawdzimy, co robi teraz? - zaproponowała Ysabell.

- Myślisz, że powinniśmy? To trochę jakby podglądać.

- To co? Boisz się?

- Niech będzie.

Przerzucał kartki, aż trafił na czyste stronicę, potem cofał się i dotarł do historii życia Alberta. Jak na środek nocy pełzła po papierze z zadziwiającą szybkością. Na ogół biografie niewiele mówią o spaniu, chyba że sny są wyjątkowo barwne.

- Trzymaj prosto tę świecę, dobrze? Przecież nie możemy zakapać jego życia.

- Dlaczego nie? On lubi tłuszcz.

- Przestań chichotać, bo oboje spadniemy. Popatrz tutaj...

Skradał się przez kurz i mrok Magazynu, czytała Ysabell, nie odrywając spojrzenia od słabego płomyka świecy zawieszonego wysoko w górze. Szpiegują, myślał. Grzebią w sprawach, które nie powinny ich obchodzić, tych małych piekielników...

- Mort! On...

- Cicho! Czytam.

...położyć temu kres. Albert zbliżył się bezgłośnie do drabiny, splunął w dłonie i przygotował się do pchnięcia. Pan nigdy się nie dowie; ostatnio zachowywał się dziwnie i to na pewno przez tego chłopaka, a...

Mort spojrzał na Ysabell przerażony.

Dziewczyna wyjęła książkę z jego dłoni. Patrząc mu nieruchomo prosto w oczy, wyciągnęła przed siebie rękę i upuściła ciężki tom.

Mort widział, jak porusza wargami i nagle uświadomił sobie, że on także liczy bezgłośnie.

Trzy, cztery...

Zabrzmiało głuche uderzenie, stłumiony krzyk i cisza.

- Zabiliśmy go?

- Co? Tutaj? Zresztą nie zauważyłam, żebyś miał jakiś lepszy pomysł.

- No nie, ale... to w końcu starzec...

- Wcale nie jest stary - oświadczyła twardo Ysabell i ruszyła po szcze-

blach w dół.

- Dwa tysiące lat?

- Ani dnia więcej niż sześćdziesiąt siedem.

- Z książek wynika...

- Mówiłam ci przecież, że czas tutaj nie płynie. Nie taki prawdziwy czas. Czy ty w ogóle kiedyś słuchasz, chłopcze?

- Mort - powiedział Mort.

- I przestań mi deptać po palcach. Schodzę najszybciej jak potrafię.

- Przepraszam.

- I nie rozczulaj się tak. Czy masz pojęcie, jakie nudne może być życie tutaj?

- Chyba nie - odparł Mort ze szczerym żalem. - Słyszałem o nudzie, ale jakoś nie miałem okazji jej spróbować.

- Jest potworna.

- Jeśli już o tym mowa, to ekscytacja też nie spełnia wszystkich oczekiwań.

- Wszystko jest lepsze niż ta nuda.

Z dołu dobiegł jęk, a potem seria przekleństw.

Ysabell spojrzała w mrok.

- Najwyraźniej nic nie wpłynęło na jego sprawność przeklinania - zauważyła. - Właściwie nie powinnam tego słuchać. To może naruszyć mój kręgosłup moralny.

Znaleźli Alberta opartego o regał z książkami. Mruczał coś i rozcierał

ramię.

- Nie masz powodów do narzekań - oznajmiła stanowczo Ysabell. - Nie jesteś ranny. Tato nie pozwala, żeby takie rzeczy miały tu miejsce.

- Dlaczego to zrobiliście? - wystękał. - Przecież nie chciałem was skrzywdzić.

- Chciałeś nas zepchnąć. - Mort podał staruszkowi rękę. - Czytałem. Dziwię się, że nie użyłeś czarów. Albert spojrzał na niego gniewnie.

- A więc odkryliście to? - powiedział cicho. - Niewiele wam z tego przyjdzie. Nie mieliście prawa mnie szpiegować.

Staął chwiejnie, odepchnął dłoń Morta i zawrócił między milczące półki.

- Zaczekaj! - krzyknął chłopiec. - Potrzebuję twojej pomocy!

- No pewnie - rzucił przez ramię Albert. - To logiczne, prawda? Pomyślałeś: najpierw wściubię nos w czyjeś życie osobiste, potem zrzucę je na niego, a na końcu poproszę o pomoc.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy ty to naprawdę ty - zawołał Mort, ruszając za starcem.

- Ja to naprawdę ja. Jak każdy.

- Jeżeli mi nie pomożesz, wydarzy się coś strasznego! Jest taka księżniczka i...

- Straszne rzeczy zdarzają się bez przerwy, mój chłopcze...

- Mort...

- ...i nikt nie oczekuje, żebym próbował temu zaradzić.

- Ale ty byłeś najpotężniejszy!

Albert przystanął na chwilę, ale nie odwracał się.

- Byłeś najpotężniejszy... Byłeś... Nie próbuj mi pochlebiać, chłopcze, bo jestem odporny na pochlebstwa.

- Stawiają ci pomniki i w ogóle - dodał Mort, powstrzymując ziewnięcie.

- Bo są głupi. - Albert dotarł do stopni prowadzących do właściwej biblioteki, wszedł na nie tupiąc głośno i stanął okolony blaskiem świateł.

- To znaczy, że nie pomożesz? Nawet gdybyś mógł?

- Temu chłopakowi należy się nagroda za domyślność - burknął Albert.
- I nie myśl nawet, że zdołasz przemówić do lepszej części mojej natury ukrytej pod tą twardą powłoką. Zapewniam cię, że wewnątrz też mam bardzo twarde.

Słyszeli, jak tupie o podłogę biblioteki -jakby miał o coś do niej pretensje - i trzaska drzwiami.

- No tak... - mruknął niechętnie Mort.

- A czego się spodziewałeś? - rzuciła gniewnie Ysabell. - Jego nikt właściwie nie obchodzi. Z wyjątkiem ojca.

- Myślałem po prostu, że ktoś taki jak on mógłby mi pomóc, gdybym tylko wszystko mu wytłumaczył. - Mort posmutniał. Wyczerpała się dawka energii, która popychała go przez tę długą noc. Umysł stał się ciężki jak ołów. - Wiesz, że był sławnym magiem?

- To niczego nie dowodzi. Magowie nie muszą być mili. Nie mieszaj się w sprawy czarodziejów, ponieważ odmowa często rani. Gdzieś o tym czytałam. - Ysabell podeszła bliżej i przyjrzała się chłopcu z troską. - Wyglądasz jak resztki na talerzu - zauważyła.

- Nic mi nie jest.

Mort wszedł ciężko na schody i w szeleszczący mrok biblioteki.

- Jest. Przydałoby ci się parę godzin snu, mój chłopcze.

- M...t - wymruczał Mort.

Poczuł, że Ysabell zarzuca sobie jego rękę na ramię. Ściany falowały miękko i nawet dźwięk własnego głosu dobiegał z bardzo daleka. Niewyraźnie wyczuwał, że bardzo przyjemnie byłoby się teraz rozciągnąć na wygodnej kamiennej płycie i spać przez wieczność.

Śmierć niedługo wróci, powiedział sobie czując, że ktoś wlecze korytarzem jego niestawiające oporu ciało. Nic na to nie poradzi, będzie musiał wszystko wyznać. Ale Śmierć nie jest taki zły. Na pewno jakoś pomoże. Trzeba mu tylko wszystko dokładnie wytłumaczyć. Wtedy będzie mógł przestać się martwić i spaa...

- A gdzie pracował pan poprzednio?

SŁUCHAM?

- Jak pan zarabiał na życie? - zapytał chudy młody człowiek za biurkiem.

Siedząca naprzeciw postać poruszyła się niespokojnie.

PRZEPROWADZAŁEM DUSZE DO INNEGO ŚWIATA. BYŁEM GROBEM WSZELKICH NADZIEI. BYŁEM OSTATECZNĄ RZECZYWISTOŚCIĄ. BYŁEM ZABÓJCĄ, PRZED KTÓRYM NIE OCHRONI ŻADNA KRATA.

- Tak, rozumiem, ale czy ma pan jakieś konkretne kwalifikacje?

Śmierć zastanowił się.

POWIEDZMY, ŻE MAM NIEJAKIE DOŚWIADCZENIE Z NIEKTÓRYMI NARZĘDZIAMI ROLNICZYMI, zaproponował po chwili.

Młody człowiek stanowczo pokręcił głową.

NIE?

- Jesteśmy w mieście, panie... - Zerknął w papiery. Znowu poczuł niepokój, którego powodów nie potrafił dokładnie określić. - Panie... panie..., i mamy tu niezbyt wiele pól.

Odłożył pióro i zademonstrował uśmiech sugerujący, że nauczył się go z książki.

Ankh-Morpork nie było dostatecznie cywilizowane, by posiadać biuro doskonalenia zawodowego. Ludzie podejmowali pracę, ponieważ ich ojcowie ustępowali im miejsca albo ponieważ szukał ujścia ich wrodzony talent, albo dzięki namowom. Istniało jednak zapotrzebowanie na służących i robotników. A ponieważ handlowa część miasta przeżywała okres rozkwitu, chudy młodzieniec - niejaki Liona Keeble - wymyślił zawód pośrednika pracy i w tej właśnie chwili stwierdzał, że nie jest to zajęcie łatwe.

- Drogi panie... - zerknął w papiery. - Trafia tu wielu ludzi, którzy przenieśli się do miasta, ponieważ niestety wierzyli, że życie tu jest bogatsze. Proszę wybaczyć śmiałość, ale wygląda pan na dżentelmena, którego opuściło szczęście. Myślałem, że będzie pan wolał coś bardziej wyrafinowanego niż... - Raz jeszcze spojrzął w papiery i zmarszczył brwi. - ...jakąś miłą pracę z kotami albo przy kwiatkach.

PRZYKRO MI. UZNAŁEM, ŻE PORA COŚ ZMIENIĆ.

- Czy gra pan na jakimś instrumencie?

NIE.

- Zna się pan na stolarstwie?

NIE WIEM. NIGDY NIE SPRAWDZAŁEM.

Śmierć wpatrywał się we własne stopy. Zaczynał odczuwać głębokie zakłopotanie.

Keeble przerzucił jakieś papiery na biurku i westchnął.

POTRAFIĘ PRZECHODZIĆ PRZEZ ŚCIANY, oznajmił Śmierć świadom faktu, że rozmowa znalazła się w impasie.

Keeble rozpromienił się.

- Chciałbym to zobaczyć - rzekł. - To byłyby znakomite kwalifikacje.

DOBRZE.

Śmierć odsunął krzesło i pewnym krokiem podszedł do najbliższej ściany.

AU!

Keeble przyglądał mu się wyczekująco.

- No dalej. Proszę - zachęcił.

EHM... TO ZWYCZAJNA ŚCIANA, PRAWDA?

- Tak przypuszczam. Nie jestem specjalistą.

JAK SIĘ NAZYWA UCZUCIE, ŻE JEST SIĘ BARDZO MAŁYM I ROZGRZANYM?

Keeble bawił się piórem.

- Pigmej?

ZACZYNA SIĘ NA Z.

- Zakłopotanie?

- TAK - zgodził się Śmierć. - TO ZNACZY TAK.

- Mam wrażenie, że nie posiada pan żadnej pożytecznej umiejętności ani talentu - westchnął Keeble. - Czy myślał pan, żeby się zająć nauczaniem?

Twarz Śmierci stała się maską grozy. To znaczy zawsze taka była, ale tym razem chciał tego.

- Widzi pan... - Keeble odłożył pióro i splótł palce. - Bardzo rzadko zdarza mi się szukać pracy dla... jak to było?

ANTROPOMORFICZNEJ PERSONIFIKACJI.

- A tak. Rzeczywiście. A co to właściwie znaczy?

Śmierć miał już dosyć.

TO, rzekł.

Na chwilę, tylko na chwilę pan Keeble zobaczył go wyraźnie. Jego twarz przybrała bladość oblicza Śmierci. Dłonie zadygotały konwulsyjnie. Serce zatrzymało się na moment.

Śmierć przyjrzał mu się z pewnym zaciekawieniem, po czym wydobyl spod szaty klepsydre i zbadał ją pod światło.

SPOKOJNIE, powiedział. MASZ JESZCZE DOBRE PARĘ LAT.

- Aaaallll...

JEŚLI CHCESZ, MOGĘ CI POWIEDZIEĆ ILE.

Keeble usiłował właśnie odetchnąć, więc zdołał tylko pokręcić głową.

W TAKIM RAZIE MOŻE PRZYNIEŚĆ CI SZKLANKĘ WODY?

- Nnn... nnn...

Brzęknął dzwonek nad drzwiami. Keeble wzniósł oczy do góry. Śmierć uznał, że jest mu coś winien. Nie powinien dopuścić, żeby stracił zarobek, rzecz najwyraźniej bardzo przez ludzi cenioną.

Odsunął zasłonę z paciorków i przeszedł do recepcyjnej części biura. Niska, tęga kobieta, podobna do rozgniewanego bochenka chleba, waliła

dorszem o ladę.

- Chodzi o tę posadę kucharki na Uniwersytecie - oznajmiła. - Mówił pan, że to dobre miejsce, a to czysty skandal, te studenckie dowcipy, więc żądam... chciałabym... nie po to...

Jej głos cichł z wolna.

- Ee... - powiedziała, choć dało się poznać, że straciła entuzjazm. - Pan nie jest Keeble'em, prawda?

Śmierć spoglądał na nią. Jeszcze nigdy nie miał do czynienia z niezadowolonym klientem. Wreszcie zrezygnował.

ODEJDŹ STĄD, POSEPNĄ CZAROWNICO!

Kucharka gniewnie zmrużyła małe oczka.

- Kogo to nazywasz pan posepną stolnicą? - spytała oskarżycielskim tonem i znowu uderzyła rybą o ladę. - Popatrz pan tylko. Wczoraj wieczorem to był mój termofor, a dzisiaj rano? Ryba. Co to ma znaczyć, pytani.

WSZYSTKIE DEMONY PIEKIEŁ ROZERWANA STRZĘPY TWĄ DUSZĘ, JEŚLI W TEJ CHWILI NIE OPUŚCISZ BIURA, spróbował Śmierć.

- Nic o tym nie wiem. A co z moim termoforem? Tam u nich nie ma miejsca dla porządnej kobiety. Próbowali...

JEŚLI SOBIE PÓJDZIESZ, przerwał jej desperacko Śmierć, DAM CI TROCHĘ PIENIĘDZY.

- Ile? - zapytała kucharka z szybkością, która pozwoliłaby jej wyprzedzić atakującą kobrę, a błyskawicy sprawiłaby przykrą niespodziankę.

Śmierć sięgnął po swoją sakiewkę i wysypał na ladę stosik pokrytych patyną, poczerniałych monet. Kobieta przyjrzała im się podejrzliwie.

ODEJDŹ STĄD NATYCHMIAST, zażądał Śmierć i dodał: ZANIM

PALĄCE WICHRY NIESKOŃCZONOŚCI SPOPIELĄ TWOJE BEZ-
WARTOŚCIOWE ŚCIERWO.

- Mój mąż dowie się o wszystkim - rzekła ponuro kucharka i wyszła.

Śmierć miał uczucie, że żadna groźba nie byłaby bardziej przerażająca.

Wrócił za zasłonę. Keeble, wciąż skulony na krześle, wydał z siebie coś w rodzaju zduszonego bulgotu.

- Więc to się dzieje naprawdę? - wykrztusił. - Myślałem, że jest pan koszmarnym snem!

MÓGLBYM SIĘ O TO OBRAZIĆ, zauważył Śmierć.

- Naprawdę jest pan Śmiercią?

TAK.

- Dlaczego pan nic nie powiedział?

LUDZIE ZWYKLE WOLĄ, ŻEBYM NIE MÓWIŁ.

Keeble zachichotał histerycznie. Zaczął przerzucać papiery.

- I chce pan zmienić zajęcie? Na wróżkę zębuszkę? Wodnego duszka? Piaskowego dziadka?

NIE ŻARTUJ. PO PROSTU... CZUJĘ, ŻE PRZYDA MI SIĘ JAKAŚ
ODMIANĄ

Gorączkowe poszukiwania Keeble'a odsłoniły w końcu dokument, którego potrzebował. Zaśmiał się obłąkańczo i wcisnął go w rękę Śmierci.

Śmierć przeczytał.

TO JEST PRACA? LUDZIOM ZA TO PŁACĄ?

- Tak, tak. Proszę z nim porozmawiać. Świetnie się pan nadaje. Tylko

proszę nie wspominać, że to ja pana przysłałem.

Pimpuś galopował przez noc, a Dysk rozwijał się daleko w dole, pod jego kopytami. Mort przekonał się, że miecz sięga o wiele dalej niż początkowo sądził: sięga do samych gwiazd. Machnął nim poprzez głębie przestrzeni i zatopił klingę w samym sercu żółtego karła, który z satysfakcjonującym rozbłyskiem zmienił się w novą. Mort stanął w strzemionach i zakręcił ostrzem nad głową; ze śmiechem patrzył, jak błękitny płomień omiata nieboskłon, pozostawiając ścieżkę ciemności i zgłiszczy.

I nie zatrzymuje się. Mort ciągnął z całej siły, ale miecz przeciął horyzont, zmiażdżył góry, osuszył morza, zmienił zielone lasy w dogasające popioły. Słyszał za sobą głosy, krótkie krzyki przyjaciół i krewnych. Obejrzał się zrozpaczony. Wicher unosił chmury pyłu z martwej ziemi. Walczył, by puścić rękojeść, ale miecz płonął w dłoni lodowatym zimnem i wciągał do tańca, który nie skończy się, dopóki nie pozostanie nic żywego.

A kiedy nadeszła ta chwila, Mort został sam, jeśli nie liczyć Śmierci.

DOBRA ROBOTA, CHŁOPCZE, pochwalił go.

A Mort odpowiedział: MORT.

- Mort! Mort! Obudź się!

Z wolna, niby topielec w stawie, wypływał na powierzchnię świadomości. Walczył z tym, do końca trzymał się poduszki i upiórów snu, ale ktoś nagle szarpał go za ucho.

- Mmm... - powiedział Mort

- Mort!

- Cco?

- Mort, chodzi o ojca!

Otworzył oczy i spojrzał tępo w twarz Ysabell. Wydarzenia ostatniej nocy powróciły i wspomnienia zaatakowały z siłą skarpety napełnionej mokrym piaskiem.

Wciąż otulony resztką swego snu zsunął nogi z łóżka.

- Dobrze, dobrze - mruknął. - Zaraz do niego pójde.

- Ale go nie ma! Albert odchodzi od zmysłów! - Ysabell stała przy łóżku i miała w dłoniach chusteczkę. - Mort, myślisz, że coś mu się stało? Spojrzał nie rozumiejąc.

- Nie bądź głupia - burknął. - Przecież jest Śmiercią. Podrapał się. Swędziała go cała skóra, gorąca i sucha.

- Ale nigdy nie wyjeżdżał na tak długo! Nawet kiedy była ta wielka zaraza, w Pseudopolis. Przecież musi tu być rano, dopilnować ksiąg, opracować węzły...

Mort chwycił ją za ramiona.

- Już dobrze, nie martw się - powiedział tak pocieszającym tonem, na jaki tylko było go stać. - Jestem pewien, że nic mu się nie stało. Uspokój się. Pójde sprawdzić... Dlaczego masz zamknięte oczy?

- Proszę cię, Mort, włóż coś na siebie - poprosiła Ysabell zduszonym głosem.

Mort spojrzał w dół.

- Przepraszam - wykrztusił zawstydzony. - Nie zdawałem sobie sprawy... Kto mnie położył do łóżka?

- Ja - odparła. - Ale patrzyłam w inną stronę.

Mort wciągnął spodnie, narzucił koszulę i ruszył do gabinetu Śmierci. Ysabell biegła tuż za nim. Albert był już na miejscu; przeskakiwał z nogi na

nogę jak kaczka na gorącym piecu. Kiedy wszedł Mort, wyraz twarzy starca mógłby niemal oznaczać wdzięczność.

Mort spostrzegł zdumiony, że Albert ma łzy w oczach.

- Nikt nie siedział na jego krześle - jęknął rozpaczliwie starzec.

- Przepraszam, ale czy to takie ważne? - zdziwił się Mort. - Mój dziadek czasem całymi dniami nie wracał do domu, kiedy dobrze mu szło na jarmarku.

- Ale on zawsze tu jest Odkąd go znam, co rano siedzi tutaj, przy swoim biurku, i pracuje nad węzłami. To jego praca. Nie zapomniałby o niej.

- Przypuszczam, że przez dzień czy dwa węzły mogą same o siebie zadbać - stwierdził chłopiec.

Spadek temperatury w pokoju podpowiedział mu, że się myli.

- Nie mogą? - zapytał. Oboje pokręcili głowami.

- Jeśli węzły nie zostaną odpowiednio opracowane, cała Równowaga ulegnie zakłóceniu - wyjaśniła Ysabell. - Wszystko może się zdarzyć.

- Nie mówił ci? - zdziwił się Albert.

- Właściwie nie. Tak naprawdę zajmowałem się tylko praktyką. Obiecał, że całą teorię wyłoży później.

Ysabell wybuchnęła płaczem.

Albert ujął Morta pod ramię i intensywnie, dramatycznie poruszając brwiami dał mu do zrozumienia, że powinni chwilę porozmawiać na osobności. Mort ruszył za nim niechętnie. Starzec poszperał po kieszeniach i w końcu wyjął pogniecioną papierową torbę.

- Miętusa? - zaproponował. Mort pokręcił głową.

- Nigdy ci nie wspominał o węzłach?

Mort znowu zaprzeczył. Albert zassał swojego miętusa; brzmiało to tak, jakby ktoś wyciągnął korek z wanny Boga.

- Ile masz lat, mój chłopcze?

- Mort. Szesnaście.

- Są pewne sprawy, o których każdy chłopiec powinien się dowiedzieć, zanim skończy szesnaście lat. - Albert obejrzał się na Ysabell, szlochającą na fotelu Śmierci.

- Och, to wiem. Ojciec mi wszystko wytłumaczył, kiedy chodziliśmy z thargami do krycia. Kiedy mężczyzna i kobieta...

- Chodziło mi o wszechświat - przerwał pośpiesznie Albert. - Czy nigdy się nad nim nie zastanawiałeś?

- Wiem, że Dysk płynie w przestrzeni na grzbietach czterech słoni, które z kolei stoją na skorupie Wielkiego A'Tuina.

- To tylko fragment całości. Pytałem o cały wszechświat czasu i przestrzeni, życia i śmierci, dnia i nocy, i w ogóle.

- Nie powiem, żebym często się nad tym zastanawiał.

- Aha. A powinienes. Rzecz w tym, że węzły są tego elementem. Nie pozwalają, żeby śmierć wymknęła się spod kontroli. Nie on, naturalnie, nie Śmierć. Po prostu śmierć. Chodzi o to... - Albert z wysiłkiem dobierał słowa. - Chodzi o to, żeby śmierć zdarzała się dokładnie na końcu życia, nie wcześniej i nie później. Trzeba analizować węzły, żeby kluczowe postacie... Nie bardzo rozumiesz, prawda?

- Przykro mi.

- Trzeba je analizować - powtórzył krótko Albert. - A potem należy wybrać właściwe życia. Te klepsydry, jak je nazywasz. Sama Służba jest najłatwiejsza.

- Umiesz to zrobić, Albercie?

- Nie. A ty?

- Nie!

Albert w zadumie ssał miętusa.

- W takim razie cały świat pogrzeza się w bagnie - stwierdził.

- Właściwie nie rozumiem, czemu się tak zamartwiamy - rzekł Mort. - Przypuszczam, że coś go zwyczajnie zatrzymało.

Nawet jemu nie wydało się to przekonujące. W końcu mało kto łapał Śmierć za guzik, żeby mu opowiedzieć kolejną anegdotę, albo klepał po plecach mówiąc: „Jeszcze po jednym, kolego, po co się tak spieszyć”, albo proponował kręgle, a potem wypad do klatchiańskiego baru, albo... Z nagłą, przerażającą wyrazistością Mort uświadomił sobie, że Śmierć jest pewnie najbardziej samotną istotą we wszechświecie. Na wielkim bankiecie Stworzenia on przez cały czas siedział w kuchni.

- Sam nie wiem, co pana ostatnio naszło - wymruczał Albert. - Wstawaj z fotela, panienko - zwrócił się do Ysabell. - Musimy spojrzeć na te węzły.

Otworzyli księgę.

I przyglądali jej się bardzo długo.

W końcu odezwał się Mort:

- Co oznaczają te wszystkie symbole?

- Demonis non sapiens - mruknął pod nosem Albert.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że niech mnie diabli porwą, jeśli mam pojęcie.

- Mowa magów, prawda? - spytał chłopiec.

- Nie wspominaj nawet mowy magów. O mowie magów nic nie wiem.

Użyj swojego mózgu do tego tutaj.

Mort raz jeszcze spojrzał na płataninę linii. Wyglądało to tak, jakby pajak utkał swoją sieć na stronicy, a przy każdym rozgałęzieniu przystawał i robił notatki. Mort patrzył, aż oczy zaszyły mu łzami i czekał na iskrę natchnienia. Żadna się nie pojawiła.

- Masz jakiś pomysł?

- Dla mnie to czysty klatchiański - stwierdził Mort. - Nie wiem nawet, czy trzeba to czytać do góry nogami czy z boku na bok.

- Spiralnie, od środka do brzegów - chlipnęła Ysabell ze stołka w kącie.

Zderzyli się głowami, kiedy obaj naraz zbliżyli nosy do środka strony. Potem obejrzelili się na dziewczynę. Wzruszyła ramionami.

- Ojciec nauczył mnie czytać schematy węzłów - wyjaśniła. - Kiedy szłam u niego w gabinecie. Pokazywał mi kawałki.

- Możesz pomóc? - spytał Mort.

- Nie - odparła Ysabell. Wytarła nos.

- Co to znaczy: nie? - warknął Albert. - To zbyt poważna sprawa na jakieś fochy...

- Chcę powiedzieć - rzekła Ysabell głosem ostrym jak brzytwa - że sama potrafię to zrobić, a wy możecie pomóc.

Gildia Kupców Ankh-Morpork zatrudniała duże grupy ludzi z uszami jak pięści, a pięściami jak spore worki orzechów, których zadaniem była reedukacja zbłąkanych, publicznie nie dostrzegających licznych atrakcji tego pięknego miasta. Na przykład filozof Catroaster został znaleziony, jak spływał twarzą w dół po rzece w kilka godzin po wygłoszeniu swej słynnej

maksymy: „Kiedy człowiek ma dosyć Ankh-Morpork, to ma dosyć błota po kostki”.

Rozsądek zatem nakazuje poświęcić kilka słów jednemu - jednemu z wielu, ma się rozumieć - z powodów, dla których Ankh-Morpork słynne jest pośród wielkich miast multiversum.

To jego kuchnia.

Szlaki handlowe połowy Dysku krzyżują się w mieście albo prowadzą po leniwej rzece, która przez nie przepływa. Więcej niż połowa plemion i ras na Dysku ma swoich reprezentantów wśród mieszkańców. W Ankh-Morpork można trafić na kuchnię całego świata; w kartach przybysz znajdzie tysiąc odmian jarzyn, półtora tysiąca serów, dwa tysiące przypraw, trzysta rodzajów mięsa, dwieście gatunków ptactwa, pięćset rozmaitych ryb, setkę wariacji na temat makaronu, jajka tej czy innej odmiany, pięćdziesiąt owadów, trzydzieści małż, dwadzieścia mieszanych węży i innych gadów, a także coś jasnobrązowego i pokrytego kurzajkami, znanego jako klatchiańskie wędrownie trufle bagienne.

Można tu znaleźć wszelkiego rodzaju restauracje, od luksusowych, gdzie porcje są maleńkie, ale za to talerze srebrne, po znane tylko bywalcom, gdzie co bardziej egzotyczni mieszkańcy Dysku zjadają wszystko, co uda im się wcisnąć sobie do gardła dwa razy na trzy próby.

Bar Najlepsze Żeberka Hargi w pobliżu portu prawdopodobnie nie zalicza się do najlepszych lokali miasta. Obsługuje klientów, którzy preferują ilość nad jakość i rozbijają stoły, jeśli jej nie dostaną. Nie szukają potraw wyszukanych czy egzotycznych, ale wolą dania konwencjonalne, jak embriony ptaków nielotów, mielone organy w powłoce jelit, plastry ciała świń czy bulwy bylin przypalane w zwierzęcym tłuszczu; w ich gwarze określa się je jako jajka, kiełbasę, bekon i frytki.

Był to ten rodzaj jadłodajni, gdzie nie jest potrzebne menu. Wystarczy popatrzeć na kamizelkę Hargi.

Mimo to, co musiał przyznać, od przyjęcia nowego kucharza interesy szły doskonale. Harga, wielka reklama własnych, bogatych w węglowodany

produktów, promieniał spoglądając na salę pełną zadowolonych klientów. A jaki jest szybki! Szczerze mówiąc niepokojąco szybki.

Zastukał w klapę.

- Podwójne jajko, frytki, fasolka i trollburger. Bez cebuli - wychrypiał.

NATYCHMIAST.

Kłapa uchyliła się po kilku sekundach i wysunęły się dwa talerze. Harga pokręcił głową we wdzięcznym podziwie.

Tak to trwało przez cały wieczór. Jajka były jasne i lśniące, fasolka w sosie błyszczała jak garść rubinów, a frytki miały złocistobrazową barwę ciał opalonych na luksusowej plaży. Poprzedni kucharz smażył frytki podobne do małych papierowych torebek pełnych ropiejącej mazi.

Harga rozejrzał się po dusznej sali. Nikt na niego nie patrzył. To dobrze. Musi dociec, jak to się dzieje. Znowu zastukał w klapę.

- Sandwicz z aligatorem - rzucił. - Tylko szyb...

Kłapa podskoczyła. Po krótkiej chwili Harga zebrał dość odwagi i zajrzał pod górną kromkę podłużnej kanapki. Nie twierdził, że to aligator, ale nie twierdził też, że nie. Jeszcze raz stuknął w klapę.

- No dobrze - powiedział. - Nie narzekam. Po prostu chciałbym wiedzieć, jak ty to robisz tak szybko. CZAS NIE JEST ISTOTNY.

- Tak uważasz?

WŁAŚNIE.

Harga postanowił się nie sprzeczać.

- Muszę przyznać, że świetnie sobie radzisz, drogi chłopcze - pochwalił.

JAK SIĘ NAZYWA, KIEDY CZUJESZ SIĘ DOBRZE, JESTEŚ

ZADOWOLONY I CHCIAŁBYŚ, ŻEBY TAK JUŻ ZOSTAŁO?

- Ja bym to chyba nazwał szczęściem.

W maleńkiej ciasnej kuchni, pokrytej wieloletnimi warstwami osadowymi tłuszczu, Śmierć wirował i zwijał się, ciął, kroił i smażył. Tasak błyskał w cuchnących oparach.

Otworzył drzwi na chłodne nocne powietrze, a kilkanaście kotów z sąsiedztwa wkroczyło do środka. Zachęcał je miseczkami mleka i mięsa - najlepsze kęski z zapasów Hargi, o czym na szczęście gospodarz nie miał pojęcia. Od czasu do czasu Śmierć przerywał pracę i drapał któregoś za uszami.

- Szczęście - powiedział do siebie, zdziwiony brzmieniem własnego głosu.

Cutwell, mag i Królewski Rozpoznawca, podciągnął się na ostatni stopień w wieży i oparł o ścianę czekając, aż serce mu się trochę uspokoi. Właściwie nie była to jakaś wyjątkowo wysoka wieża, a jedynie wysoka jak na Sto Lat Jej kształt i konstrukcja sugerowały, że jest to standardowa budowla do więzienia księżniczek. Trzymano w niej głównie stare meble.

Tym niemniej gwarantowała niczym nie przesłonięty widok na miasto i równinę Sto, co oznacza, trzeba to szczerze wyznać, że widać było stamtąd bardzo dużo kapusty.

Cutwell podszedł aż to spękanych blanków i popatrzył na poranną mgiełkę. Była chyba odrobinę bardziej mglista niż zwykle. Jeśli bardzo się postarał, mógł sobie wyobrazić błysk na niebie. A kiedy naprawdę wyteżył wyobraźnię, słyszał brzęczenie nad polami kapusty, dźwięk jakby ktoś przysmażał szarańczę. Cutwell zadrżał.

W takiej chwili ręce odruchowo poklepały kieszenie, ale nie znalazły

niczego poza torebką galaretek stopionych w lepką masę i ogryzka jabłka. Żadna z tych rzeczy nie dawała pocieszenia.

Cutwell szukał tego, czego szukałby w takiej chwili każdy normalny mag: papierosa. Potrafiłby zabić dla cygara. Dla zgniecionego niedopałka posunąłby się nawet do poważnego uszkodzenia ciała. Wziął się w garść. Wytrwałość wzmacnia kręgosłup moralny, problem jednak w tym, że ów kręgosłup nie doceniał ponoszonych dla niego ofiar. Podobno prawdziwie wielki mag powinien żyć w stanie ciągłego napięcia. Cutwella można by wykorzystać jako cięciwę.

Odwrócił się plecami do kapuścianego krajobrazu i po spiralnych schodach zszedł z wieży do centralnej części pałacu.

Mimo wszystko, pomyślał, kampania przynosi efekty. Mieszkańcy nie bez oporu zaakceptowali fakt, że wkrótce nastąpi koronacja, chociaż nie byli pewni, kto właściwie otrzyma koronę. Na ulicach miały zawisnąć proporce, zaś Cutwell nakazał, żeby z fontanny na rynku płynęło jeśli już nie wino, to przynajmniej piwo warzone z brokułów. Będą tańce ludowe, choćby i pod groźbą użycia miecza. Wyścigi dla dzieci. Wół pieczony na rożnie. Królewska karoca została odmalowana i Cutwell wierzył, że ludzie dadzą się przekonać, by zauważyć jej przejazd.

Najwyższy kapłan w świątyni Ślepego Io stanowił osobny problem. Cutwell uważał go za sympatycznego staruszka, którego sprawność w posługiwaniu się nożem była tak niska, że połowa kóz ofiarnych nudziła się czekaniem i odchodziła bez pośpiechu. Ostatnim razem, zanim dostatecznie się skoncentrował, koza zdążyła urodzić młode, po czym odwaga wzbudzona macierzyństwem pozwoliła jej wypędzić kapłanów ze świątyni.

Szansa, że uda mu się włożyć koronę na głowę właściwej osoby nawet w zwykłych okolicznościach była, jak to skalkulował Cutwell, zaledwie średnia. Będzie musiał stanąć przy staruszku i taktownie pokierować drżącą dłonią.

Ale nie na tym polegał zasadniczy kłopot. Zasadniczy kłopot był o wiele poważniejszy. Zasadniczy kłopot pojawił się po śniadaniu, w czasie rozmowy z kanclerzem.

- Sztuczne ognie? - zdziwił się wtedy Cutwell.

- Podobno wy, magowie, świetnie sobie z nimi radzicie. Prawda?

- Kanclerz był czerstwy jak tygodniowy bochenek chleba. - Błyski, wybuchy i co tam jeszcze. Pamiętam, kiedy byłem małym chłopcem, widziałem jednego maga...

- Niestety, nie znam się zbyt dobrze na sztucznych ogniach - oświadczył Cutwell tonem mającym sugerować, że cieszy się z tej niewiedzy.

- Mnóstwo rakiet - wspominał z rozmarzeniem kanclerz. - Ankhiańskie świece. Błyskawice. I takie coś, co można było trzymać w ręce. Bez sztucznych ogni nie ma prawdziwej koronacji.

- Tak, panie, ale widzicie...

- Zuch - pochwalił go kanclerz. - Wiedziałem, że możemy na tobie polegać. Dużo rakiet, rozumiesz, a na zakończenie coś specjalnego, coś naprawdę zapierającego dech w piersi. Na przykład portret, portret...

- Oczy zaszyły mu mgłą, dla Cutwella już boleśnie znajomą.

- Księżniczki Keli - dokończył ze znużeniem.

- A tak. Jej. No więc portret... tej, co mówiłeś... ze sztucznych ogni. Oczywiście, dla was, magów, to pewnie dziecinna zabawa, ale lud to uwielbia. Nie ma nic lepszego niż parę wybuchów, huk i trochę machania z balkonu, żeby utrzymać w formie organa lojalności. Zawsze to powtarzam. Nie zapomnij. Rakiety. Z runami.

Godzinę temu Cutwell przejrzał indeks „Grimoire Zabaw Monstrualnych”, ostrożnie wymieszał kilka powszechnie dostępnych artykułów gospodarstwa domowego i przyłożył do nich zapalnik.

Zabawna rzecz te brwi, myślał teraz. Dopóki nie znikną, człowiek ich właściwie nie zauważa.

Zaczerwieniony i wciąż pachnący dymem, Cutwell pomaszerował do

królewskich apartamentów. Mijał stadka służących zajętych tym, co zwykle robią służące, a co wymaga chyba obecności przynajmniej trzech z nich. Kiedy dostrzegały Cutwella, na ogół milkły i przechodziły szybko ze spuszczonej głowami, a kawałek dalej wybuchały stłumionym chichotem. To irytowało Cutwella. Nie z powodów osobistych, jak sobie tłumaczył, ale dlatego, że magom należy okazywać więcej szacunku. Poza tym niektóre służące patrzyły na niego tak, że zaczynał snuć myśli niegodne maga.

Doprawdy, uznał, droga ku oświeceniu przypomina pół mili po tłuczonym szkle.

Zapukał gwałtownie do drzwi apartamentu Keli. Otworzyła mu pokojówka.

- Czy zastałem twoją panią? - zapytał tak wyniośle, jak tylko potrafił.

Pokojówka zasłoniła dłonią usta. Ramiona jej zadrżały. Oczy błysnęły. Między palcami przesączył się dźwięk podobny do świstu uchodzącej pary.

Nic na to nie poradzę, pomyślał Cutwell. Takie właśnie wywieram wrażenie na kobietach.

- Czy to mężczyzna? - dobiegł z głębi głos Keli. Oczy pokojówki zaszyły mgłą. Przechyliła głowę, jakby niepewna, co właściwie słyszała.

- To ja, Cutwell - zawołał Cutwell.

- Aha. To co innego. Możesz wejść.

Cutwell przecisnął się obok pokojówki, starając się ignorować zduszony śmiech. Dziewczyna wybiegła z pokoju. Wszyscy wiedzieli, oczywiście, że mag nie potrzebuje przyzwoitki. To tylko ton księżniczki: „Aha. To co innego” sprawił, że zjeżył się wewnętrznie.

Keli siedziała przy toalecie i czesała włosy. Bardzo niewielu ludzi na świecie odkrywa, co księżniczki noszą pod suknią i Cutwell dołączył do ich grona z pewnymi oporami, ale i zadziwiającym opanowaniem. Zdradzały go jedynie nerwowe poruszenia grdyki. Nie miał wątpliwości, że przez kilka dni

nie będzie zdolny do czarów.

Odwróciła się i pochwycił zapach pudru. Tygodni, do licha. Tygodni.

- Wydajesz się nieco zgrzany, Cutwell. Co się stało?

- Naarg.

- Słucham?

Otrząsnął się.

Skup się na szczotce, człowieku. Na szczotce.

- To tylko niewielkie magiczne eksperymenty, madam. Powierzchowne oparzenia.

- Czy wciąż się przesuwa?

- Obawiam się, że tak.

Keli odwróciła się do lustra. Jej twarz wyrażała determinację.

- Mamy dość czasu?

Tego najbardziej się obawiał. Zrobił co w ludzkiej mocy. Królewski astrolog został doprowadzony do trzeźwości na czas dostatecznie długi by stwierdzić, że jutrzejszy dzień jest jedynym, kiedy ceremonia może się odbyć. Cutwell przygotował więc wszystko, by rozpocząć ją sekundę po północy. Bezlitośnie ściał partyturę królewskiej fanfary. Wyliczył czas inwokacji do bogów i skrócił ją solidnie - będzie awantura, kiedy bogowie to odkryją. Rytuał namaszczenia świętymi olejkami miał się ograniczyć do szybkiego mażnięcia za uszami. Deskorolki były wynalazkiem na Dysku nieznanym; w przeciwnym razie przejście Keli główną nawą byłoby niekonstytucyjnie prędkie. I wciąż nie wystarczało. Denerwował się.

- Myślę, że niekoniecznie - wyznał. - Rozstrzygnięcie może być bliskie.

Widział, jak przygląda mu się w lustrze.

- Jak bliskie?

- Um... Bardzo.

- Chcesz powiedzieć, że to może do nas dotrzeć w czasie ceremonii?

- Ehm... Bardziej jakby... no... przed nią - wymamrotał smętnie Cutwell.

Zapanowała cisza. Słyszać było tylko bębnienie palców Keli o brzeg toaletki. Cutwell sądził, że księżniczka załamie się i rozbije lustro. Zamiast tego spytała:

- Skąd wiesz?

Myślał, czy nie spróbować wyjaśnienia w stylu: jestem magiem, znam się na takich sprawach. Zrezygnował jednak. Kiedy ostatni raz to powiedział, zamachnęła się na niego toporem.

- Zapytałem jednego ze strażników o tę gospodę, o której opowiadał Mort. Potem wyliczyłem przybliżoną odległość, jaką ma pokonać bariera. Mort mówił, że przesuwają się w spacerowym tempie, a założyłem, że jego kroki...

- Tak po prostu? Nie korzystałeś z magii?

- Korzystałem ze zdrowego rozsądku. Na dłuższą metę jest o wiele pewniejszy.

Poklepała go po ręku.

- Biedny staruszek Cutwell.

- Mam dopiero dwadzieścia lat, pani.

Wstała i przeszła do garderoby. Jedną z tych rzeczy, których musi nauczyć się księżniczka, to być zawsze starszą od wszystkich niższych rangą.

- Tak, przypuszczam, że istnieje coś takiego jak młodzi magowie -

rzuciła przez ramię. - Po prostu ludzie zawsze sobie ich wyobrażają starych. Ciekawe dlaczego.

- Rygory powołania, pani - odparł Cutwell i wzniósł oczy w górę. Usłyszał szelest jedwabiu.

- A dlaczego postanowiłeś zostać magiem? - Głos miała stłumiony, jakby narzuciła sobie coś na głowę.

- Praca pod dachem i nie wymagająca fizycznego wysiłku. Poza tym chciałem chyba zrozumieć, jak działa świat.

- I udało ci się?

- Nie. - Cutwell nie miał wprawy w pogawędkach, inaczej nigdy by sobie nie pozwolił na pytanie: - A dlaczego postanowiłaś zostać księżniczką?

- Zdecydowano za mnie - odpowiedziała po chwili namysłu.

- Przepraszam, ja...

- Panowanie to coś w rodzaju tradycji rodzinnej. Przypuszczam, że z magią jest tak samo. Z pewnością twój ojciec też był magiem. Cutwell zgrzytnął zębami.

- Um... Nie - powiedział. - Nie całkiem. Właściwie to wcale nie.

Wiedział, jakie słowa za chwilę padną. I rzeczywiście, pytanie nadeszło pewne jak zachód słońca, zadane głosem zabarwionym fascynacją i rozbawieniem.

- Tak? A czy to prawda, że magom nie wolno...

- Jeśli to wszystko, to już pójdę - przerwał jej Cutwell. - Gdyby ktoś mnie szukał, niech się kieruje odgłosami wybuchów. Ja... grnn...

Keli wyszła z garderoby.

Kobiece stroje nie były sprawą przesadnie zajmującą myśli Cutwella.

Właściwie kiedy myślał o kobietach, pojawiające się w umyśle obrazy rzadko zawierały w ogóle jakieś stroje. Ale wizja, jaka się przed nim pojawiła, dosłownie odebrała mu oddech. Ktokolwiek projektował tę suknię, nie wiedział, gdzie się zatrzymać. Umieścił koronki na jedwabiu, obszył to czarnym gronostajem i naszył perły w każdym miejscu, które wydawało się nazbyt puste, napuszył i nakrochmalił rękawy, dodał srebrnego filigranu, po czym od nowa zaczął z jedwabiem.

Trzeba przyznać, że można dokonać zdumiewających rzeczy, mając do dyspozycji kilka uncji ciężkiego metalu, stadko podrażnionych mięczaków, parę martwych gryzoni i sporo nici uprzedzonej w owadzych pupach. Suknia była nie tyle noszona, ile zamieszkiwana; jeśli zewnętrznych falban nie podpierały kółka, to Keli musiała mieć więcej siły, niż się Cutwellowi wydawało.

- Jak ci się podoba? - spytała, obracając się wolno. - Nosila ją moja matka, moja babka i jej matka.

- Jak to? Wszystkie naraz? - Cutwell skłonny był w to uwierzyć. Jak ona mogła wciągnąć to na siebie? Może na plecach są drzewiczki...

- To rodowe dziedzictwo. Przy staniku są prawdziwe diamenty.

- A która część to stanik?

- Ta tutaj. Cutwell zadygotał.

- Robi wrażenie - stwierdził, kiedy uznał już, że zdoła mówić normalnie. - Czy nie wydaje ci się, pani, że jest może nieco zanadto dojrzała?

- Jest królewska.

- Tak, ale może trudno się będzie w niej szybko poruszać.

- Nie zamierzam biegać. Trzeba się zachowywać godnie.

I znowu wysunięty podbródek przypomniiał długą linię przodków sięgających aż po antenata-zdobywcę, który prawie zawsze poruszał się jak najprędzej i tyle wiedział o godności, ile mógł unieść na grocie ostrej

włóczy.

Cutwell rozłożył ręce.

- Dobrze - powiedział. - Świetnie. Wszyscy robimy to, co umiemy. Mam tylko nadzieję, że Mort coś wymyśli.

- Trudno polegać na widmie - stwierdziła Keli. - On przenika przez ściany!

- Zastanawiałem się nad tym - odparł Cutwell. - To rzeczywiście zagadka. Przenika przez różne obiekty tylko wtedy, kiedy tego nie zauważa. Myślę, że to choroba zawodowa.

- Co?

- Zeszłej nocy byłem prawie pewien. On staje się rzeczywisty.

- Przecież wszyscy jesteśmy rzeczywiści! Przynajmniej ty jesteś, a mam wrażenie, że ja też.

- Ale on staje się bardziej rzeczywisty. Wyjątkowo rzeczywisty. Prawie tak rzeczywisty jak sam Śmierć, a bardziej się chyba nie da. To raczej niemożliwe.

- Jesteś pewna? - spytał podejrzliwie Albert.

- Oczywiście - zapewniła Ysabell. - Sam przelicz, jeśli mi nie wierzysz.

Albert zerknął na wielką księgę. Jego twarz była zmaterializowaną niepewnością.

- No... Mniej więcej powinno się zgadzać - przyznał niezbyt zręcznie i zapisał na skrawku papieru dwa imiona. - Zresztą i tak nie mamy jak sprawdzić.

Z górnej szuflady biurka Śmierci wyjął żelazne kółko. Wisiał na nim tylko jeden klucz.

CO TERAZ?, zapytał Mort.

- Musimy wziąć życiomierze - oznajmił Albert. - Chodź ze mną.

- Mort! - syknęła Ysabell.

- Co?

- To, co powiedziałaś... - Umilkła niepewnie, po czym dodała: - Zresztą nieważne. Po prostu zabrzmiało to... dziwnie.

- Spytałem tylko co teraz.

- Tak, ale... Mniejsza z tym.

Albert wyminął ich i bokiem przesunął się do korytarzyka. Niczym dwunożny pajak dotarł do zawsze zamkniętych drzwi. Klucz pasował doskonale. Drzwi stanęły otworem. Zawiasy nie skrzypnęły, zaszumiała jedynie głębsza cisza.

I zahuczał spadający piasek.

Mort i Ysabell znieruchomieli w progu, Albert zaś wkroczył między szklane nawy. Dźwięk nie docierał do świadomości jedynie poprzez uszy, ale płynął kośćmi nóg i przez czaszkę, wypełniał mózg, aż Mort potrafił myśleć tylko o falach szarego szumu, odgłosie milionów przeżywanych żywotów, sunących ku swemu nieuniknionemu przeznaczeniu.

Oboje spoglądali na nieskończone szeregi życiomierzy, każdy inny i każdy podpisany imieniem. Światło pochodni osadzonych w ścianach odbijało się w szkłe i na każdej klepsydrze lśniła gwiazda. Przeciwnie ściana komnaty ginęła w galaktyce błysków.

Mort poczuł na ramieniu uścisk palców Ysabell. Kiedy przemówiła, w jej głosie brzmiało napięcie.

- Mort, niektóre są takie małe...

WIEM.

Powoli, bardzo delikatnie zwolniła uścisk, jak ktoś, kto na szczycie domku z kart kładzie ostatniego asa i ostrożnie cofa rękę, by nie zburzyć całej konstrukcji.

- Powtórz to - poprosiła cicho.

- Powiedziałem, że wiem. Nic na to nie poradzę. Nigdy jeszcze tu nie byłaś?

- Nie.

Cofnęła się lekko i spojrzała mu w oczy.

- Nie jest gorzej niż w bibliotece - stwierdził Mort i niemal w to uwierzył. Ale w bibliotece tylko czytał o tym; tutaj widział, jak to się dzieje.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytał.

- Próbowałam sobie przypomnieć, jakie miałeś oczy - odparła. - Bo teraz...

- Chyba już się nagadaliście! - huknął Albert, przekrzykując szum piasku. - Tędy!

- Piwne - odpowiedział Mort. - Są piwne. Ale dlaczego?

- Szybciej!

- Lepiej idź mu pomóż - poradziła Ysabell. - Jest chyba zły.

Mort zostawił ją i odszedł. Jego umysł zmienił się nagle w bagno niepewności. Dotarł do miejsca, gdzie czekał Albert, niecierpliwie stukając stopą o kafelki podłogi.

- Co mam robić? - zapytał chłopiec.

- Idź za mną.

Komnata rozbiegała się serią zastawionych klepsydrami korytarzy. Tu i tam regały rozdzielały kamienne kolumny z kanciastymi znakami. Albert zerkał na nie czasami, ale w zasadzie przemierzał labirynt tak, jakby znał na pamięć wszystkie zakamarki.

- Albercie, czy każdy ma tu swoją klepsydrę?

- Tak.

- Przecież nie ma dość miejsca.

- A znasz się na m-wymiarowej topografii?

- No... nie.

- To na twoim miejscu powstrzymałbym się od wyrażania opinii.

Przystanął przed regałem, zerknął na kartkę papieru, przesunął dłoń wzdłuż półki i nagle chwycił klepsydrę. Górna jej część była już prawie pusta.

- Trzymaj - polecił. - Jeśli ta jest właściwa, ta druga powinna stać gdzieś blisko. Aha. Jest.

Mort obracał w dłoniach dwie klepsydry. Jedna nosiła wszelkie znaki ważnego życia, druga była niska i niczym się nie wyróżniała.

Mort odczytał imiona. Pierwsze należało chyba do jakiegoś arystokraty w Imperium Agatejskim. Drugie było ciągiem piktogramów, w których rozpoznał pismo obrotowego Klatchu.

- Twoja kolej - burknął Albert. - Im szybciej weźmiesz się do roboty, tym szybciej będziesz to miał za sobą. Przyprowadzę Pimpusia pod frontowe drzwi.

- Czy coś jest nie w porządku z moimi oczami? - zapytał niespokojnie Mort.

- Nie widzę w nich niczego niezwykłego - stwierdził Albert. - Trochę zaczerwienione, trochę bardziej niebieskie niż zwykle. Nic szczególnego.

Mort poszedł za nim wzdłuż długich półek zastawionych szklanymi życiomierzami. Był zamyślony. Ysabell przyglądała się, jak bierze miecz ze stojaka przy drzwiach, jak tnąc powietrze sprawdza jego ostrość, jak uśmiecha się bez radości, gdy rozbrzmiewa satysfakcjonujący trask.

Rozpoznała jego ruchy. Mort nie szedł. On... kroczył.

- Mort - szepnęła.

TAK?

- Coś się z tobą dzieje.

WIEM, przyznał Mort. - Ale myślę, że potrafię nad tym zapanować.

Na zewnątrz zastukały kopyta. Albert otworzył drzwi i wszedł rozcierając dłonie.

- No dobrze, chłopcze, nie ma czasu na...

Mort machnął mieczem trzymanym w wyciągniętej ręce. Z odgłosem dartego jedwabiu klinga przecięła powietrze i wbiła się w futrynę przy uchu Alberta.

NA KOLANA, ALBERCIE MALICH.

Albert rozdziawił usta. Zezem popatrzył na migotliwe ostrze o kilka cali od swej głowy. Oczy zwęziły mu się w wąskie szparki.

- Nie ośmielisz się, chłopcze - rzekł.

MORT.

Pojedyncza sylaba trzasnęła jak bicz, dwa razy od niego groźniejsza.

- Zawarliśmy pakt - oznajmił Albert, lecz w jego głosie zabrzmiała

najdelikatniejsza nuta zwątpienia. - Była umowa.

- Nie ze mną.

- Była umowa! Gdzie byśmy się znaleźli, gdybyśmy nie dotrzymywali umów?

- Nie wiem, gdzie ja bym się znalazł - odparł cicho Mort. ALE WIEM, DOKĄD TY BYŚ TRAFIŁ.

- To niesprawiedliwe! - Teraz był to skowyt.

NIE MA SPRAWIEDLIWOŚCI. JESTEM TYLKO JA.

- Przestań, Mort - wtrąciła Ysabell. - Zachowujesz się głupio. Nikogo nie możesz tutaj zabić. Zresztą nie chcesz przecież zabijać Alberta.

- Nie tutaj. Ale mogę odesłać go z powrotem do świata. Albert zbladł.

- Nie zrobisz tego!

- Nie? Mogę cię tam zabrać i zostawić. Nie sądzę, żeby zostało ci dużo czasu. Prawda? PRAWDA?

- Nie mów tak. - Albert unikał jego spojrzenia. - Kiedy tak mówisz, przypominasz mi pana.

- Potrafię być gorszy od niego - odparł zimno Mort. - Ysabell, przynieś tu książkę Alberta.

- Mort, naprawdę uważam, że...

CZY DŁUGO MAM CIĘ PROSIĆ?

Błada jak ściana odwróciła się i pobiegła. Albert spojrzał na Morta wzdłuż klingi miecza.

- Nie zdołasz wiecznie nad tym panować - stwierdził z krzywym, ponurym uśmieszkiem.

- Nie mam zamiaru. Chcę nad tym panować dostatecznie długo.

- Przejmujesz jego cechy. Nie widzisz tego? Im dłużej pana nie ma, tym bardziej go przypominasz. Tylko dla ciebie to będzie gorsze, bo będziesz pamiętał, jak byłeś człowiekiem i...

- A co z tobą? - warknął Mort. - Co ty pamiętasz z czasów, kiedy byłeś człowiekiem? Jeśli wrócisz, ile życia będziesz miał przed sobą?

- Dziewięćdziesiąt jeden dni, trzy godziny i pięć minut - odparł natychmiast Albert. - Wiedziałem, rozumiesz, że depcze mi po piętach. Ale tu jestem bezpieczny, a on nie jest złym panem. Czasami nie wiem, co by zrobił beze mnie.

- Tak, nikt nie umiera w królestwie Śmierci. I to ci odpowiada, co?

- Mam już ponad dwa tysiące lat. To dużo. Żyłem dłużej niż ktokolwiek na świecie.

Mort pokręcił głową.

- Wiesz, że wcale nie żyłeś - stwierdził. - Po prostu bardziej wszystko rozciągałeś. Tutaj nikt naprawdę nie żyje. Czas w tym miejscu to fałszerstwo. Nie jest prawdziwy. Nic się nie zmienia. Wolałbym raczej umrzeć i zobaczyć, co się potem ze mną stanie, niż spędzić tu całą wieczność.

Albert w zadumie skubnął się w nos.

- Tak, możliwe - przyznał. - Ale widzisz, ja byłem magiem. I to bardzo dobrym magiem. Postawili mi pomnik, wiesz? A nie możesz żyć długo jako mag, żeby nie dorobić się kilku nieprzyjaciół. Rozumiesz, takich, którzy... będą czekać po Tamtej Stronie. - Pociągnął nosem. - Nie wszyscy mają po dwie nogi. Niektórzy wcale nie mają nóg. Albo twarzy. Śmierć zupełnie mnie nie przeraża. Raczej to, co będzie potem.

- Więc mi pomóż.

- A co mi z tego przyjdzie?

- Pewnego dnia możesz potrzebować przyjaciół po Tamtej Stronie - odpowiedział Mort. Zastanowił się chwilę i dodał: - Na twoim miejscu uznałbym, że nawet w ostatniej chwili duszy nie zaszkodzi szybkie oczyszczenie. Niektórym z tych, co na ciebie czekają, może mniej smakować.

Albert zadrżał i przymknął oczy.

- Nie masz o tym pojęcia, o czym mówisz - oświadczył. Emocje wygrały z gramatyką. - Inaczej byś tego nie mówił. Czego ode mnie chcesz?

Mort wytłumaczył.

Albert zaśmiał się.

- Tylko tyle? Tylko zmiany? Rzeczywistości? To niemożliwe. Nie istnieje już magia do tego zdolna. Wielkie Zaklęcia to potrafiły. Nic więcej. I to wszystko, więc teraz możesz sobie robić, co ci się podoba i powodzenia.

Wróciła nieco zdyszana Ysabell. Ścisnęła pod pachą ostatni tom życia Alberta. Albert znowu pociągnął nosem. Małeńka kropelka na samym czubku fascynowała Morta. Zawsze była na skraju kapnięcia, ale jakoś zawsze brakowało jej odwagi. Tak jak jemu, pomyślał.

- Książką niczego nie możecie mi zrobić - oznajmił niespokojnie stary mag.

- Nie mam zamiaru. Ale przyszło mi do głowy, że człowiek nie zostaje potężnym magiem mówiąc cały czas prawdę. Ysabell, przeczytaj, co się tam pisze.

- Nie możesz wierzyć we wszystko, co tam znajdziesz!

- *...wybuchnął, wiedząc w drżącej głębi swego serca, że Mort z pewnością może...* - przeczytała Ysabell.

- Przestań!

- *...zawołał, starając się ukryć w mrokach umysłu wiedzę, że jeśli nawet nie da się zatrzymać Rzeczywistości, można ją nieco przyhamować.*

JAK?

- ... *zaintonował Mort ołowianym głosem Śmierci* - zaczęła Ysabell.

- Dobrze, nie musisz czytać o mnie - burknął zirytowany Mort.

- O wszystko masz pretensje. Mam przepraszać za to, że żyję?

NIKT NIE UZYSKA WYBACZENIA ZA ŻYCIE.

- I nie mów tak do mnie. Dziękuję ci uprzejmie, ale mnie nie przestraszysz - rzekła. Zajrzała do księgi. Pisząca się właśnie linia stwierdzała, że kłamie.

- Powiedz jak, magu - zażądał Mort.

- Moja magia to wszystko, co mi jeszcze zostało - jęknął Albert.

- Nie jest ci tu potrzebna, nędzniku.

- Nie dam się nastraszyć, chłopcze...

SPÓJRZ MI W TWARZ I POWTÓRZ TO.

Mort władczo pstryknął palcami. Ysabell pochyliła się nad księgą.

- *Albert spojrzał w błękitne lśnienie tych oczu i poczuł, że opuszczają go resztki woli walki* - przeczytała. - *Zobaczył bowiem nie Śmierć po prostu, ale Śmierć dojrzałą ludzkimi uczuciami zemsty, okrucieństwa i niechęci. Ze straszliwą pewnością zrozumiał, że ma ostatnią szansę, inaczej Mort odeśle go z powrotem w Czas, dopadnie i strąci cieleśnie w Piekielne Wymiary, gdzie stwory grozy kropka kropka kropka kropka kropka - dokończyła.* - Dalej są same kropki przez pół strony.

- To dlatego, że nawet księga boi się o tym wspominać - szepnął Albert. Spróbował zamknąć oczy, ale obrazy w ciemności pod powiekami były tak wyraźne, że wołał otworzyć je na powrót. Nawet Mort był lepszy od tego.

- No dobrze - ustąpił. -Jest takie zaklęcie. Spowalnia czas na niewielkim obszarze. Zapiszę ci je, ale musisz znaleźć maga, żeby je wypowiedział.

- Poradzę sobie.

Albert oblizał wargi językiem podobnym do wysuszonej ścierki.

- Ale jest na to cena - dodał. - Najpierw musisz dopełnić Służby.

- Ysabell? - rzucił Mort. Spojrzała na otwartą stronicę.

- To prawda - potwierdziła. -Jeśli nie, wszystko się rozsypie a on i tak trafi z powrotem w Czas.

Cała trójka obejrzała się na dominujący nad korytarzem wielki zegar. Ostrze wahadła wolno piłowało powietrze, tnąc czas na maleńkie cząstki.

Mort jęknął.

- Nie zdążę! - szepnął. - Nie dam rady załatwić wszystkiego na czas.

- Pan znalazłby dość czasu - zauważył Albert Mort wyrwał z framugi miecz i machnął nim wściekle, choć bezsilnie, w stronę maga. Starzec drgnął.

- Zapisz zaklęcie! - polecił chłopiec. - I spiesz się!

Zawrócił na pięcie i pomaszerował do gabinetu Śmierci. W rogu stał tam wielki dysk świata, kompletny, z czterema srebrnymi słoniami stojącymi na grzbiecie Wielkiego A'Tuina z brązu, długości ponad dwóch łokci. Wielkie rzeki zaznaczono żyłami nefrytu, pustynie posypano diamentowym pyłem, największe miasta zaś zaznaczono klejnotami. Na przykład Ankh-Morpork było karbunkulem.

Mort ustawił dwie klepsydry w przybliżonych miejscach pobytu ich właścicieli i opadł na fotel Śmierci. Przyglądał się, jakby próbował siłą woli zmniejszyć dzielącą je odległość. Fotel trzeszczał cicho, gdy przesuwiał się z boku na bok i gniewnie wpatrywał w miniaturę Dysku.

Po chwili zjawiała się Ysabell. Podeszła cicho.

- Albert zapisał zakęcie - oświadczyła. - Sprawdziłam w księdze. Nie oszukał nas. Teraz poszedł i zamknął się w pokoju...

- Popatrz na nie! To znaczy: spójrz, proszę.

- Uspokój się, Mort.

- Jak mam być spokojny? Patrz, jedna stoi tam, prawie przy Wielkim Nefie, a ta tutaj, w samym Bes Pelargic. A przecież muszę jeszcze wrócić do Sto Lat. Jakby nie liczyć, to dziesięć tysięcy mil. Nie dam rady!

- Z pewnością coś wymyślisz. Pomogę ci.

Spojrzał na nią po raz pierwszy i przekonał się, że ma na sobie ciepły płaszcz - ten nieodpowiedni, z futrzanym kołnierzem.

- Ty? A co ty możesz poradzić?

- Pimpuś bez trudu uniesie dwoje - zapewniła pokornie Ysabell. Machnęła owiniętym w papier pakunkiem. - Przygotowałam dla nas coś do jedzenia. Mogę... otwierać drzwi i w ogóle.

Mort zaśmiał się posępnie.

TO NIE BĘDZIE POTRZEBNE.

- Proszę cię, przestań mówić w ten sposób.

- Nie mogę zabierać pasażerów. Będziesz przeszkadzać.

Ysabell westchnęła.

- A co powiesz na to: udawajmy, że się pokłóciliśmy i wygrałam. Rozumiesz? To nam oszczędzi trudu. Szczerze mówiąc wydaje mi się, że Pimpuś niechętnie pojedzie beze mnie. Przez te lata nakarmiłam go mnóstwem kostek cukru. Więc jak? Jedziemy?

Albert siedział na łóżku i gniewnie wpatrywał się w ścianę. Słyszał stuk podków, nagle urwany, gdy Pimpus wzniósł się w powietrze. Zamruczał coś pod nosem.

Minęło dwadzieścia minut. Emocje przemykały po twarzy starego maga niczym cienie chmur na zboczu. Od czasu do czasu mamrotał do siebie coś w rodzaju „A mówiłem”, czy „Nigdy bym tego nie zrobił”, albo „Trzeba zawiadomić pana”.

W końcu jakby pogodził się z sobą, uklęknął ostrożnie i wyciągnął spod łóżka odrapany kuferek. Otworzył go z wysiłkiem i rozwinął przykurzoną szarą szatę, rozrzucając po podłodze kulki naftaliny i poczerniałe cekiny. Założył ją, otrzepał nieco z kurzu i raz jeszcze wczółgał się pod łóżko. Po licznych stłumionych przekleństwach i głośnym brzęku porcelany wynurzył się znowu ściskając w ręku wyższą od siebie laskę.

Była grubsza niż normalne laski, przede wszystkim z powodu rzeźbień pokrywających ją od końca do końca. Były niezbyt wyraźne, ale budziły uczucie, że gdyby człowiek przyjrzał się im dokładniej, szybko by tego pożałował.

Albert otrzepał się i spojrzał na swe odbicie w lustrze nad umywalką.

- Kapelusz - stwierdził. - Nie mam kapelusza. Kapelusz jest niezbędny do czarów. A niech to!

Wybiegł z pokoju. Wrócił po kwadransie, w którym zmieściła się okrągła dziura wycięta w dywanie przed łóżkiem Morta, srebrny papier zza lustra Ysabell, igła z nitką z pudełka pod kuchennym zlewem i kilka cekinów wyskrobanych z dna kuferka. Końcowy rezultat nie był tak dobry, jak mógłby się spodziewać, i miał tendencję do zawadiackiego zsuwania się na jedno oko. Był jednak czarny, miał gwiazdy i księżycy i obwieszczał całemu światu, że właściciel jest bez wątpienia magiem, choć prawdopodobnie magiem zdesperowanym.

Po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat Albert czuł, że jest odpowiednio ubrany. To uczucie trochę go zaniepokoiło. Raz jeszcze się zastanowił, nim w końcu nogą odsunął chodnik przy łóżku i laską wyrysował na podłodze okrąg.

Czubek laski pozostawiał linię rozjarzonej oktaryny, ósmego koloru widma, koloru magii, barwy imaginacji.

Albert zaznaczył na obwodzie osiem punktów i połączył je w formę oktogramu. W pokoju rozległo się niskie brzęczenie.

Alberto Malich stanął na środku oktogramu i wzniosł laskę nad głowę. Czuł, jak ożywa mu w dłoniach, czuł mrowienie uśpionej mocy, przeciągającej się leniwie niczym rozbudzony tygrys. Powróciły dawne wspomnienia potęgi i czarów - wspomnienia brzęczące w zasnutych pajęczynami zakamarkach umysłu. Po raz pierwszy od wieków czuł, że znowu żyje.

Oblizął wargi. Buczenie umilkło, pozostawiając dziwną, jakby wychekującą ciszę.

Malich podniósł głowę i wykrzyknął pojedynczą sylabę.

Z obu końców laski trysnęły błękitno-zielone płomienie. Strugi oktarynowego ognia strzeliły z ośmiu punktów oktogramu i pochłoneły maga. Wszystko to nie było właściwie konieczne, jednak magowie uważają, że należy dbać o pozory.

Te zresztą przestały być istotne, gdyż Alberto Malich natychmiast zniknął.

Stratohemisferyczne wichry szarpały płaszcz Morta.

- Gdzie jedziemy najpierw? - krzyknęła mu do ucha Ysabell.

- Bes Pelargic! - odpowiedział. Wichura unosiła jego słowa. - Gdzie to jest?

- W Imperium Agatejskim! Na Kontynencie Przeciwwagi!

Wskazał ziemię.

Nie popędzał specjalnie Pimpusia pamiętając, jak daleka droga ich jeszcze czeka. W tej chwili rumak galopował swobodnie ponad oceanem. Ysabell zerknęła na potężne zielone bałwany z grzywami białej piany i mocniej przytuliła się do Morta.

Chłopiec dostrzegł w dali ścianę chmur oznaczającą odległy kontynent. Z trudem powstrzymał chęć, by płazem miecza ponaglić Pimpusia do szybszego biegu. Nigdy jeszcze nie uderzył konia i nie był całkiem pewien, jak zwierzę na to zareaguje. Mógł tylko czekać.

Spod jego pachy wysunęła się dłoń ściskająca kanapkę.

- Mam z szynką albo z serem i papryką - zawołała Ysabell. - Możesz zjeść, i tak nie masz nic do roboty.

Mort zerknął na wilgotny trójkąt chleba i spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadł. Dawno, już poza zasięgiem zegara. Żeby to obliczyć, potrzebowałby kalendarza.

Wziął kanapkę.

- Dzięki - powiedział z wdzięcznością, na jaką było go jeszcze stać.

Małe słońce staczało się do horyzontu, ciągnąc za sobą leniwe światło dnia. Chmury wznosiły się coraz wyżej, obrysowane różowo-pomarańczowym blaskiem. Po chwili dostrzegł pod nimi ciemniejszą plamę lądu, a tu i tam także światła miast.

Pół godziny później był już pewien, że rozróżnia pojedyncze budynki. Agatejska szkoła architektury preferowała niskie, krępe piramidy.

Pimpuś tracił wysokość i wreszcie jego kopyta znalazły się o kilka stóp

nad falami. Mort sprawdził klepsydrę i delikatnie szarpnął za uzdę, by skierować konia w stronę portu, nieco na Krawędź od kursu.

W porcie stało na kotwicy kilka statków, w większości jednożaglowych kutrów handlujących wzdłuż wybrzeża. Imperium nie zachęcało swych poddanych do dalekich podróży, gdyż mogliby zobaczyć rzeczy zakłócające spokój ich ducha. Z tych samych powodów wokół całego kraju zbudowano mur, patrolowany przez Niebiańskich Gwardzistów. Ich głównym zadaniem było deptanie po palcach tych, którzy pomyśleli, że może wyjdą na parę minut zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie zdarzało się to często, ponieważ poddani Imperatora Słońca byli na ogół całkiem zadowoleni z życia wewnątrz muru. Jest faktem ogólnie znanym, że każdy siedzi po jednej albo po drugiej stronie muru. Jedyne, co można na to poradzić, to zapomnieć albo wykształcić sobie twardsze palce.

- Kto tutaj włada? - spytała Ysabell, gdy płynęli nad portem.

- Imperatorem jest jakiś chłopiec - wyjaśnił Mort. - Ale zdaje się, że naprawdę rządzi wielki wezyr.

- Nie wolno ufać wielkim wezyrom - oznajmiła mądrze Ysabell.

I rzeczywiście, Imperator Słońce nie ufał. Wezyr, którego imię brzmiało Dziewięć Wirujących Zwierciadeł, miał bardzo stanowcze poglądy na to, kto powinien rządzić krajem, na przykład że właśnie on. A teraz chłopiec dorastał i zaczynał zadawać pytania w rodzaju: „Nie sądzisz, że mur wyglądałby lepiej, gdyby miał kilka bram?” albo „Tak, ale jak właściwie jest po drugiej stronie?” Wezyr uznał więc, że dla dobra samego imperatora powinien on zostać boleśnie otruty i wrzucony do dołu z wapnem.

Pimpuś wylądował na zagrabionym żwirze przed niskim pałacem o niezliczonych komnatach. Przy okazji mocno naruszył harmonię wszechświata[8]. Mort zeskoczył z siodła i pomógł zsiąść Ysabell.

- Tylko nie wchodź mi w drogę, dobrze? - poprosił. - I nie zadawaj pytań.

Wbiegł po stopniach z laki i ruszył przez puste komnaty. Co jakiś czas zatrzymywał się i z klepsydry odczytywał swoją pozycję. Wreszcie skręcił w jakiś korytarz i przez ażurową ścianę zajrzał do długiej niskiej sali, gdzie dwór spożywał kolację.

Młody Imperator Słońce siedział ze skrzyżowanymi nogami u szczytu maty. Płaszcz z piór i gronostajów leżał rozpostarty za jego plecami. Dworzanie zajmowali miejsca przy macie zgodnie ze ścisłym i skomplikowanym systemem pierwszeństwa. Nie można było nie zauważyć wezyra, który podejrzliwie grzebał w swojej miseczce squishi i gotowanych wodorostów. Nikt nie szykował się na śmierć.

Mort przeszedł kawałek dalej, skręcił za róg i niemal się zderzył z kilkoma potężnymi Niebiańskimi Gwardzistami, zebranymi wokół dziurki w papierowej ścianie. Podawali sobie papierosa, osłaniając go dłońmi, jak zwykle żołnierze na służbie.

Na palcach wrócił do ażurowego przepierzenia, by posłuchać, o czym rozmawiają dostojnicy.

- Najbardziej jestem nieszczęśliwym ze wszystkich śmiertelnych, O Boska Obecności, znajdując coś takiego w swoim, poza tym całkiem przyzwoitym, squishi. - Wezyr pokazał coś trzymanego w dwóch palczkach.

Cały dwór wyciągnął szyje. Mort również. Trudno byłoby nie zgodzić się z tezą wezyra: obiekt przypominał sinozieloną bryłę z wiszącymi giętkimi rurkami.

- Przygotowujący pożywienie zostaną ukarani, Szlachetne Uosobienie Nauki - zapewnił imperator. - Kto ma żeberka?

- Nie, Troskliwy Ojciec swego Ludu. Chodziło mi raczej o fakt, że jest to zapewne pęcherz i śledziona węgorza głębinowego, jakoby najsmakowitszy kęs, smakowity tak, że mogą go jeść wyłącznie ukochani przez bogów. Tak zostało zapisane. A do takiego towarzystwa oczywiście nie mogę zaliczyć swej nędznej osoby.

Szybkim ruchem ręki wrzucił smakołyk do miseczki imperatora, gdzie

organ zatrzęsł się i znieruchomiał. Młody władca przyglądał mu się przez chwilę i nabił na pałeczkę.

- Ach... - rzekł. - Czyż nie zostało również zapisane i to przez samego Ly Tin Wheedle, największego z filozofów, że uczony wyżej stoi od książąt? Pamiętam chyba, że dałeś mi kiedyś do przeczytania ten akapit, o Wierny i Wytrwały Poszukiwaczu Wiedzy.

Organ przefrunął po krótkim łuku i wylądował skromnie w miseczce wezyra. Ten chwycił go płynnym ruchem i uniósł do kolejnego rzutu. Zmrużył oczy.

- Istotnie, możemy uznać taką zasadę ogólną, o Nefrytowa Rzeko Mądrości, lecz w tym szczególnym przypadku nie mogę stawiać się ponad imperatora, którego kocham jak własnego syna i kochałem niezmiennie od dnia nieszczęśliwego zgonu jego ojca. Niech będzie mi wolno złożyć u jego stóp ten skromny dar.

Oczy dworzan śledziły trzeci przelot nieszczęsnego organu nad matą. Imperator pochwycił swój wachlarz i wspaniałym wolejem posłał smakołyk z powrotem do miseczki wezyra z taką siłą, że na wszystkie strony prysnęły gotowane wodorosty.

- Może ktoś to w końcu zje, na miłość bogów! - krzyknął nie słyszany przez nikogo Mort. - Spiesz mi się!

- W rzeczy samej jesteś najwierniejszym ze sług, Oddany i Wręcz Jedyny Towarzyszu Mego Zmarłego Ojca i Dziada w Chwili Ich Przejścia do Lepszego Świata. Nakazuję zatem, by twoją nagrodą był ten najrzadszy i najwspanialszy smakołyk.

Wezyr niepewnie szturchnął organ pałeczką i spojrzał na jasny i straszny uśmiech imperatora. Nerwowo szukał wymówki.

- Niestety, wydaje mi się, że nazbyt wiele już zjadłem... - zaczął, lecz władca uciszył go gestem ręki.

- Bez wątpienia przysmak ten wymaga odpowiednich przypraw -

stwierdził i klasnął w dłonie.

Ściana za jego plecami rozpruła się od podłogi po sufit. Do sali wpadło czterech Niebiańskich Gwardzistów. Trzech ścisnęło miecze cando, czwarty usiłował możliwie szybko połknąć żarzący się niedopałek.

- Najwierniejszy z mych sług sądzi, że nie ma już miejsca na ostatni kęs - rzekł imperator. - Czy moglibyście zbadać jego żołądek i sprawdzić, czy tak jest w istocie? Dlaczego ten człowiek wypuszcza dym uszami?

- Rwie się do akcji, Boska Eminencjo - wyjaśnił pospiesznie sierżant. - Obawiam się, że nic go nie powstrzyma.

- Niech więc sięgnie po nóż i... Och, widzę, że wezyr był jednak głodny. Brawo.

Zapadła absolutna cisza. Tylko szczęki wezyra poruszały się rytmicznie. Wreszcie przełknął.

- Wyborne - stwierdził. - Doskonałe. Zaiste jest to pokarm godny bogów. A teraz, jeśli zechcesz mi wybaczyć...

Wyprostował nogi, jakby zamierzał wstać. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło.

- Chcesz odejść? - Imperator uniósł brwi.

- Ważne sprawy państwowe, O Przenikliwe Uosobienie...

- Usiądź. Wstawanie tuż po posiłku źle wpływa na trawienie - rzekł imperator, a gwardziści zgodnie kiwnęli głowami. - Poza tym nie przypominam sobie żadnych pilnych spraw państwowych. Chyba że masz na myśli tę małą czerwoną buteleczkę podpisaną „Antidotum” w czarnej szafce z laki na bambusowym dywanie w twoich komnatach, o Kaganku Oliwny Wśród Nocy.

Wezyrowi dzwoniło w uszach. Twarz mu posiniała.

- Widzisz? - zmartwił się imperator. - Przedwczesna aktywność przy

pełnym żołądku źle wpływa na samopoczucie. Niech ta wiadomość dotrze jak najszybciej do wszystkich zakątków mojego państwa, by wszyscy ludzie dowiedzieli się o twoim ciężkim stanie i wyciągnęli odpowiednie wnioski.

- Muszę... pogratulować... Majestatowi... niezwyklej rozwagi - wykrztusił wezyr i runął w półmisek gotowanych krabów.

- Miałem doskonałego nauczyciela - mruknął imperator.

NAJWYŻSZY CZAS, stwierdził Mort i ciął mieczem.

W chwilę później dusza wezyra wstała z maty i obejrzała chłopca od stóp do głów.

- Kim jesteś, barbarzyńco? - warknął dostojnik.

ŚMIERCIA.

- Nie moją - oznajmił stanowczo wezyr. - Gdzie jest Czarny Ognisty Smok Niebios?

NIE MÓGŁ PRZYJŚĆ, wyjaśnił Mort.

Jakieś cienie kondensowały się w mroku za duszą wezyra. Kilka nosiło cesarskie szaty, ale przepychało się do przodu także wiele innych, skromniejszych. I wszystkie nie mogły się chyba doczekać, by powitać wezyra w krainie zmarłych.

- Chyba kilka osób wyszło ci na spotkanie - rzekł Mort i odszedł pospiesznie. Kiedy dotarł do korytarza, dusza wezyra zaczęła wrzeszczeć.

Ysabell czekała cierpliwie przy Pimpusiu, który spożywał na późny obiad pięćsetletnie drzewko bonsai.

- Jeden załatwiony - rzekł Mort wskazując na siodło. - Chodź. Mam złe przeczucia co do następnego, a nie zostało nam wiele czasu.

Albert zmaterializował się w samym centrum Niewidocznego Uniwersytetu, dokładnie w tym samym miejscu, z którego odszedł ze świata dwa tysiące lat temu. Burknął coś z satysfakcją i strzepnął z szaty jakiś pyłek. Uświadomił sobie, że jest obserwowany. Rozejrzał się szybko i odkrył, że wrócił do istnienia pod własnym surowym, marmurowym spojrzeniem. Poprawił okulary i z dezaprobatą obejrzał przymocowaną do postumentu brązową plakietkę. Napis głosił:

„Alberto Malich, Założyciel Tego Uniwersytetu. Magister Sztuk, 1222 - 1289. *Nie zobaczymy już podobnych do niego*”.

To tyle, jeżeli chodzi o przepowiednie, pomyślał. A jeśli już naprawdę tak go szanowali, to mogli przynajmniej wynająć porządnego rzeźbiarza. Co za paskudztwo. Nos zupełnie niepodobny. To ma być noga? W dodatku różni tacy ryli na niej swoje inicjały. Wolałby umrzeć niż pokazać się w takim kapeluszu. Oczywiście, gdyby to od niego zależało, wolałby w ogóle nie umierać.

Wymierzył w szkaradziństwo oktarynową błyskawicę. Uśmiechnął się złowrogo, kiedy posąg rozpadł się w pył.

- No i dobrze - zwrócił się do Dysku jako całości. - Wróciłem. Mrowienie magii popłynęło wzdłuż ramienia i zapłonęło ciepłem w umyśle. Tego mu brakowało... Przez tyle lat...

Zaalarmowani wybuchem magowie wbiegli przez podwójne drzwi i wyciągnęli błędne wnioski z zastanej sytuacji.

Pod ścianą stał postument - pusty. Wszystko pokrywał marmurowy pył. A wśród jego kłębów, mrużąc pod nosem, spacerował Albert. Magowie w tylnych szeregach zaczęli się wycofywać tak szybko i dyskretnie, jak to tylko możliwe. Nie znalazłby się wśród nich ani jeden, który w wesołych czasach

młodości nie nałożył na głowę Alberta standardowego elementu wyposażenia sypialni, nie wyrzył swego imienia na jego chłodnej anatomii, czy choćby nie wylał piwa na piedestał. Albo i gorzej, kiedy podczas dni uczelni napoje płynęły szybko, a wygodka była zbyt daleko, by się do niej dotoczyć. Wtedy wszystkie te pomysły wydawały się doskonałe i bardzo zabawne. A teraz jakoś przestały.

Tylko dwie postacie pozostały, by przyjąć na siebie gniew przybysza. Jedna dlatego, że zaczepiła płaszczem o drzwi, druga ponieważ była małą i mogła ze spokojem traktować sprawy ludzi.

Albert pochwycił maga, który rozpaczliwie usiłował przejść przez ścianę. Ofiara pisnęła.

- Dobrze! Przyznaję się! Byłem wtedy pijany, naprawdę, nie chciałem... Słowo daję, przepraszam, tak strasznie mi przykro...

- O czym ty gadasz, człowieku? - zapytał szczerze zdumiony Albert.

- Tak strasznie, że gdybym spróbował opowiedzieć, jak mi przykro, to byśmy obaj...

- Skończ z tymi bzdurami! - Albert zerknął na małą, która uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Jak się nazywasz?

- Tak, proszę pana, natychmiast kończę, koniec bzdur, proszę pana... Rincewind, proszę pana. Asystent bibliotekarza, za pańskim pozwoleniem.

Albert zmierzył go wzrokiem. Człowiek miał jakiś wymięty wygląd, niby coś, co odłożono do prania. Uznał, że jeśli magowie spadli na tak niski poziom, ktoś powinien jakoś temu zaradzić.

- Jaki bibliotekarz wziąłby cię na asystenta? - spytał pogardliwie.

- Uuk.

Coś podobnego do ciepłej skórzanej rękawiczki próbowało chwycić go za rękę.

- Małpa! Na moim uniwersytecie!

- Orangutan, proszę pana. Był kiedyś magiem, ale wpadł w jakieś zaklęcie, proszę pana, a teraz nie pozwala się odczarować. A tylko on wie, gdzie leżą wszystkie książki - tłumaczył pośpiesznie Rincewind. -Ja przynoszę mu banany - dodał czując, że niezbędne są dalsze wyjaśnienia.

Albert spojrzał na niego groźnie.

- Zamknij się.

- Tak jest, proszę pana, już się zamykam.

- I powiedz mi, gdzie jest Śmierć.

- Śmierć, proszę pana? - Rincewind cofnął się pod ścianę.

- Wysoki, szkielet, niebieskie oczy, kroczy zamiast chodzić, MÓWI O TAK... Śmierć. Nie widziałeś go ostatnio?

Rincewind przełknął ślinę.

- Nie, proszę pana. Ostatnio nie.

- Jest mi potrzebny. Ten chaos musi się skończyć. Ja to załatwię, rozumiesz? Ośmiu najstarszych magów ma się tu zebrać, jasne? Za pół godziny. Niech przyniosą cały sprzęt niezbędny do przeprowadzenia Rytuału AshkEnte. Zrozumiano? Co prawda twój widok nie napędza człowieka optymizmem. Banda ofermów się z was porobiła, ot co. I przestań mnie łapać za rękę!

- Uuk.

- Teraz idę na piwo - warknął Albert. - Sprzedają gdzieś tutaj mniej więcej przyzwoite kocie siki?

- Może pod Bębnem, proszę pana?

- Pod Załatany Bębnem? Przy Filigranowej? Wciąż tam stoi?

- Parę razy zmieniali nazwę i przebudowali lokal kompletnie, ale od lat mieści się... no, na miejscu. Spodziewam się, że bardzo pana suszy, prawda?

- Rincewind spróbował wisielczego humoru.

- A cóż ty możesz o tym wiedzieć? - spytał ostro Albert

- Absolutnie nic, proszę pana - odpowiedział posłusznie Rincewind.

- A zatem idę pod Bęben. Na pół godziny, nie zapomnij. I jeśli nie będą tu czekać, kiedy wrócę, to... Lepiej, żeby czekali. W chmurze marmurowego pyłu wymaszerował z sali. Rincewind patrzył, jak się oddala. Bibliotekarz trzymał go za rękę.

- Wiesz, co jest najgorsze?

- Uuk?

- Nawet nie pamiętam, żebym przechodził pod lustrem.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pod Załatanym Bębnem Albert kłócił się z oberżystą o pożółkły rachunek, przekazywany pieczołowicie z ojca na syna przez jedno królobójstwo, trzy wojny domowe, sześćdziesiąt jeden wielkich pożarów, czterysta dziewięćdziesiąt włamań i ponad piętnaście tysięcy bójek, a stwierdzający, iż Alberto Malich wciąż winien jest właścicielom trzy miedziaki plus oprocentowanie, co daje obecnie łączną zawartość znacznej części co większych skarbców Dysku i po raz kolejny dowodzi, że ankhiański kupiec z nie zapłaconym rachunkiem ma pamięć, która potrafiłaby zdumieć nawet słonia... Więc mniej więcej w tym samym czasie Pimpus pozostawiał smugę kondensacyjną na niebie ponad ogromnym, tajemniczym lądem Klatchu.

Daleko w dole bębny grzmiały w pachnących, mrocznych dżunglach, a kłęby mgły wznosiły się nad ukrytymi rzekami, gdzie bezimienne potwory leżały przyczajone pod powierzchnią i czekały, aż podejdzie kolacja.

- Ser się skończył. Musisz zjeść z szynką - oznajmiła Ysabell. - Co tam tak błyszczysz?

- To Światłne Tamy - poinformował Mort. - Zbliżamy się. - Wyjął z kieszeni klepsydrę i sprawdził poziom piasku. - Ale wciąż jesteśmy za daleko. Niech to licha!

Światłne Tamy leżały na Oś od ich kursu niby ogromne stawy światła. Tym właśnie były. Niektóre plemiona wznosiły zwierciadlane mury w górach pustyni, by w ten sposób zbierać światło słońca Dysku, powolne i nieco ciężkie. Pełniło rolę waluty.

Pimpuś szybował nad ogniskami nomadów i szerokimi rozlewiskami rzeki Tsort. Przed nimi w blasku księżyca zaczynały się krystalizować znajome kształty.

- Piramidy Tsortu przy księżycu! - szepnęła Ysabell. - Jakież to romantyczne!

SPOJONE KRWIĄ TYSIĘCY NIEWOLNIKÓW, zauważył Mort

- Przestań.

- Przepraszam, ale praktycznie rzecz biorąc...

- Dobrze. Przekonałeś mnie - mruknęła dziewczyna z irytacją.

- Pochowanie zmarłego króla to duży wysiłek- stwierdził Mort, gdy krążyli nad jedną z mniejszych piramid. - Wypychają ich konserwantami, żeby przetrwali podróż na tamten świat.

- Czy to działa?

- Niespecjalnie. - Mort pochylił się nad grzywą Pimpusia. - Widzę w dole pochodnie! - oznajmił. - Trzymaj się.

Kondukt wił się między piramidami, prowadzony przez ogromny posąg Offlera, Boga-Krokodyla. Dźwigała go setka spoconych niewolników. Całkowicie niedostrzegalny Pimpuś przemknął nad nimi kłusem, a po chwili

wykonał idealne czteropunktowe lądowanie na ubitym piasku przed wejściem do piramidy.

- Zamarynowali kolejnego władcę - rzekł Mort. W świetle księżyca przyjrzał się klepsydrze. Była całkiem zwyczajna, nie taka, jaka normalnie przysługuje królom.

- To nie może być on - zauważyła Ysabell. - Przecież chyba nie marynują ich za życia?

- Mam nadzieję, że nie. Czytałem gdzieś, że zanim przystąpią do konserwacji, tego... rozcinają ich i usuwają...

- Nie chcę tego słuchać.

- ...wszystkie miękkie kawałki - dokończył zakłopotany chłopak. - Chyba tym lepiej, że to marynowanie nie działa. Wyobraź sobie, że musiałybyś chodzić bez...

- Czyli to nie po króla tu przyjechałeś - przerwała mu głośno Ysabell. - W takim razie po kogo?

Mort spojrzał w czarny korytarz. Pozostanie otwarty do świtu, by dusza zmarłego władcy mogła opuścić ziemię. Tunel wydawał się głęboki i złowieszczy, sugerujący zastosowania o wiele bardziej posępne niż - powiedzmy - ostrzenie żyłek.

- Przekonajmy się - zaproponował.

- Uwaga! Wraca!

Ośmiu najstarszych magów Uniwersytetu ustawilo się w szeregu. W ostatniej chwili przyglądali jeszcze brody i bez większego skutku starali się wyglądać godnie. Nie było to łatwe. Oderwano ich od warsztatów, od poobiedniej brandy przed kominkiem czy cichej kontemplacji w wygodnym

fotelu, z twarzą nakrytą chustką. Wszyscy byli nieco zaleknieni i oszołomieni. Co chwila zerkali na pusty postument.

Tylko jedna istota zdołałaby przybrać taki wyraz twarzy jak oni: gołąb, który usłyszał, że lord Nelson zszedł ze swojej kolumny, i że widziano go, jak kupował strzelbę kaliber dwanaście i paczkę naboii.

- Idzie korytarzem! - zawołał Rincewind i błyskawicznie skoczył za kolumnę.

Zebrani magowie wpatrywali się w ciężkie drzwi, jakby miały za chwilę eksplodować. Dowodzi to, że mieli zdolność przewidywania, ponieważ istotnie eksplodowały. Dębowe drzazgi posypały się na wszystkie strony, a niewysoka, chuda postać stanęła na tle jasnego kwadratu wejścia. W jednej ręce trzymała dymiącą laskę. W drugiej niedużą żółtą ropuchę.

- Rincewind! - huknął Albert.

- Tak, proszę pana?

- Zabierz to i wyrzuć gdzieś.

Ropucha przepęzła na dłoń Rincewinda i spojrzała na niego przepaszająco.

- To już ostatni raz jakiś nędzny oberżysta ośmielił się wyklócać z magiem - stwierdził z satysfakcją Albert. - Wystarczy odwrócić się na paręset lat i nagle ludziom w tym mieście wydaje się, że mogą bezkarnie pyskować magom. Co?

Jeden ze starszych magów wymamrotał coś niewyraźnie.

- O co chodzi? Mów głośniej, człowieku!

- Jako kwesor tej uczelni chciałbym zauważyć, że zawsze popieraliśmy utrzymywanie dobrosąsiedzkich stosunków z lokalną społecznością - wybełkotał mag, starając się unikać przypominającego świder wzroku Alberta. Miał na sumieniu wywrócony nocnik i trzy przypadki obscenicznych graffiti. Musiał brać to pod uwagę. Albert rozdziawił usta ze

zdumienia.

- Dlaczego? - zapytał.

- No więc tego... poczucie obywatelskiego obowiązku i... uważamy, że jest niezwykle istotne, byśmy świecili przykładem!

Rozpaczliwie próbował ugasić płonąca brodę. Albert opuścił laskę i powoli przyjrzał się szeregowi. Magowie chwiali się pod jego wzrokiem niczym trawa w czasie wichury.

- Jest tu jeszcze ktoś, kto chciałby się wykazać poczuciem obywatelskiego obowiązku? - zapytał. - Może dobrosąsiedzkie stosunki? - Wyprostował się na pełną wysokość. - Wy glisty bez kręgosłupa! Nie po to założyłem ten uniwersytet, żebyście mogli pożyczać sąsiadom jakąś idiotyczną kosiarkę do trawy! Jaki jest sens posiadania mocy, skoro nie chce się z niej korzystać? Jeśli ktoś nie okazuje wam szacunku, wy nie zostawiacie z jego przeklętej gospody nawet tyle, żeby dało się przy tym upiec kasztany! Jasne?

Coś zbliżonego do cichego westchnienia uleciało z piersi zebranych magów. Wszyscy ze smutkiem spoglądali na ropuchę w ręku Rincewinda. Większość w latach młodości opanowała sztukę upijania się w sztok pod Bębem. Oczywiście, wszystko to mieli już za sobą, jednak doroczny wykwinny bankiet Gildii Kupców miał się odbyć jutro pod Bębem w saloniku na piętrze, a Magowie Ósmej Rangi otrzymali uprzejme zaproszenia. Miał być pieczony łabędź, dwa różne desery, a także liczne serdeczne toasty „Za zdrowie naszych szacownych, nie, wspaniałych gości”, póki nie przyjdzie pora, żeby woźni uniwersyteccy zjawili się z taczkami.

Albert spacerował wzdłuż szeregu i od czasu do czasu kłut laską jakiś brzuch. Dusza tańczyła mu i śpiewała. Wracać? Nigdy! To jest władza, to jest życie! Wyzwie tego starego chudzielca i napluje mu w pusty oczodół.

- Na Dymiące Zwierciadło Grismu, widzę, że konieczne będą poważne zmiany!

Magowie, którzy studiowali historię, nerwowo kiwnęli głowami.

Znowu wrócą czasy nagich kamiennych posadzek, wstawania przed świtem, alkoholu pod żadnym pozorem i uczenia się na pamięć prawdziwych imion wszystkiego, aż mózg zajęczy.

- Co on robi!

Na wpół skręcony papieros wypadł z drżących palców maga, który przed chwilą odruchowo sięgnął do kapciucha z tytoniem. Odbił się od podłogi i potoczył, a wszyscy w szeregu spoglądali tęsknie, póki Albert nie przydepnął go sprawnie nogą.

Starzec odwrócił się. Rincewind, który dreptał za nim jako ktoś w rodzaju nieoficjalnego adiutanta, niemal się z nim zderzył.

- Hej, ty! Rincewind! Czy ty palisz?

- Nie, proszę pana. Paskudny zwyczaj. - Rincewind unikał wzroku swoich przełożonych. Nagle zdał sobie sprawę, że zyskał kilku śmiertelnych nieprzyjaciół i wcale nie pocieszał go fakt, że prawdopodobnie nie będzie ich miał zbyt długo.

- Słusznie. Potrzymaj mi laskę. A co do was, bando żałosnych gamoni, ma się to skończyć. Zrozumiano? Jutro o świcie pobudka, trzy razy dookoła skweru i powrót na trochę gimnastyki! Zrównoważone posiłki! Studia! Ćwiczenia dla zdrowia! A ta przeklęta małpa idzie do cyrku, i to szybko!

- Uuk?

Kilku starszych magów zamknęło oczy.

- Ale przede wszystkim - dokończył Albert ścisząc głos - będę zobowiązany, jeśli przygotujecie co trzeba do Rytuału AshkEnte. Muszę zakończyć pewne sprawy - dodał.

Mort szedł przez czarne jak kot korytarze piramidy. Ysabell starała się

za nim nadążyć. Słaby poblask miecza oświecał różne niemiłe obiekty. Offler, Bóg-Krokodyl, przypominał reklamę kosmetyków w porównaniu z niektórymi stworami, którym lud Tsortu oddawał cześć. W niszach po drodze stały posągi najwyraźniej poskładane ze wszystkich resztek pozostawionych przez Stwórcę.

- Po co je tu ustawili? - szepnęła Ysabell.

- Tsortiańscy kapłani twierdzą, że ożywają po zamknięciu piramidy i strzegą korytarzy, ochraniając ciało zmarłego króla przed rabusiami grobowców - wyjaśnił Mort.

- Okropny przesąd.

- A kto tu mówił o przesądach? - mruknął z roztargnieniem chłopak.

- Naprawdę ożywają?

- Wiem tylko, że kiedy Tsortianie rzucają na jakieś miejsce klątwę, robią to porządnie.

Mort skreślił za róg i na jedną przerażającą chwilę Ysabell straciła go z oczu. Pobiegła szybciej przez ciemność i wpadła prosto na niego. Oglądał ptaka o psiej głowie.

- Faj - powiedziała. - Dreszcz człowieka przechodzi. Czujesz?

- Nie - odparł spokojnie Mort.

- Dlaczego nie?

PONIEWAŻ JESTEM MORTEM.

Odwrócił się i zobaczyła, że jego oczy lśnią jak dwa błękitne punkciki.

- Przestań!

JA... NIE MOGĘ.

Spróbowała się roześmiać. Nie udało się.

- Nie jesteś Śmiercią - przypomniała. - Wykonujesz tylko jego pracę.

ŚMIERCIA JEST TEN, KTO WYKONUJE PRACĘ ŚMIERCI.

Pełną zdumienia ciszę przerwał jęk z głębi ciemnego tunelu. Mort odwrócił się na pięcie i ruszył w tamtą stronę.

Ma rację, pomyślała Ysabell. Nawet to jak się porusza...

Ale strach przed ciemnością, jaką ściągało do niej światło, przewyższył wszelkie opory. Poszła ostrożnie za Mortem, skrzyła i znalazła się w czymś, co w bladym lśnieniu miecza wyglądało jak skrzyżowanie skarbca z bardzo zagraconym strychem.

- Co to za miejsce? - szepnęła. - Nigdy nie widziałam tylu różnych rzeczy.

KRÓL ZABIERA TO WSZYSTKO ZE SOBĄ W PODRÓŻ NA TAMTEN ŚWIAT, wyjaśnił Mort.

- Widzę, że nie uznaje podróży tylko z bagażem osobistym. Popatrz, tam stoi cała łódź. I złota wanna!

Z PEWNOŚCIĄ BĘDZIE CHCIAŁ ZACHOWAĆ CZYSTOŚĆ, KIEDY JUŻ SIĘ TAM ZNAJDZIE.

- I te wszystkie posągi!

TE POSĄGI, PRZYKRO MI TO MÓWIĆ, BYŁY LUDŹMI. SŁUŻĄCYMI KRÓLA, ROZUMIESZ.

Ysabell zacisnęła zęby.

KAPŁANI DALI IM TRUCIZNĘ.

Znów zabrzmiał jęk z przeciwnego końca komory. Mort podążył do jego źródła, niezgrabnie przekraczając zwoje dywanów, kiście daktyli,

skrzynki glinianych naczyń i stosy klejnotów. Król najwyraźniej nie mógł się zdecydować, co będzie mu potrzebne w podróży, postanowił więc się zabezpieczyć i zabrać wszystko.

TYLE ŻE NIE ZAWSZE DZIAŁA SZYBKO, dodał posępnie Mort.

Ysabell szła dzielnie jego śladem. Za burtą łodzi zauważyła młodą dziewczynę rozciągniętą na stosie dywanów. Miała na sobie muślinowe szarawary i kamizelkę uszytą ze zbyt małej ilości materiału, a także dość bransolet, żeby zacumować przyzwoitych rozmiarów statek. Wokół warg wykwitła jej zielona plama.

- Czy to boli? - spytała cicho Ysabell.

NIE. MYŚLAŁ, ŻE TO PRZENOSI ICH DO RAJU.

- A przenosi?

MOŻE. KTO WIE?

Mort z wewnętrznej kieszeni wyjął klepsydrę i zbadał ją w blasku klingi. Zdawało się, że liczy bezgłośnie. Nagle gwałtownym gestem rzucił klepsydrę za siebie, a drugą ręką ciął mieczem.

Cień dziewczyny usiadł i przeciągnął się z brzękiem widmowej biżuterii. Spozrzegła Morta i pokłoniła się.

- Panie...

NIE JESTEM NICZYIM PANEM, przerwał jej. BIEGNIJ TERAZ TAM, GDZIE WIERZYSZ, ŻE SIĘ UDAJESZ.

- Zostanę konkubina na niebiańskim dworze króla Zetesphuta, który przez wieczność będzie żył wśród gwiazd - oświadczyła stanowczo.

- Wcale nie musisz - wtrąciła gniewnie Ysabell. Dziewczyna spojrzała na nią, szeroko otwierając oczy.

- Ależ muszę. Tego zostałam nauczona - oświadczyła, rozwiewając się

z wolna. - Jak dotąd byłam jedynie pokojową.

Zniknęła. Ysabell z głęboką dezaprobatą wpatrywała się w miejsce, które przed chwilą zajmowała.

- Coś podobnego - powiedziała. A potem: - Widziałeś, co ona miała na sobie?

WYJDŹMY STĄD.

- Przecież to nie może być prawda o tym królu Jakmutam mieszkającym wśród gwiazd - mruczała, kiedy wyszukiwali drogę przez zastawioną sprzętami komorę. - Tam w górze nic nie ma, tylko pusta przestrzeń.

TRUDNO TO WYTŁUMACZYĆ, powiedział Mort. BĘDZIE MIESZKAŁ WŚRÓD GWIAZD WE WŁASNYM UMYŚLE.

- Z niewolnikami?

JEŚLI ZA NIEWOLNIKÓW SIĘ UWAŻAJĄ.

- To niesprawiedliwe.

NIE MA SPRAWIEDLIWOŚCI. TYLKO MY

Ruszyli z powrotem między szeregami oczekujących potworów, aż prawie bieglem wypadli na nocne powietrze pustyni. Ysabell oparła się o szorstkie kamienie piramidy i dyszała ciężko.

Mort nie dyszał.

W ogóle nie oddychał.

ZABIORĘ CIĘ TAM, GDZIE ZECHCESZ, rzekł. A POTEM MUSZĘ CIĘ ZOSTAWIĆ.

- Myślałam, że chcesz ratować księżniczkę! Mort pokręcił głową.

NIE MAM WYBORU. WYBÓR NIE ISTNIEJE.

Podbiegła i chwyciła go za ramię, gdy odwrócił się do czekającego Pimpusia. Delikatnie odsunął jej dłoń.

ZAKOŃCZYŁEM SWOJE NAUKI.

- Tylko to sobie wyobrażasz! - wykrzyknęła Ysabell. - Jesteś tym, za kogo się uważasz!

Zatrzymała się nagle i spojrzała pod nogi. Piasek wokół stóp Morta zaczął wirować i podrywać się małymi fontannami.

Powietrze stało się naelektryzowane, gęste i oleiste. Mort zaniepokoił się.

KTOŚ DOKONUJE RYTUAŁU ASH...

Moc z niebios uderzyła jak młot i wyryła krater na piasku. Zabrzmiało niskie brzęczenie, rozszedł się zapach rozgrzanej cyny.

Mort rozejrzał się dookoła pośród pędzących tumanów piasku. Obracał się jak we śnie, samotny w spokojnym oku cyklonu. Błyskawice przeszywały wirującą chmurę. W głębi własnego umysłu walczył, by wyrwać się na wolność, lecz coś pochwyciło go mocno i nie bardziej mógł się temu opierać, niż igła kompasu może ignorować przymus wskazywania Osi.

I wreszcie znalazł to, czego szukał. Było to przejście obramowane oktarynowym blaskiem, prowadzące do krótkiego tunelu. Na drugim końcu stały jakieś postacie i przyzywały go.

PRZYBYWAM, rzekł.

Odwrócił się i nagle usłyszał za sobą jakiś hałas: sto czterdzieści funtów młodego kobiecego ciała trafiło go prosto w pierś i powaliło na ziemię.

Wylądował na plecach. Ysabell uklękła mu na piersi i z determinacją przytrzymała za ramiona.

PUŚĆ MNIE, zaintonował. ZOSTAŁEM WEZWANY

- Nie ty, idioto!

Spojrzała w niebieskie, pozbawione źrenic oczy. Miała wrażenie, że patrzy w głąb zbliżającego się pędem tunelu.

Mort wygiął kark i wykrzyknął klątwę tak starożytną i groźną, że w silnym polu magicznym przybrała formę materialną, machnęła skórzastymi skrzydłami i odleciała w mrok. Niewielka burza z piorunami rozszalała się nad piaskowymi wydrami.

Jego wzrok przyciągał jej spojrzenie. Odwróciła głowę, nim runęła niczym kamień w studnię zbudowaną z błękitnego światła.

NAKAZUJĘ CI!

Głosem Morta można by wiercić otwory W skale.

- Ojciec od lat próbował ze mną takiego tonu - odparła spokojnie. - Zwykle kiedy chciał, żebym posprzątała swój pokój. I też mu się nie udało.

Mort wykrzyknął kolejną klątwę, która zaraz odfrunęła, i spróbował zagrzebać się w piasku.

TEN BÓL...

- Istnieje tylko w twojej głowie - oświadczyła, stawiając opór sile, która ciągnęła ich w stronę migotliwej bramy- - Nie jesteś Śmiercią. Jesteś tylko Mortem. Jesteś tym, za kogo cię uważam.

W centrum rozmytego błękitu jego oczy byty dwoma piwnymi kropkami, powiększającymi się z prędkością spojrzenia.

Wicher wokół nich dmuchnął mocniej i zawył. Mort krzyknął.

Rytuał AshkEnte, najkrócej mówiąc, przywołuje i poskramia Śmierć.

Studenci tajników okultyzmu wiedzą, że można go przeprowadzić z pomocą prostej inkantacji, trzech kawałków drewna i czterech centymetrów sześciennych mysiej krwi. Jednak żaden mag wart swego szpiczastego kapelusza nawet by nie pomyślał o czynieniu czegoś tak mało imponującego. W głębi serca wie bowiem, że jeśli zaklęcie nie wymaga grubych żółtych świec, masy rzadkich kadzideł, kręgów na podłodze wyrysowanych kredą w ośmiu różnych kolorach i paru bulgoczących dookoła kociołków, to nawet nie warto go rozważać.

Ośmiu magów stało na wierzchołkach wielkiego ceremonialnego oktogramu. Kołysali się i nucili, wyciągając ręce na boki tak, by dotykać czubków palców sąsiadów.

Coś jednak nie szło jak powinno. Owszem, mgła uformowała się w samym środku żywego oktogramu, ale falowała i kłębiła się zamiast ogniskować w wyraźny kształt.

- Więcej mocy! - zawołał Albert. - Dajcie więcej mocy!

Jakaś postać pojawiła się nagle wśród dymu: w czarnej szacie i z jaśniejącym mieczem w ręku. Albert zaklął, gdy na moment dostrzegł bladą twarz pod kapturem: nie była dostatecznie blada.

- Nie! - wrzasnął, wskoczył do oktogramu i zaczął odpychać migotliwy kształt. - Nie ty, nie ty...

Zaś w dalekim Tsorcie Ysabell zapomniała, że jest damą, zacisnęła pięść, przymknęła oczy i trafiła Morta prosto w szczękę. Świat wokół niej eksplodował...

W kuchni Najlepszych Żeberek Hargi patelnia upadła na posadzkę, a przestraszone koty rzuciły się do drzwi...

W głównym holu Niewidocznego Uniwersytetu wszystko wydarzyło się jednocześnie[9].

Straszliwa energia, jaką magowie oddziaływali na krainę cieni, znalazła nagle obiekt. Niby oporny korek z flaszki, niby kropla ostrego keczupu z

przechylonej butelki Nieskończoności, Śmierć wylądował pośrodku oktagonu i zaklął.

Albert zbyt późno zdał sobie sprawę, że znajduje się wewnątrz czarodziejskiej figury. Skoczył do brzegu, jednak kościste palce schwyciły go za kraj szaty.

Ci magowie, którzy wciąż jeszcze stali na nogach i byli przytomni, z pewnym zdziwieniem zauważyli, że Śmierć ma na sobie fartuch i trzyma w ręku małego kotka.

- Dlaczego musiałeś WSZYSTKO ZEPSUĆ?

- Wszystko zepsuć? A widziałeś, co narobił ten chłopak? - burknął Albert, nadal próbując wydostać się na zewnątrz pierścienia.

Śmierć podniósł czaszkę i wciągnął powietrze.

Dźwięk przeszył inne odgłosy w holu i zmusił je do zamilknięcia.

Był to dźwięk, jaki słyszy się na mrocznych granicach snów, dźwięk, od którego człowiek budzi się mokry z przerażenia. Był obwąchiwaniem drzwi grozy. Był jak sapanie jeża, ale takiego, który wyskakuje z przydrożnych rowów i miażdży ciężarówkę. Był to głos, którego nikt nie chciałby usłyszeć po raz drugi; nie chciałby usłyszeć nawet po raz pierwszy.

Śmierć wyprostował się wolno.

CZY TAK ODPŁACA MI ZA DOBROĆ? KRADNIE MI CÓRKĘ, OBRAŻA MOJEGO SŁUGĘ I DLA OSOBISTEGO KAPRYSU NARAŻA SAMĄ OSNOWĘ RZECZYWISTOŚCI? OCH, GŁUPI, GŁUPI! ZA DŁUGO JUŻ BYŁEM GŁUPI!

- Panie, gdybyś był tak dobry i zechciał puścić mój płaszcz... - poprosił Albert. Magowie zauważyli, że w jego głosie zabrzmiała błagalna nuta, której tam wcześniej nie było.

Śmierć nie zwracał na niego uwagi. Ze stukiem pstryknął palcami i fartuch na jego biodrach wybuchnął płomieniem. Kodaka jednak bardzo

delikatnie postawił na podłodze i odsunął stopą na bok.

CZY NIE DAŁEM MU WSPANIAŁYCH MOŻLIWOŚCI?

- Tak, panie, ale teraz, kiedy już zrozumiałeś...

PRAKTYKI? PERSPEKTYWY KARIERY? MOŻLIWOŚCI
AWANSU? PEWNOŚCI ZATRUDNIENIA?

- Istotnie, ale gdybyś zechciał puścić...

Zmiana w głosie Alberta była całkowita. Trąby rozkazu zmieniły się w piszczałki prośby. Był wyraźnie przerażony, zdołał jednak pochwycić spojrzenie Rincewinda.

- Moja laska! - syknął. - Rzuć mi laskę! Dopóki stoi wewnątrz kręgu, nie jest niezwyciężony! Podaj mi laskę, a zdołam się wyrwać!

- Słucham? - spytał Rincewind.

OCH, MOJA TO WINA, ŻE PODDAŁEM SIĘ SŁABOŚCIOM
TEGO, CO Z BRAKU LEPSZEGO SŁOWA NAZWĘ CIAŁEM!

- Moja laska, idioto! Daj laskę! - bełkotał Albert.

- Słucham?

SŁUSZNIE UCZYNIŁEŚ, SŁUGO, ŻE PRZYWOŁAŁEŚ MNIE DO
ROZSĄDKU, rzekł Śmierć. NIE TRACMY CZASU.

- Moja la...!

Nastąpiła implozja i gwałtowny podmuch. Płomyki świec na moment wyciągnęły się niby ogniste linie, po czym zgasły. Minęło nieco czasu. Gdzieś znad podłogi rozległ się głos kwestora:

- To bardzo brzydko, Rincewindzie. Jak mogłeś w takiej chwili zgubić jego laskę? Przypomnij mi kiedyś, żebym cię surowo ukarał. Czy ktoś mógłby zapalić światło?

- Nie wiem, co się z nią stało! Stała tu, oparta o kolumnę, i nagle...

- Uuk.

- Aha... - rzekł Rincewind.

- Dodatkowa porcja bananów dla mały - zdecydował kwestor. Błysnęła zapalka i komuś udało się zapalić świecę. Magowie podnosili się z podłogi.

- To była lekcja dla nas wszystkich - mówił dalej kwestor, strzepując z szaty kurz i krople zastygłego wosku. Podniósł głowę, spodziewając się znowu zobaczyć na postumencie statwę Alberta Malicha.

- Najwyraźniej nawet posągi mogą się poczuć urażone - stwierdził. - Ja sam pamiętam, że na pierwszym roku wypisałem swoje imię na... zresztą mniejsza z tym. Do rzeczy. Tu i teraz proponuję, żeby ufundować nowy pomnik.

Odpowiedziała mu martwa cisza.

- Powiedzmy, jego dokładny wizerunek odlany ze złota. Odpowiednio zdobiony klejnotami, należnymi naszemu wspaniałemu założycielowi - mówił dalej niezrażony. - A żeby nie dopuścić, by studenci w jakikolwiek sposób bezcześcili posąg, proponuję ustawić go w najgłębszej piwnicy - kontynuował. - I zamknąć drzwi - dodał jeszcze.

Magowie wyraźnie poweseleli.

- I wyrzucić klucz? - upewnił się Rincewind.

- I zaspawać drzwi - odparł kwestor. Właśnie pomyślał o Załatanym Bębnie. A za chwilę przypomniał sobie o ćwiczeniach fizycznych. -A potem zamurować wejście - rzekł z mocą.

Rozległy się oklaski.

- I wyrzucić murarza! - zachichotał radośnie Rincewind. Zaczynało mu się to podobać.

Kwestor zmarszczył brwi.

- Nie należy przesadzać - upomniął.

W ciszy nocy większa niż inne wydma wybrzuszyła się wolno i opadła, odsłaniając Pimpusia. Wydmuchiwał piasek z nozdrzy i potrząsał grzywą.

Mort otworzył oczy.

Powinno istnieć słowo określające tę krótką chwilę tuż po przebudzeniu, gdy umysł wypełnia ciepłe, różowe nic. Człowiek leży sobie całkowicie bezmyślnie, świadom jedynie narastającego podejrzenia, że - niczym skarpeta wypełniona mokrym piaskiem w ciemnym zaułku - zbliżają się ku niemu wspomnienia, bez których doskonale mógłby się obejść, a z których wynika, iż jedynym, co czyni przyszłość bardziej znośną jest pewność, że będzie ona raczej krótka.

Mort usiadł i przytrzymał rękami głowę, żeby się nie odkręciła. Wzgórek obok poruszył się i Ysabell usiadła z wysiłkiem. Miała piasek we włosach i twarz brudną od pyłu piramid. Niektóre kosmyki włosów były przypalone na końcach. Dziewczyna patrzyła tępo na Morta.

- Uderzyłaś mnie? - zapytał, delikatnie masując szczękę.

- Tak.

- Aha.

Spojrzał w niebo, jakby mogło mu coś przypomnieć. Miał gdzieś dotrzeć i to wkrótce, pomyślał niewyraźnie. A potem jeszcze coś przyszło mu do głowy.

- Dziękuję - powiedział.

- Zawsze do usług. - Ysabell wstała i spróbowała usunąć z sukienki

brud i pajęczyny.

- Mamy ratować tę twoją księżniczkę? - spytała obojętnie.

Osobista, wewnętrzna rzeczywistość Morta wyrwała się na powierzchnię świadomości. Poderwał się ze zduszonym krzykiem, popatrzył na eksplodujące pod powiekami błękitne fajerwerki i opadł z powrotem. Ysabell chwyciła go pod pachy i postawiła na nogi.

- Zejdźmy nad rzekę - zaproponowała. - Oboje powinniśmy się czegoś napić.

- Co się ze mną działo?

Wzruszyła ramionami jak najlepiej potrafiła, jednocześnie podtrzymując go.

- Ktoś przeprowadził Rytuał AshkEnte. Ojciec tego nie cierpi. Mówi, że zawsze go przywołują w najmniej odpowiednim momencie.

Ta... ta część ciebie, która była Śmiercią, podążyła za wezwaniem, a ty zostałeś. Tak myślę. Przynajmniej odzyskałeś własny głos.

- Która godzina?

- Mówiłeś, że kiedy kapłani zamykają piramidę?

Mort wyteżył załzawione oczy. Rzeczywiście, pod królewskim grobowcem czyjeś dłonie pracowały przy wejściu w światło pochodni. Już wkrótce, zgodnie z legendą, strażnicy ożyją i podejmą nieskończoną wartę.

Wiedział, że tak się stanie. Pamiętał tę wiedzę. Pamiętał swój umysł zimny jak lód i bezgraniczny jak nocne niebo. Pamiętał, jak został powołany do istnienia w chwili, gdy ożyła pierwsza istota, i pewność, że żyć będzie, dopóki ostatnia istota we wszechświecie nie odejdzie po swą nagrodę. A wtedy jemu pozostanie - mówiąc metaforycznie - ustawienie krzeseł i zgaszenie światła.

I pamiętał samotność.

- Nie opuszczaj mnie - poprosił.

- Jestem przy tobie - odparła. - Dopóki mnie potrzebujesz.

- Już północ - mruknął zniechęcony. Osunął się na brzeg Tsort i zanurzył głowę w wodzie.

Obok, z dźwiękiem opróżnianej wanny, Pimpus także zaspokajał pragnienie.

- To znaczy, że już za późno?

- Tak.

- Przykro mi. Chciałabym, żeby był jakiś sposób.

- Nie ma.

- Przynajmniej dotrzymałeś słowa danego Albertowi.

- Tak - westchnął z goryczą Mort. - Przynajmniej tyle.

Prawie z jednego końca Dysku na drugi...

Powinno istnieć słowo określające mikroskopijną iskierkę nadziei, którą człowiek boi się dostrzec w lęku, że samo spojrzenie ją zgasi, jak przy próbie obejrzenia fotonu. Może tylko czekać przy niej, patrzeć obok niej, patrzeć poza nią, aż stanie się dość mocna, by zaistnieć realnie.

Podniósł mokrą głowę i spojrzał w stronę horyzontu. Usiłował sobie wyobrazić wielki model Dysku w gabinecie Śmierci. I to w taki sposób, by wszechświat nie odgadł, co właściwie rozważa.

W takich chwilach przyczynowość wydaje się zawieszona w tak delikatniej równowadze, że nawet zbyt głośne myślenie może ją zakłócić.

Zorientował się w kierunkach według wąskich pasm Zorzy Osiowej i w natchnieniu odgadł, że Sto Lat leży... tam...

- Północ - oświadczył głośno.

- Już po północy - poprawiła Ysabell.

Mort wstał, starając się, by radość nie promieniowała z jego twarzy jak światło morskiej latarni. Chwycił Pimpusia za uzdę.

- Chodź - rzekł. - Nie mamy czasu.

- O czym ty mówisz?

Mort sięgnął w dół i chciał ją wciągnąć na grzbiet wierzchowca. Pomysł był niezły, ale w rezultacie to ona niemal zrzuciła go z siodła. Podtrzymała go lekko i wspięła się sama. Pimpus podrobił w bok, wyczuwając gorączkowe podniecenie Morta. Parsknął i tupnął kopytem o piach.

- Pytałam, o czym ty mówisz?

Mort zawrócił, kierując rumaka w stronę dalekiego lśnienia zachodzącego słońca.

- O prędkości mroku - wyjaśnił.

Cutwell wysunął głowę nad zamkowymi blankami i jęknął. Powierzchnia styku znajdowała się o jedną przecznicę stąd, wyraźnie widoczna w paśmie oktaryny. Nie musiał sobie wyobrażać trzasków. Słyszał je wyraźnie: paskudne jak brzęczenie pracującej piły. To stochastyczne cząstki prawdopodobieństwa uderzały w powierzchnię złącza i oddawały energię w postaci dźwięku. Styk przesunął się naprzód, pochłaniając chorągwie, pochodnie i oczekujące tłumy, a pozostawiając jedynie ciemne ulice. Gdzieś tam, pomyślał Cutwell, śpię smacznie we własnym łóżku i nic z tego się nie wydarzyło. Zazdroszczę sobie.

Odwrócił się, zszedł po drabinie na dziedziniec i ruszył do głównego

holu. Poły szaty plątały mu się wokół kostek. Wsunął się do wnętrza przez małą furtkę w wielkich wrotach i nakazał strażnikom ją zamknąć. Potem uniósł szatę i pospieszył bocznym korytarzem, by goście go nie zauważyli.

Wypełniona dygnitarzami z Równiny Sto sala błyszczała płomykami tysięcy świec. Wszyscy byli trochę niepewni, po co właściwie tu przyszli. Oczywiście, był też słoń.

To właśnie słoń przekonał Cutwella, że nieodwołalnie opuścił ścieżkę zdrowego rozsądku. Jednak parę godzin temu wydawał się całkiem dobrym rozwiązaniem. Wtedy, załamany słabym wzrokiem najwyższego kapłana, przypomniał sobie, że tartak na skraju miasta wykorzystuje taką bestię dla przenoszenia ciężkich ładunków. Słoń był stary, miał artretyzm i porywczy temperament, jednak jako zwierzę ofiarne dysponował również bardzo ważną zaletą: najwyższy kapłan powinien go zauważyć.

Pół tuzina gwardzystów nerwowo starało się utrzymać stwora w miejscu. Tymczasem w powolnym mózgu słonia zaczynało świtać, że powinien się teraz znajdować w znajomej stajni, zaopatrzony obficie w siano i wodę, i czas, by śnić o gorących dniach na oliwkowozielonych równinach Klatchu. Zaczynał się niepokoić.

Wkrótce stanie się jasne, że istniała jeszcze inna przyczyna nerwowości zwierza. W przedkoronacyjnym zamieszaniu jego trąba znalazła ceremonialny kielich, zawierający garniec mocnego wina. Wessała sporą jego część. Dziwnie porywające obrazy zaczynały wykwitać przed maleńkimi oczkami stwora: wizerunki wyrwanych z korzeniami baobabów, walk godowych z innymi samcami, wspaniałych stampedo przez tubylcze wioski i innych, na wpół zapomnianych rozkoszy. Już niedługo zaczną widzieć różowych ludzi.

Na szczęście Cutwell nie miał o tym pojęcia. Pochwycił spojrzenie asystenta najwyższego kapłana - bystrego młodego człowieka, który przewidująco zaopatrzył się w długi gumowy fartuch i gumowe buty - i dał znak do rozpoczęcia ceremonii.

Potem szybko przemknął do pomieszczenia, gdzie kapłani przebierali się w urzędowe stroje. Wciągnął na siebie specjalną, ceremonialną szatę,

którą przygotowała dla niego pałacowa szwaczka. Sięgając głęboko do swych zapasów koronek, cekinów i złotych nici stworzyła dzieło tak porażająco krzykliwe, że nawet arcyrektor Niewidocznego Uniwersytetu nie wstydziłby się go nosić Cutwell pozwolił sobie na pięć sekund podziwiania się w lustrze, po czym wbił na głowę szpiczasty kapelusz i pomknął do drzwi. Wyhamował przed progiem i przekroczył go dostojnym krokiem, jaki przystoi osobie na stanowisku.

Stanął u boku najwyższego kapłana w chwili, gdy Keli ruszyła główną nawą w otoczeniu druhen, uwijających się wokół niej jak holowniki wokół liniowca.

Mimo dziedzicznej sukni wyglądała pięknie, uznał Cutwell. Było w niej coś takiego, co... Zaciśnął zęby i spróbował skoncentrować uwagę na sprawach bezpieczeństwa. Ustawił strażników w kluczowych punktach sali na wypadek, gdyby diuk Sto Helit próbował w ostatniej chwili zmienić kolejność następstwa tronu. Pamiętał, żeby nie spuszczać oka z samego arystokraty, siedzącego teraz w pierwszym rzędzie, z dziwnie błogim uśmiechem na twarzy.

Diuk spojrzał magowi w oczy i Cutwell szybko odwrócił głowę.

Najwyższy kapłan wzniosł ręce, nakazując ciszę. Cutwell przysunął się do niego dyskretnie. Starzec zwrócił twarz w stronę Osi i drżącym głosem rozpoczął inwokację do bogów.

Cutwell bezwiednie powrócił spojrzeniem do diuka.

- Wysłuchajcie mnie, mm... bogowie...

Czyżby Sto Helit wpatrywał się w pełne nietoperzy cienie pod krokwiemi sklepienia?

- ...usłysz mnie, o Ślepy Io o stu Oczach; usłysz mnie, Wielki Offlerze o Paszczy Nawiedzanej przez Ptaki; usłysz mnie, Litościwy Losie; usłysz mnie, Zimne, mhm... Przeznaczenie; usłysz mnie, Siedmioręki Sęku; usłysz mnie, Hoki z Puszczy; usłysz mnie...

Z tępą zgrozą Cutwell uświadomił sobie, że stary dureń zamierza - wbrew wyraźnym instrukcjom - wspomnieć o każdym. Na Dysku znano ponad dziewięćset bogów, a uczeni teologowie co roku odkrywali nowych. To może zająć parę godzin. Zebrani zaczęli już nerwowo przebierać nogami.

Keli stała przed ołtarzem z wyrazem furii na twarzy. Cutwell bez żadnego widocznego efektu szturchnął najwyższego kapłana pod żebro. Potem wściekle poruszył brwiami w stronę młodego akolity.

- Powstrzymaj go! - syknął. - Nie mamy czasu!

- Bogowie będą niezadowoleni...

- Nie tak bardzo jak ja, a ja jestem bliżej!

Akolita przyjrzał się twarzy Cutwella i uznał, że później wszystko bogom wytłumaczy. Puknął najwyższego kapłana w ramię i zaszeptał mu coś do ucha.

- Steikhegelu, boże odosobnionych obór, usłysz mnie; i... Słucham? Co? Mru mru mru.

- To całkiem... nieregulaminowe. No dobrze, przejdziemy od razu do, hm, Recytacji Genealogii.

Mru mru mru.

Najwyższy kapłan spojrzał groźnie na Cutwella, a w każdym razie na miejsce, gdzie jego zdaniem Cutwell się znajdował.

- Niech już będzie. Mhm... Przygotujcie kadzidło i olejki dla Wyznania Poczwórnej Ścieżki. Mru mru mru. Najwyższy kapłan spochmurniał.

- Domyślam się, że... mhm, krótka modlitwa też jest wykluczona? - zapytał kwaśno.

- Jeśli pewne osoby nie zaczną się spieszyć - zauważyła uprzejmie Keli - to będą kłopoty. Mru mru.

- Sam już nie wiem - rzekł najwyższy kapłan. - Równie dobrze ludzie mogą zupełnie się nie przejmować... mhm, ceremoniami religijnymi. Sprowadźcie zatem tego piekielnego słonia.

Akolita zerknął nerwowo na Cutwella i machnął na gwardzistów. Kiedy krzykami i zaostrzonymi kijami popędzali zataczające się lekko zwierzę, młody kapłan przysunął się do maga i wcisnął mu coś do rąk.

Cutwell spojrzał: trzymał wodoszczelny kapelusz.

- Czy to konieczne?

- Jest bardzo pobożny - wyjaśnił akolita. - Przydałaby się rurka do oddychania.

Słoń dotarł do ołtarza i bez większych oporów pozwolił się zmusić do ukłęknięcia. Czknął.

- No więc, gdzie on jest? - warknął najwyższy kapłan. - Kończmy już tę... mhm, farsę!

Mru mru, zaszeptał akolita. Najwyższy kapłan ponuro skinął głową, chwycił białą rękojeść noża ofiarnego i oburącz uniósł go nad głowę. Cała sala patrzyła wstrzymując oddech. Kapłan opuścił nóż.

- Gdzie przede mną? Mru mru.

- Z całą pewnością nie potrzebuję twojej pomocy, mój chłopcze. Składałem ofiary od dziecka po starca... znaczy, od kobiety po zwierzęta - Już od siedemdziesięciu lat, a kiedy nie zdołam już utrzymać... mm, noża, możesz ułożyć mnie do snu łopatą.

Wziął szeroki zamach i uderzył. Czystym przypadkiem nóż lekko skaleczył słoniowi trąbę.

Zwierzę przebudziło się z przyjemnego ośpienia i wspomnień. Akolita ze zgrozą spojrzał w parę maleńkich przekrwionych oczu, zezujących wzdłuż zranionej trąby. I jednym skokiem przesadził ołtarz.

Słoń był wściekły. Strumień niewyraźnych, niepokojących wspomnień zalał obolały łeb: obrazy płomieni, krzyki, ludzie z siatkami, klatkami i dzidami, a potem zbyt wiele lat przenoszenia ciężkich pni. Uderzył trąbą o kamienną płytę ołtarza i ku swemu niejakiemu zdumieniu rozbił ją na połowy. Kłami wyrzucił obie części w powietrze, bez rezultatu spróbował wyrwać z korzeniami kamienną kolumnę, po czym - czując nagłą potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza - pogalopował artretycznie przez salę.

Z rozpędem uderzył we wrota. Krew wrzała mu wspomnieniem stada i bulgotała alkoholem. Wrota wypadły z zawiasów. Wciąż niósł na szyi ich szkielet, gdy zataczając się pokonał dziedziniec, wyłamał zewnętrzną bramę, czknał, pognał dudniąc przez śpiące miasto i wciąż jeszcze wolno przyspieszał, kiedy wyczuł w nocnej bryzie zapach dalekiego, mrocznego kontynentu Klatch. Podniósł ogon i podążył za odwiecznym zewem ojczyzny.

W sali unosił się kurz, rozlegały się krzyki i panował chaos. Cutwell zsunął kapelusz z oczu i stanął na czworakach.

- Dziękuję ci - odezwała się Keli, która leżała pod nim. - A dlaczego właściwie na mnie skoczyłeś?

- Moim pierwszym odruchem było chronić Waszą Królewską Mość.

- Owszem, zapewne był to odruch, ale... - Chciała powiedzieć, że może słoń byłby łżejszy, ale powstrzymał ją widok jego okrągłej, poważnej, nieco zarumienionej twarzy. - Później o tym porozmawiamy- rzekła. Usiadła i otrzepała się z kurzu. - A tymczasem sądzę, że zrezygnujemy z ofiary. Nie jestem jeszcze Waszą Królewską Mością, zaledwie Waszą Wysokością, więc gdyby ktoś podał mi koronę...

Za nimi brzęknął bezpiecznik kuszy.

- Mag wyciągnie ręce, żebym je widział - zażądał diuk.

Cutwell podniósł się i odwrócił powoli. Za diukiem stało pół tuzina wielkich, ponurych mężczyzn. Był to ten typ ludzi, których jedynym celem w życiu jest stać groźnie za takimi jak diuk. Mieli tuzin wielkich, ponurych

kuś, których jedynym celem jest wyglądać, jakby zaraz miały wystrzelić.

Księżniczka poderwała się na nogi i rzuciła na wuja. Zatrzymał ją Cutwell.

- Nie - rzucił cicho. - To nie jest taki człowiek, który wiąże człowieka w piwnicy, zostawiając zaledwie dość czasu, by myszy przegryzły sznury zanim wzbierze woda. To taki człowiek, który zabija od razu i na miejscu.

Diuk skłonił się.

- Można zaprawdę powiedzieć, że przemówili bogowie - oświadczył. - Najwyraźniej księżniczka zginęła tragicznie, zdeptana przez rozjuszonego słonia. Lud będzie rozpaczał. Osobiście zarządzę tydzień żałoby.

- Nie zrobisz tego! Wszyscy tu widzieli... - zaczęła, księżniczka niemal płacząc.

Cutwell pokręcił głową. Zauważył, że gwardziści chodzą wśród tłumu oszołomionych gości.

- Nie widzieli - stwierdził. - Byłabyś zdumiona wiedząc, jak doskonale nie widzieli. Zwłaszcza kiedy się dowiedzą, że zdeptanie przez rozjuszonego słonia może być zakaźne. Można na to umrzeć nawet we własnym łóżku.

Diuk zaśmiał się uprzejmie.

- Jesteś całkiem inteligentny jak na maga - pochwalił. - Proponuję zatem tylko wygnanie...

- Nie uda ci się - oświadczył Cutwell. Zastanowił się chwilę i dodał: - To znaczy prawdopodobnie ci się uda, ale będziesz miał wyrzuty sumienia na łożu śmierci i zaczniesz żałować...

Urwał nagle i rozdziawił usta. Diuk obejrzał się, by sprawdzić, na co patrzy.

- No co, magu? Co zobaczyłeś?

- Nie uda ci się - oświadczył histerycznym tonem Cutwell. - Nawet cię tu nie będzie. Okaże się, że to się nigdy nie wydarzyło. Rozumiecie?

- Uważajcie na jego ręce - polecił diuk. - Jeśli ruszy choćby palcami, zastrzelcie oboje.

Rozejrzał się trochę niespokojnie. Mag mówił chyba szczerze. Oczywiście, podobno magowie widują rzeczy, których nie ma...

- Nie ma nawet znaczenia, czy mnie zabijecie - bełkotał Cutwell. - Ponieważ jutro zbudzę się we własnym łóżku, a to wszystko nigdy się nie zdarzy. Przeszło już przez ścianę!

Noc sunęła po Dysku. Oczywiście, zawsze tu była, przyczajona w cieniach, zagłębieniach i piwnicach. Jednak gdy powolne światło dnia dryfowało za słońcem, kałuże i jeziora nocy rozlewały się, stykały i łączyły.

Światło na Dysku porusza się wolno z powodu niezwykle silnego pola magicznego. Światło na Dysku nie przypomina światła gdziekolwiek indziej. Jest bardziej dojrzałe, widziało już to i owo, więc wie, że nie warto się nigdzie spieszyć. Wie, że jakkolwiek szybko pomknie, ciemność zawsze dotrze na miejsce pierwsza. Dlatego się nie przejmuję.

Północ szybowwała nad ziemią niby aksamitny nietoperz. A szybszy od północy gnał za nią Pimpus jak małeńka iskierka na ciemnym de nocnego nieba Dysku. Płomienie strzelały mu spod kopyt. Mięśnie poruszały się pod lśniącą skórą jak węże w oleju.

Pędzili w milczeniu. Ysabell wyjęła rękę spod ramienia Morta i przyglądała się migoczącym na czubkach palców iskrom we wszystkich ośmiu kolorach tęczy. Małeńkie, trzeszczące węże światła spływały jej z ramienia i odrywały się od końców włosów.

Mort sprowadził wierzchowca niżej, porzucając wrzącą barierę chmur,

ciągnącą się na całe mile za nimi.

- Teraz wiem, że tracę rozum - mruknął.

- Dlaczego?

- Przed chwilą zobaczyłem w dole słońca. Ojej, popatrz, przed nami już widać Sto Lat.

Ysabell spojrzała mu przez ramię na daleką poświatę.

- Ile mamy czasu? - spytała nerwowo.

- Nie wiem. Może kilka minut.

- Mort, nie pytałam cię o to wcześniej, ale...

- Tak?

- Co zamierzasz zrobić, kiedy już dojedziemy?

- Sam nie wiem - wyznał. - Miałem nadzieję, że coś może się samo nasunąć...

- I co?

- Nie nasunęło się. Ale jeszcze nie pora. Zakłęcie Alberta może pomóc. A ja...

Kopuła rzeczywistości przysiadła nad pałacem niby słabnąca meduza. Mort przycichł zalekniony.

- Już chyba prawie pora - zauważyła Ysabell. - Co robimy?

- Trzymaj się!

Pimpus przefrunął przez bramę zewnętrznego dziedzińca, w strumieniu iskier wyhamował na bruku i przez rozbite wrota wskoczył do sali. Perłowa powierzchnia styku wyrosła przed nimi i zniknęła jak zimna bariera wodnego

pyłu.

Mort dostrzegł niewyraźnie Keli, Cutwella i grupę potężnych mężczyzn, chowających się w panice. Rozpoznał rysy twarzy diuka, sięgnął po miecz i zeskoczył z siodła, gdy tylko spieniony rumak wyhamował przed ołtarzem.

- Nie waż się jej tknąć! - wrzasnął. - Łeb ci zetnę!

- Odwaga godna podziwu - przyznał diuk, sięgając po broń. - A także bardzo nierozsądna. Ja...

Urwał. Oczy zaszczyły mu mgłą i runął na twarz. Cutwell odłożył ciężki srebrny lichtarz i uśmiechnął się do Morta przepaszająco.

Mort odwrócił się do gwardzystów. Błękitny płomień klingi Śmierci huczał basowo.

- Ktoś jeszcze ma ochotę? - warknął chłopiec.

Cofnęli się o kilka kroków, potem odwrócili i rzucili do ucieczki. I znikali, przebijając powierzchnię styku. Na zewnątrz nie było też gości. W prawdziwej rzeczywistości sala była ciemna i pusta.

Ich czworo pozostało w półkuli, która z każdą chwilą robiła się mniejsza.

Mort podszedł do Cutwella.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał. - Dostałem magiczne zaklęcie...

- Nawet o tym nie myśl. Gdybym spróbował teraz czarować, rozniosłoby nam głowy w strzępy. Ta rzeczywistość jest za mała, żeby wytrzymać mocne zaklęcie.

Mort oparł się o resztki ołtarza. Czuł się pusty, pozbawiony życia. Przez chwilę obserwował, jak zbliża się ściana styku. Przeżyje to, miał nadzieję. Ysabell też. Ten Cutwell nie, ale jakiś tam Cutwell owszem. Tylko Keli...

- Będę koronowana czy nie? - spytała lodowatym tonem. - Chcę umrzeć jako królowa. To straszne, być martwą i pospolitą.

Mort spojrzał na nią niepewnie, próbując zrozumieć, o co jej właściwie chodzi. Ysabell poszukała chwilę w gruzach za ołtarzem i wyciągnęła mocno pogiętą złotą obręcz wysadzaną małymi diamentami.

- Czy to to? - spytała.

- Tak, to korona - potwierdziła Keli ze łzami w oczach. - Ale nie ma kapłana ani nikogo... Mort westchnął głęboko.

- Cutwell, skoro to nasza własna rzeczywistość, możemy organizować ją tak jak chcemy. Prawda?

- O co chodzi?

- Jesteś teraz kapłanem. Wybierz sobie jakiegoś boga. Cutwell skłonił się i wziął koronę z rąk Ysabell.

- Żartujecie sobie ze mnie! - burknęła Keli.

- Przepraszam - mruknął zmęczonym głosem Mort. - Miałem dziś ciężki dzień.

- Mam nadzieję, że mi się uda - oświadczył z powagą Cutwell. - Nigdy jeszcze nikogo nie koronowałem.

- A ja nigdy nie byłam koronowana!

- To dobrze. Możemy uczyć się razem.

Wymamrotał kilka dumnie brzmiących słów w dziwnym języku. W rzeczywistości było to proste zaklęcie na usunięcie pcheł z ubrania, ale co tam, pomyślał. A potem jeszcze: o rany, w tej rzeczywistości jestem najpotężniejszym magiem na świecie; będę mógł o tym wnukom... Zgrzytnął zębami. Pewne zasady musiały w tej rzeczywistości ulec zmianie. To pewne.

Ysabell usiadła przy Morcie i wsunęła rękę w jego dłoń.

- I co? - spytała cicho. -Już pora. Coś ci się nasunęło?

- Nie.

Powierzchnia styku dotarła już do połowy sali. Zwolniła lekko, nie-ubłagane pokonując ciśnienie obcej rzeczywistości.

Coś wilgotnego i ciepłego dmuchnęło Mortowi w ucho. Podniósł rękę i dotknął nozdrzy Pimpusia.

- Kochany konik - szepnął. - I akurat teraz skończył mi się cukier. Będziesz musiał sam znaleźć drogę do domu... Znieruchomiał z dłonią w powietrzu.

- Wszyscy możemy jechać do domu - oznajmił.

- Ojcu się to chyba nie spodoba - zauważyła Ysabell, ale Mort nie zwracał na nią uwagi.

- Cutwell!

- Tak?

- Odjeżdżamy. Jedziesz z nami? Nadal będziesz istniał, kiedy zamknie się kopuła.

- Część mnie będzie - poprawił mag.

- O to mi właśnie chodzi. - Mort wskoczył na siodło.

- Ale ponieważ jestem tą drugą częścią, wolę przyłączyć się do ciebie - dokończył szybko Cutwell.

- Zamierzam tu zostać i umrzeć we własnym królestwie - oświadczyła Keli.

- Co zamierzasz nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Mort. - Przejechałem cały Dysk, żeby cię ratować, więc będziesz uratowana.

- Przecież jestem królową! - zawołała. Niepewność błysnęła w jej oczach. Odwróciła się do Cutwella, który trochę zakłopotany opuścił swój lichtarz. - Słyszałam, że wymówiłeś właściwe słowa! Jestem królową czy nie?

- Ależ tak - zapewnił ją bez namysłu. A potem, ponieważ słowa maga są jakoby twardsze od lanego żelaza, dodał honorowo: - I w dodatku całkiem pozbyłaś się insektów.

- Cutwell! - rzucił Mort.

Mag skinął głową, chwycił Keli w pasie i wrzucił ją na grzbiet Pimpusia. Sam podwinął szatę i wspiął się za Morta, który wyciągnął rękę i pomógł wsiąść Ysabell. Koń zatańczył po podłodze, protestując przeciwko tak dużemu obciążeniu, ale Mort skierował go do wyłamanych drzwi i popędził lekko.

Półkula styku podążyła za nimi, gdy kłusowali przez salę, potem na dziedziniec i powoli w górę. Perłowa mgła była już o kilka łokci od nich i zacieśniała się nieubłaganie.

- Przepraszam bardzo - zwrócił się Cutwell do Ysabell, unosząc kapelusz. - Igneous Cutwell, Mag Pierwszej Rangi (Niewidoczny Uniwersytet), były Królewski Rozpoznawca i prawdopodobnie wkrótce skazany na ścięcie. Czy wiesz może pani, gdzie właściwie zmierzamy?

- Do kraju mojego ojca - odpowiedziała Ysabell, przekrzykując szum wiatru.

- Czy miałem okazję go poznać?

- Raczej nie. Na pewno byś zapamiętał.

Szczyt zamkowego muru zazgrzytał o kopyta Pimpusia, gdy zwierzę wyteżając mięśnie starało się zyskać wysokość. Cutwell wyprostował się, mocno ściskając kapelusz.

- A kimże jest ten dżentelmen, o którym mowa? - wrzasnął.

- To Śmierć - wyjaśniła Ysabell.

- Nie...

- Tak.

- Aha. - Cutwell spojrzał w dół na odległe dachy. Uśmiechnął się krzywo. - Może oszczędzę mu czasu i po prostu od razu zeskoczę?

- Jest całkiem miły - broniła ojca Ysabell. - Kiedy się go bliżej pozna.

- Naprawdę? A myślisz, że będziemy mieli szansę?

- Trzymać się! - ostrzegł Mort. - Chyba zaraz przeskoczymy... Pełen czerni otwór runął na nich z nieba i pochłonął. Styk kołysał się niepewnie w powietrzu, pusty jak kieszeń nędzarza. I z każdą chwilę robił się mniejszy.

Drzwi frontowe stanęły otworem. Ysabell wysunęła głowę na zewnątrz.

- Nikogo nie ma w domu - poinformowała. - Lepiej wejdźcie do środka.

Pozostała trójka kolejno przestępowała próg. Cutwell grzecznie wytarł nogi.

- Trochę mały - zauważyła krytycznie Keli.

- W środku jest dużo większy - wyjaśnił Mort. Spojrzał na Ysabell. - Wszędzie sprawdzałaś?

- Nie mogę nawet znaleźć Alberta - odparła. - Nie pamiętam, żeby go kiedyś nie było.

Odchrząknęła, przypominając sobie o obowiązkach gospodyni.

- Może ktoś się czegoś napije? - spytała.

Keli nie zwracała na nią uwagi.

- Spodziewałam się przynajmniej zamku - stwierdziła. - Wielkiego i czarnego, z wysokimi, posępnymi wieżami. A nie stojaka na parasole.

- Ale jest w nim kosa - zauważył Cutwell.

- Przejdźmy do gabinetu. Usiądziemy i na pewno od razu poczujecie się lepiej - wtrąciła pośpiesznie Ysabell.

Otworzyła czarne, obite skórą drzwi.

Cutwell i Keli weszli do pokoju, sprzecząc się bez przerwy. Ysabell chwyciła Morta pod rękę.

- I co teraz zrobimy? - spytała. - Ojciec się rozgniewa, kiedy ich tu znajdzie.

- Coś wymyślę. Przeredaguję biografie albo co... - Uśmiechnął się blado. - Nie martw się. Na pewno coś wymyślę.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Mort obejrzał się i zobaczył wyszczerzoną twarz Alberta.

Wielki skórzany fotel za biurkiem odwrócił się wolno. Śmierć spojrzał na Morta ponad złączonymi czubkami palców. Kiedy był już pewien, że w pełni skupił na sobie przerażoną uwagę gości, powiedział:

LEPIEJ ZACZNIJ OD RAZU.

Wstał. Zdawało się, że rośnie, a w pokoju zapada mrok.

DARUJ SOBIE PRZEPROSINY, dodał.

Keli ukryła twarz w szerokiej piersi Cutwella.

WRÓCIŁEM. I JESTEM ZŁY

- Panie, ja... - zaczął Mort.

ZAMKNIJ SIĘ, przerwał mu Śmierć.

Zwapniałym palcem skinął na Keli. Podeszła - jej ciało nie śmiało się przeciwstawić.

Śmierć wyciągnął rękę i ujął księżniczkę pod brodę. Dłoń Morta opadła na rękojeść miecza.

CZY TO JEST TWARZ, KTÓRA TYSIĄC OKRĘTÓW WYPRAWIŁA W MORZE I POWALIŁA NIEBOSIĘŻNE WIEŻE PSEUDOPOLIS?, zastanowił się głośno Śmierć.

Keli patrzyła zahipnotyzowana w czerwone punkciki w nieskończonych ciemnych głębinach oczodołów.

- Ehm... Przepraszam bardzo - wtrącił z szacunkiem Cutwell.

Zdjął kapelusz i trzymał go na sposób meksykański.

TAK?, zapytał Śmierć z roztargnieniem.

- To nie ta, proszę pana. Myśli pan o jakiejś innej twarzy.

JAK CI NA IMIĘ?

- Cutwell. Jestem magiem, proszę pana.

JESTEM MAGIEM, PROSZĘ PANA, powtórzył drwiąco Śmierć.
ZAMILKNIJ, MAGU.

- Tak, proszę pana. - Cutwell cofnął się o krok. Śmierć zwrócił się do Ysabell.

WYTŁUMACZ SIĘ, CÓRKO. DLACZEGO POMAGAŁAŚ TEMU DURNIOWI?

Ysabell dygnęła lękliwie.

- Ja... ja go kocham, ojcie. Tak myślę.

- Naprawdę? - zdumiał się Mort. - Nic nie mówiłaś!

- Jakoś nie było okazji. Ojcie, on nie chciał...

MILCZ.

Ysabell spuściła głowę.

- Tak, ojcie.

Śmierć obszedł biurko i stanął przed Mortem. Przyglądał mu się przez długą chwilę.

A potem błyskawicznym ruchem uderzył chłopca w twarz, powalając go na podłogę.

ZAPRASZAM CIĘ DO SWEGO DOMU, powiedział. UCZĘ CIĘ, KARMIĘ, UBIERAM, DAJĘ MOŻLIWOŚCI, O JAKICH CI SIĘ NIE ŚNIŁO, A TY TAK MI ODPLACASZ? UWODZISZ MOJĄ CÓRKĘ, ZANIEDBUJESZ SŁUŻBĘ, WYWOŁUJESZ W RZECZYWISTOŚCI PĘKNIĘCIA, NA ZALECZENIE KTÓRYCH TRZEBA STULECIA! TWOJE NIEPRZEMYŚLANE DZIAŁANIA SKAZAŁY TWOICH TOWARZYSZY NA POTĘPIENIE. NICZYM INNYM BOGOWIE SIĘ NIE ZADOWOLĄ. KRÓTKO MÓWIĄC, MÓJ CHŁOPCZE, NIE NAJLEPSZY POCZĄTEK PIERWSZEJ PRACY

Mort usiadł z wysiłkiem, trzymając się za policzek. Palik go zimno, niczym lodowa kometa.

- Mort - rzekł.

TO MÓWI! A CO MA DO POWIEDZIENIA?

- Mógłbyś ich puścić - oświadczył Mort. - To nie ich wina. Wmieszali się przypadkiem. Mógłbyś przestroić...

DLACZEGO MIAŁBYM TO ROBIĆ? TERAZ NALEŻĄ DO MNIE.

- Będę o nich walczył - ostrzegł Mort.

SZLACHETNY PORYW. ŚMIERTELNICY WALCZĄ ZE MNĄ
BEZ PRZERWY. ZWALNIAM CIĘ.

Mort wstał. Pamiętał, jak to jest być Śmiercią. Pochwycił to uczucie, pozwolił mu wyrwać się na powierzchnię...

NIE, rzekł.

ACH... ZATEM WYZYWASZ MNIE JAK RÓWNY?

Mort przełknął ślinę. Przynajmniej teraz jasno widział drogę przed sobą. Kiedy człowiek zstępuje w przepaść, jego życie zawsze zyskuje jasno określony kierunek.

- Jeśli to konieczne. A gdybym zwyciężył...

JEŚLI ZWYCIĘŻYSZ, ZYSKASZ POZYCJĘ, KTÓRA POZWOLI CI
ROBIĆ, CO ZECHCESZ, zapewnił Śmierć. CHODŹ ZA MNĄ

Wyminął chłopca i wkroczył na korytarz. Pozostała czwórka spojrzała na Morta.

- Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? - spytał Cutwell.

- Nie.

- Nie zdołasz pokonać pana - westchnął Albert. - Możesz mi wierzyć.

- Co się stanie jeśli przegrasz? - chciała wiedzieć Keli.

- Nie przegram - odparł Mort. - W tym cały problem.

- Ojciec chce, żeby wygrał - wtrąciła z goryczą Ysabell.

- Chcesz powiedzieć, że pozwoli Mortowi zwyciężyć? - zdziwił się Cutwell.

- Och nie. Nie pozwoli mu. Po prostu chce, żeby wygrał.

Mort kiwnął głową. Podążając za ciemną figurą Śmierci pomyślał o nieskończonej przyszłości, o służbie niezbadanemu i tajemniczemu celowi zaplanowanemu przez Stwórcę, o życiu poza Czasem. Nie mógł mieć pretensji, że Śmierć chciałby zrezygnować z tej posady. Mówił, że kości nie są obowiązkowe, ale może przestanie mu na tym zależeć? Czy wieczność wyda się czasem bardzo długim? Czy wszystkie życia - z osobistego punktu widzenia - będą dokładnie tej samej długości?

Cześć, zabrzmiał głos w jego głowie. Pamiętasz mnie? Jestem tobą. To ja cię w to wplątałem.

- Dzięki - mruknął z goryczą.

Pozostali spojrzeli na niego zaskoczeni.

Możesz wyjść z tego, pocieszył głos. Masz wielką przewagę. Byłeś nim, a on nigdy nie był tobą.

Śmierć przemaszerował korytarzem do Długiej Komnaty. Świece zapłonęły posłusznie, gdy tylko stanął w drzwiach.

ALBERCIE.

- Słucham, panie.

PRZYNIEŚ KLEPSYDRY

- Tak, panie.

Cutwell złapał starca za rękę.

- Jesteś magiem - syknął. - Nie musisz robić, co ci każe!

- Ile masz lat, chłopcze? - zapytał łagodnie Albert.

- Dwadzieścia.

- Kiedy będziesz w moim wieku, inaczej spojrzysz na wolność wyboru.
- Obejrzał się na Morta. - Przykro mi.

Mort dobył miecza. Ostrze było prawie niewidoczne w blasku świateł. Śmierć odwrócił się i stanął przed nim: wąska sylwetka na tle półek z klepsydrami.

Wyciągnął rękę. Z cichym trzaskiem pojawiła się w nich kosa.

Albert wrócił przejściem między regałami. Niósł dwie klepsydry. Bez słowa ustawił je na półce przy jednej z kolumn.

Jedna była kilka razy większa od normalnych: smukła, czarna, udekorowana skomplikowanym motywem czaszek i kości.

Jedno w niej budziło niepokój.

Mort jęknął bezgłośnie. Nie mógł dostrzec nawet ziarenka piasku.

Mniejsza klepsydra była całkiem zwyczajna i prosta. Mort sięgnął po nią.

- Mogę? - zapytał.

NIE KRĘPUJ SIĘ.

Na górnym zbiorniku wyryto imię „Mort”. Chłopiec podniósł klepsydrę do światła i bez szczególnego zdziwienia odkrył, że nie pozostało w niej prawie piasku. Kiedy przyłożył ucho, miał wrażenie, że poprzez wiecznie obecny szum milionów życiomierzy słyszy dźwięk własnego, uciekającego życia.

Ostrożnie odłożył klepsydrę na miejsce.

Śmierć zwrócił się do Cutwella.

PANIE MAGU, ZECHCE PAN ODLICZYĆ DO TRZECH.

Cutwell smętnie pokiwał głową.

- Czy na pewno nie można załatwić tej sprawy siadając za stołem i... - zaczął.

NIE.

- Nie.

Mort i Śmierć okrążali się czujnie. Ich odbicia migotały w rzędach klepsydr.

- Jeden - powiedział Cutwell. Śmierć groźnie zakręcił młynka kosą.

- Dwa.

Obie klingi spotkały się w powietrzu z dźwiękiem jakby kot zsuwał się po szybie.

- Obaj oszukiwali! - wykrzyknęła Keli.

Ysabell skinęła głową.

- Oczywiście.

Mort odskoczył, tnąc mieczem - o wiele za wolno. Śmierć bez trudu odbił cios i przeszedł z obrony do podstępnie niskiego wypadu, którego Mort uniknął jedynie dzięki niezgrabnemu podskokowi.

Co prawda kosa nie należy do najbardziej popularnych broni, jednak każdy, kto znalazł się po niewłaściwej stronie - powiedzmy- chłopskiego buntu, wie doskonale, że we wprawnych rękach jest to śmiertelnie groźne narzędzie. Kiedy już właściciel zacznie nią kręcić i wymachiwać, nikt - nie wyłączając użytkownika - nie ma pewności, gdzie znajduje się ostrze i gdzie trafi za chwilę.

Śmierć ruszył do przodu, szczerząc zęby w groźnym uśmiechu. Mort uchylił się przed cięciem w głowę i odskoczył na bok. Coś brzęknęło: to ostrze kosy zaczęło o klepsydrę na półce...

...w ciemnym zaułku w Ankh-Morpork zbieracz nawozu chwycił się za

serce i runął na swój wózek...

Mort przetoczył się i oburącz wzniosł miecz nad głowę. Poczuł dreszcz podniecenia, gdy Śmierć rzucił się w tył po czarno-białych kafelkach. Szaleńcze cięcie rozrąbało półkę; klepsydry zaczęły się zsuwać na podłogę. Mort widział kątem oka, jak Ysabell przebiega obok i chwytła jedną po drugiej...

...na drugim końcu Dysku czworo ludzi cudem uniknęło śmiertelnego upadku...

...i natychmiast ruszył do ataku, by wykorzystać chwilową przewagę. Ręce Śmierci poruszały się jak błyskawice, blokując każde cięcie i pchnięcie. Nagle zmienił uchwyt kosy i uderzył z szerokiego zamachu. Mort odsunął się niezręcznie i rękojeścią miecza zrzucił klepsydrę. Poleciała przez cały pokój...

...w górach Ramtopów pasterz tharg, szukając z latarnią zgubionej gdzieś na halach krowy, pośliznął się i runął w tysiącstopową otchłań...

...Cutwell zanurkował, rozpaczliwe wyciągając rękę pochwycił wirującą klepsydrę, upadł i pojechał na brzuchu po podłodze...

...karłowaty sykomor tajemniczo wyrósł pod wrzeszczącym pasterzem i zatrzymał go, rozwiązując najpoważniejsze problemy: śmierć, sąd bogów, niepewność Raju i tak dalej. Zastąpił je jeden, stosunkowo prosty: wspinaczka przez sto stóp pionowego, oblodzonego urwiska w absolutnej ciemności...

Nastąpiła chwila uspokojenia. Walczący odstepili i znowu krążyli wokół siebie, szukając luk w obronie przeciwnika.

- Chyba możemy coś zrobić? - odezwała się Keli.

- Mort przegra niezależnie od wyniku - Ysabell pokręciła głową.

Cutwell wytrząsnął z szerokiego rękawa srebrny lichtarz i w zadumie przerzucił go z ręki do ręki.

Śmierć groźnie machnął kosą, przypadkowo dukać klepsydrę stojącą tuż za swoim ramieniem...

...w Bes Pelargic główny oprawca imperatora zatoczył się i wpadł do własnej jamy z kwasem...

...i spróbował kolejnego cięcia, którego Mort uniknął dzięki szczęściu. Czuł żar obolałych mięśni i otępiającą mgłę toksyn zmęczenia w mózgu: dwa zagrożenia, którymi Śmierć nie musiał się przejmować.

Śmierć zauważył.

PODDAJ SIĘ, rzekł. MOŻE OKAŻĘ ŁASKE.

By zaakcentować tę propozycję, ciął od dołu. Mort z trudem zasłonił się mieczem. Ostrze kosy odskoczyło i w tysiące odłamków strzaskało klepsydrę...

...diuk Sto Helit chwycił się za serce, czując lodowate ukłucie bólu; krzyknął bezgłośnie i zwałił się z konia...

Mort cofał się, aż poczuł na karku szorstki kamień kolumny. Zniechęcająco pusta klepsydra Śmierci stała o kilka cali od jego głowy.

Sam Śmierć chwilowo nie zwracał na niego uwagi. W zadumie oglądał resztki żywota diuka.

Mort krzyknął i wzniósł miecz. Rozległy się nieśmiałe oklaski publiczności, która od jakiegoś czasu czekała, by w końcu to zrobił. Nawet Albert klasnął w pomarszczone dłonie.

Jednak zamiast spodziewanego brzęku szkła, zabrzmiało... nic.

Spróbował jeszcze raz. Ostrze przeszło przez szkło, wcale go nie naruszając.

Zmiana faktury powietrza sprawiła, że wysunął miecz na czas, by odbić straszliwe cięcie z góry. Śmierć odskoczył przed kontratakiem Morta, powolnym i słabym.

TO JUŻ KONIEC, CHŁOPCZE.

- Mort - powiedział Mort. Podniósł głowę.

- Mort - powtórzył i uderzył od dołu, rozcinając drzewce kosi. Zawrzał w nim gniew. Jeśli już ma zginąć, to zginie pod własnym imieniem.

- Mort, ty draniu! - wrzasnął i rzucił się naprzód, wprost na wyszczerzoną czaszkę. Miecz zaszumiał w skomplikowanym tańcu błękitnego lśnienia. Śmierć zatoczył się do tyłu, roześmiał, ugiął pod gradem uderzeń tnących drzewce kosi na coraz mniejsze kawałki.

Mort okrążał go, rąbał i kłuł, niewyraźnie świadom, że Śmierć trzyma nagie ostrze kosi niby miecz i nadąża za każdym jego ruchem. Nie było żadnej szczeliny w tej osłonie, a energia gniewu nie wystarczy na długo. Nigdy go nie pokonasz, powiedział sobie. Najlepsze, co może się udać, to powstrzymywanie go jeszcze przez chwilę. Zresztą lepsza chyba klęska niż zwycięstwo. Komu w ogóle potrzebna jest wieczność?

Przez zasłonę znużenia zobaczył, że Śmierć prostuje kości i przesuwając klingę swobodnym, szerokim łukiem, tak powolnym, jakby sunęła w gęstym syropie.

- Ojczy! - krzyknęła Ysabell. Śmierć odwrócił głowę.

Być może umysł Morta cieszyła perspektywa przyszłego życia w lepszym świecie, jednak ciało zaprotestowało, czując zapewne, że ono traci w tym interesie najwięcej. Pchnęło więc prawą rękę w potężnym uderzeniu, które wyrwało Śmierci klingę z dłoni, a jego samego przyparło do kolumny.

W nagłej ciszy Mort uświadomił sobie, że nie słyszy już tego irytującego szelestu, jaki od dziesięciu minut rozbrzmiewał na samej granicy słyszalności. Zerknął w bok.

Przesypywały się resztki jego piasku.

UDERZ.

Mort uniósł miecz i spojrzał w bliźniacze niebieskie ognie.

Opuścił miecz.

- Nie.

Stopa Śmierci wystrzeliła w kierunku jego krocza z prędkością, od której nawet Cutwell się skrzywił.

Mort bezgłośnie zwinął się w kłębek i potoczył po podłodze. Przez łzy widział, że Śmierć zbliża się z ostrzem kosy w jednej ręce, a jego klepsydrą w drugiej. Widział odsunięte pogardliwie na bok Ysabell i Keli, które próbowały pochwycić go za skraj szaty. Widział Cutwella trafionego łokciem w żebra, i jego lichtarz toczący się ze stukiem po posadzce.

Śmierć zatrzymał się. Czubek ostrza zatańczył przez chwilę przed oczyma Morta, potem przesunął się do góry.

- Masz rację. Nie ma sprawiedliwości. Jesteś tylko ty.

Śmierć zawahał się i wolno opuścił klingę. Odwrócił się i spojrzał w twarz Ysabell. Trzęsła się z wściekłości.

TO ZNACZY?

Popatrzyła gniewnie w twarz Śmierci. Potem jej dłoń cofnęła się, zatoczyła łuk, wysunęła się do przodu i uderzyła z dźwiękiem podobnym do grzechotania kostek w kubku.

Nie był nawet w przybliżeniu tak głośny jak cisza, która zapadła potem.

Keli zamknęła oczy. Cutwell odwrócił się i zakrył głowę rękami.

Śmierć bardzo powoli uniósł dłoń do twarzy. Pierś Ysabell wznosiła się i opadała w sposób, który mógłby skłonić Cutwella, by do końca życia zrezygnował z magii.

I wreszcie, głosem bardziej głuchym niż zazwyczaj, Śmierć zapytał:

DLACZEGO?

- Mówiłeś, że igranie z losem jednego człowieka może zniszczyć cały świat - przypomniała Ysabell.

TAK?

- Mieszałeś się w jego los. I mój. - Drżącym palcem wskazała na odłamki szkła na podłodze. - Ich także.

I CO?

- Czego bogowie za to zażądają?

ODE MNIE?

- Tak!

Śmierć zdziwił się.

BOGOWIE NICZEGO NIE MOGĄ ODE MNIE ŻAДАĆ. NAWET
BOGOWIE KIEDYŚ PRZEDE MNĄ ODPOWIEDZĄ

- To chyba nie całkiem sprawiedliwe - warknęła Ysabell. Nikt właściwie nie zauważył, kiedy podniosła miecz.

Śmierć uśmiechnął się.

DOCENIAM TWOJE WYSIŁKI, rzekł. ALE NICZEGO NIE UZYSKASZ. ZEJDŹ MI Z DROGI.

- Nie.

MUSISZ ZROZUMIEĆ, ŻE NAWET MIŁOŚĆ NIE DAJE PRZEDE
MNĄ OBRONY. PRZYKRO MI.

Ysabell uniosła miecz.

- Tobie jest przykro?

ZEJDŹ MI Z DROGI, POWIADAM.

- Nie. Chcesz się odegrać. To niesprawiedliwe!

Śmierć pochylił na chwilę czaszkę, po czy wyprostował się. Oczy mu płonęły.

MASZ ROBIĆ, CO CI MÓWIĘ.

- Nie.

STAWIASZ MNIE W TRUDNEJ SYTUACJI.

- Tym lepiej.

Palce Śmierci zabębniły niecierpliwie o ostrze kosy, jakby mysz stepowała na puszcze. Zdawało się, że coś rozważa. Popatrzył na Ysabell stojącą nad Mortem, potem obejrzał się na pozostałych, skulonych pod regałem z klepsydrami.

NIE, oświadczył w końcu. NIE. NIE MOŻNA MNIE UBŁAGAĆ. NIE MOŻNA MNIE ZMUSIĆ. UCZYNIĘ TYLKO TO, O CZYM WIEM, ŻE JEST SŁUSZNE.

Skinął dłonią i miecz wyfrunął z ręki Ysabell. Wykonał kolejny złożony gest i sama dziewczyna została uniesiona w powietrze i delikatnie lecz stanowczo przyciśnięta do najbliższej kolumny.

Mort zobaczył, że posepny kosiarz zbliża się znowu, unosząc klingę do końcowego ciosu. Stanął nad chłopcem.

NIE MASZ POJĘCIA, JAK MI PRZYKRO Z TEGO POWODU.

Mort podparł się na łokciach.

- Może i mam - rzekł.

Przez kilka sekund Śmierć przyglądał mu się zaskoczony. I nagle wybuchnął śmiechem. Niesamowity dźwięk krążył po pokoju i odbijał się echem od półek A Śmierć, wciąż z rechotem podobnym do trzęsienia ziemi na cmentarzu, podsunął Mortowi przed oczy jego własną klepsydrę,

Mort starał się skupić wzrok. Ostatnie ziarenko piasku ześliznęło się po gładkiej powierzchni, zatańczyło na krawędzi i wirując w zwolnionym tempie poleciało na dno. Blask świec odbijał się od maleńkich ścianek opadającej drobinki krzemu. Wylądowała bezgłośnie, wyrzucając mikroskopijny krater.

Światło w oczach Śmierci jaśniało coraz mocniej, aż wypełniło całe pole widzenia Morta. Dźwięk jego śmiechu potrząsał wszechświatem.

I wtedy Śmierć odwrócił klepsydrę.

Raz jeszcze wielka sala zamku Sto Lat jaśniała płomykami świec i rozbrzmiewała muzyką.

Kiedy goście spływali po schodach i tłoczyli się przy zimnym bufecie, mistrz ceremonii bez przerwy anonsował tych, którzy z ważnych powodów albo przez zwykłe roztargnienie zjawili się spóźnieni. Na przykład:

- Królewski Rozpoznawca, Opiekun Sypialni Królowej, Jego Ipississumusność Igneous Cutwell, Absolwent Niewidocznego Uniwersytetu, Mag Pierwszej Rangi.

Cutwell zbliżył się do książęcej pary. W dłoni trzymał wielkie cygaro.

- Mogę pocałować pannę młodą? - zapytał.

- Jeśli to magom dozwolone... - Ysabell podsunęła mu policzek.

- Uważamy, że sztuczne ognie były wspaniałe - pochwalił Mort. - Mam nadzieję, że odbudowa muru obronnego nie potrwa długo. Nie muszę ci chyba pokazywać, gdzie jest jedzenie.

- Ostatnio o wiele lepiej wygląda - zauważyła Ysabell z nienagannym uśmiechem, gdy Cutwell zniknął między gośćmi.

- Z pewnością ma pewne zalety pozycja jedynej osoby w państwie, która nie przejmując się poleceniami królowej - odparł Mort, wymieniając ukłony z przechodzącym wielmożą.

- Podobno to on stoi za tronem. Jakaś tam eminencja.

- Brudna eminencja - rzucił odruchowo Mort. - Zauważyłaś, że ostatnio w ogóle nie czaruje?

- Zamknij się na własną rękę.

- Jej Najwyższa Wysokość Królowa Kelirehenna I, Władczyni Sto Lat, Protektorka Ośmiu Protektoratów i Cesarzowa Długiego, Wąskiego Dyskusyjnego Skrawka Łądu na Oś od Sto Kerrig.

Ysabell dygnęła. Mort skłonił się. Keli uśmiechała się do nich promiennie. Trudno było nie zauważyć, że pod jakimś wpływem zaczęła nosić suknie przynajmniej w przybliżeniu dopasowane do jej kształtów, zrezygnowała zaś z fryzur przypominających skrzyżowanie ananasa z watą cukrową.

Cmoknęła Ysabell w policzek, odstąpiła o krok i zmierzyła Morta badawczym wzrokiem.

- Jak tam, Sto Helit? - spytała.

- Świetnie, świetnie - odparł Mort. - Chociaż musimy coś zrobić z piwnicami. Twój zmarły wuj miał pewne... dość niezwykle... zamiłowania. W rezultacie...

- Ona pytała o ciebie - szepnęła Ysabell. - Tak teraz oficjalnie brzmi twoje imię.

- Wołałem Morta - westchnął Mort.

- Za to masz taki ciekawy herb - zauważyła królowa. - Skrzyżowane kosy i uniesiona klepsydra na czarnym tle. Królewska Akademia dostała od tego migreny.

- Nie przeszkadza mi bycie księciem - usprawiedliwił się Mort. - To bycie mężem księżnej stale mnie trochę zdumiewa.

- Przyzwyczaisz się.

- Mam nadzieję, że nie.

- To dobrze. A teraz, Ysabell... - Keli wysunęła podbródek. - Jeśli masz wejść w dworskie kręgi, koniecznie musisz poznać kilka osób...

Wciągana w największą ciżbę gości Ysabell zerknęła jeszcze z rozpaczą na Morta. Wkrótce zniknęła w tłumie.

Mort wsunął palec pod kołnierzyk, rozejrzał się dyskretnie i skoczył w osłonięty paprociami kącik przy końcu stołu. Tutaj mógł liczyć na chwilę samotności.

Mistrz ceremonii odchrząknął i wbił szklisty wzrok w pustkę.

- Złodziej Dusz - obwieścił głuchym głosem człowieka, którego uszy nie słyszą, co mówią usta. - Niepokonany Poskromiciel Imperiów, Pożeracz Oceanów, Złodziej Lat, Ostateczna Rzeczywistość, Żniwiarz Ludzkości...

DOBRZE JUŻ, DOBRZE. SAM TRAFIĘ.

Mort znieruchomiał z połówką nogi indyka uniesioną do ust. Nie oglądał się. Nie musiał. Z niczym nie można było pomylić tego głosu, bardziej wyczuwanego niż słyszanego, ani tego, jak nagle pociemniało i dmuchnęło chłodem. Gwar i muzyka weselnego przyjęcia przycichły z wolna i zamarły.

- Myśleliśmy, że już nie przyjdiesz - powiedział do paproci w doniczce.

NA ŚLUB MOJEJ WŁASNEJ CÓRKI? ZRESZTĄ PIERWSZY RAZ W ŻYCIU DOSTAŁEM PRAWDZIWE ZAPROSZENIE. MIAŁO ZŁOTĄ RAMKĘ, „ODPOWIEDŹ MILE WIDZIANA” I WSZYSTKO CO TRZEBA.

- Tak, ale kiedy nie zjawiłeś się na nabożeństwie...

SZCZERZE MÓWIĄC POMYŚLAŁEM, ŻE NIE BYŁOBY TO CAŁKIERM WŁAŚCIWE.

- No tak, chyba rzeczywiście...

I SZCZERZE MÓWIĄC MYŚLAŁEM, ŻE ZAMIERZASZ SIĘ OŻENIĆ Z KSIĘŻNICZKĄ.

Mort zaczerwienił się.

- Rozmawialiśmy o tym - wyznał. - I uznaliśmy, że nie należy podejmować nieprzemyślanych decyzji tylko dlatego, że człowiek przypadkiem ocalił księżniczkę.

BARDZO ROZSĄDNIE. NA PRZYKŁAD ZBYT WIELE KOBIET RZUCA SIĘ W RAMIONA PIERWSZEGO MŁODEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY AKURAT PRZYPADKIERM OBUDZIŁ JE ZE STULETNIEGO SNU.

- I pomyśleliśmy, że w końcu, no... kiedy już lepiej poznałem Ysabell, to...

TAK, TAK. JESTEM PEWIEN. BARDZO MĄDRA DECYZJA. TYM NIEMNIEJ POSTANOWIŁEM NIE INTERESOWAĆ SIĘ WIĘCEJ SPRAWAMI LUDZI.

- Naprawdę?

TYLKO OFICJALNIE, MA SIĘ ROZUMIEĆ. ZAKŁÓCA TO OBIEKTYWIZM SĄDÓW.

Koścista dłoń pojawiła się na skraju pola widzenia i sprawnie nabiła na widelec faszerowane jajko. Mort odwrócił się.

- Co się stało? - zapytał. - Muszę to wiedzieć! Byliśmy w Długiej Komnacie, a w następnej chwili staliśmy na polu pod miastem i naprawdę byliśmy sobą! To znaczy, że rzeczywistość uległa zmianie, żeby nas przyjąć.

Kto to zrobił?

POGADAŁEM Z BOGAMI. Śmierć był wyraźnie zakłopotany.

- Och... Z bogami, tak? - zdziwił się Mort.

Śmierć unikał jego wzroku.

TAK.

- Chyba nie byli zadowoleni?

BOGOWIE SĄ SPRAWIEDLIWI. A TAKŻE SENTYMENTALNI. OSOBIŚCIE NIGDY NIE ZDOŁAŁEM POZNAĆ TEGO UCZUCIA. ALE TY NIE JESTEŚ JESZCZE WOLNY MUSISZ DOPILNOWAĆ, ŻEBY HISTORIA POTOCZYŁA SIĘ ZGODNIE Z PRZEZNACZENIEM.

- Wiem - mruknął Mort. - Zjednoczyć królestwa i w ogóle...

MOŻESZ JESZCZE POŻAŁOWAĆ, ŻE NIE ZOSTAŁEŚ ZE MNĄ.

- Z pewnością wiele się nauczyłem - przyznał Mort. Uniósł dłoń i odruchowo pogładził cztery cienkie, białe blizny na policzku. - Ale chyba nie nadawałem się do takiej pracy. Naprawdę mi przykro...

MAM DLA CIEBIE PREZENT.

Śmierć odłożył talerz i sięgnął w tajemnicze głębie swej szaty. Kiedy koścista dłoń znów się wynurzyła, między kciukiem a palcem wskazującym tkwiła niewielka kula.

Miała około trzech cali średnicy. Mogłaby to być największa perła na świecie, tyle że jej powierzchnia stanowiła zmienny wir przedziwnych kształtów, wiecznie na granicy ułożenia się w jakiś rozpoznawalny wzór, ale zawsze jakoś tego unikając.

Śmierć upuścił kulę na dłoń Morta. Okazało się, że jest zaskakująco ciężka i lekko ciepła.

DLA CIEBIE I TWOJEJ DAMY PREZENT ŚLUBNY. POSAG.

- Jest piękna. Myśleliśmy, że od ciebie jest srebrny stojak na grzanki.

TO ALBERT. OBAWIAM SIĘ, ŻE BRAKUJE MU WYOBRAŹNI.

Mort obracał kulę w palcach. Wrzące w jej wnętrzu formy zdawały się reagować na jego dotyk, wysyłając ku palcom wąskie smugi światła.

- Czy to perła?

TAK. KIEDY COŚ PODRAŻNI OSTRYGĘ I NIE DA SIĘ USUNĄĆ, BIEDNE STWORZENIE POKRYWA TO ŚLUZEM I ZMIENIA W PERŁĘ. TO JEST PERŁA INNEGO RODZAJU. PERŁA RZECZYWISTOŚCI. CAŁY TEN LŚNIĄCY MATERIAŁ TO ZAKRZEPEŁA REALNOŚĆ. POWINIENES JĄ POZNAĆ... W KOŃCU SAM JĄ STWORZYŁEŚ.

Mort przerzucił perłę z ręki do ręki.

- Schowamy ją wśród pałacowych klejnotów - rzekł. - Nie mamy ich zbyt wiele.

PEWNEGO DNIA STANIE SIĘ ZAŁĄŻKIEM NOWEGO WSZECHŚWIATA.

Perła wysliznęła się z palców Morta, ale schylił się błyskawicznie i pochwycił ją, nim uderzyła o podłogę.

- Co?

PARCIE TEJ RZECZYWISTOŚCI UTRZYMUJE JĄ TAK ŚCIŚNIĘTĄ, KIEDYŚ NADEJDZIE MOŻE CZAS, GDY WSZECHŚWIAT SIĘ SKOŃCZY I RZECZYWISTOŚĆ UMRZE. WTEDY TA EKSPLODUJE I... KTO WIE? UWAŻAJ NA NIĄ. W TYM PREZENCIE UKRYWA SIĘ PRZYSZŁOŚĆ. MOŻE WIECZNOŚĆ.

Śmierć przechylił czaszkę.

JESZCZE DROBIAZG, dodał. SAM TEŻ MOGŁEŚ ZYSKAĆ WIECZNOŚĆ.

- Wiem - westchnął Mort. - Miałem szczęście.

Ostrożnie położył perłę na bufetowym stole, między przepiórczymi jajami a kanapkami z kielbasą.

MAM JESZCZE COŚ, odezwał się Śmierć.

Znowu sięgnął między poły szaty i wydobył płaski przedmiot, niefachowo owinięty w papier i obwiązany sznurkiem.

TO DLA CIEBIE, wyjaśnił. OSOBIŚCIE. NIGDY PRZEDTEM SIĘ NIĄ NIE INTERESOWAŁEŚ. MYŚLAŁEŚ, ŻE NIE ISTNIEJE?

Mort odwinął paczkę. Trzymał w ręku nieduży tom w skórzanych okładkach. Na grzbiecie złote litery układały się w jedno słowo: Mort.

Przerzucił od końca nie zapisane kartki, aż natrafił na wąski ślad atramentu, wijący się pracowicie po stronie. Zaczął czytać:

Mort zamknął księgę z cichym trzaskiem, który w ciszy zabrzmiał jak grom Stworzenia. Uśmiechnął się niepewnie.

- Jest tam jeszcze sporo czystych kartek - zauważył. - Ile piasku mi zostało ? Ysabell twierdzi, że skoro odwróciłeś klepsydre, to umrę, kiedy będę miał...

MASZ JESZCZE DOSYĆ, odparł zimno Śmierć. MATEMATYKA NIE JEST TAK WAŻNA, ZA JAKĄ SIĘ JĄ UWAŻA.

- Co sądzisz o zaproszeniach na chrzciny?

RACZEJ NIE. NIE JESTEM STWORZONY DO ROLI OJCA, A TYM BARDZIEJ DZIADKA. MAM NIEODPOWIEDNIE KOLANA.

Odstawił kielich z winem i skinął Mortowi głową.

PRZEKAŻ USZANOWANIA SWEJ PANI, powiedział. A TERAZ NAPRAWDĘ MUSZĘ JUŻ IŚĆ.

- Jesteś pewien ? Szkoda, że nie możesz zostać.

MIŁO Z TWOJEJ STRONY, ŻE TO MÓWISZ, ALE OBOWIĄZEK WZYWA. Wyciągnął kościstą dłoń. WIESZ, JAK TO JEST.

Nie zważając na lodowaty chłód, Mort uścisnął mu rękę.

-Pamiętaj, gdybyś miał kiedyś ochotę odpocząć parę dni, no wiesz, zrobić sobie wakacje...

WIELKIE DZIĘKI ZA TĘ PROPOZYCJĘ, rzekł Śmierć z wdzięcznością. PRZEMYŚLĘ JĄ BARDZO POWAŻNIE. A TERAZ...

- Żegnaj. - Mart ze zdumieniem odkrył, że coś ściska go za gardło. - To takie przykre słowo...

ISTOTNIE. Śmierć uśmiechnął się, ponieważ -jak to często zaznaczano - nie miał właściwie wyboru. Ale może tym razem śmiech był szczery.

WOLĘ: DO ZOBACZENIA, rzekł.

[1] Praktycznie wszystko jest szybsze od światła Dysku, leniwego i poskromionego, całkiem niepodobnego do zwykłego światła. Jedyne, co, jak wiadomo, porusza się prędzej od zwykłego światła, to - według filozofa Ly Tin Wheedle - monarchia. Uczony rozumował w następujący sposób: nie można mieć więcej niż jednego króla, a tradycja wymaga, żeby między kolejnymi królami nie było przerwy. Jeśli zatem król umiera, sukcesja dociera do następcy natychmiastowo. Zapewne, jak stwierdził, nośnikami monarchii są jakieś cząstki elementarne: królony, a prawdopodobnie również królowony. Oczywiście, monarchia czasem upada, jeśli cząstka taka w locie zderzy się z antycząstką czyli republikonem. Ambitne plany, by wykorzystać to odkrycie do przesyłania wiadomości, co wymagałoby ostrożnego torturowania jakiegoś pomniejszego króla w celu modulacji sygnału, nie zostały do końca dopracowane, ponieważ wtedy właśnie zamknięto bar.

[2] Pierwsza pizza na Dysku była dziełem klatchiańskiego mistyka, Roniona „Joego Apokalipsy” Shuwadhiego, który twierdził, że przepis otrzymał we śnie od samego Stwórcy Dysku. Stwórca miał też oznajmić, że właśnie coś takiego chciał osiągnąć od samego początku. Ci z pustynnych wędrowców, którzy mieli okazję zobaczyć oryginał (nadal cudownie zachowany w Zakazanym Mieście Ee) twierdzą, że Stwórcy chodziło o niezbyt dużą porcję z serem i papryką, ozdobioną kilkoma czarnymi oliwkami**. Takie elementy jak góry i morza zostały umieszczone w chwilowym porywie

entuzjazmu, co zresztą często się zdarza.

****** Po Schizmie Obrotowej i jihadzie, w którym zginęło około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, wiernym wolno umieszczać w przepisie jeden mały liść bobkowy.

[3] Chociaż nie obwisłe wąsy i nie okrągły futrzany kapelusz ze szpikulcem.

[4] Przemowa została przekazana kolejnym pokoleniom w poemacie epickim napisanym na zamówienie jego syna, który nie urodził się w siodle i potrafił jeść nożem i widelcem. Zaczynała się tak:

Spójrzcie, o mężni, gdzie drzemie funtem nieprzyjaciół

Kradzionym złotem syty, myślą nieczysty.

Niech włócznie waszego gniewu będą jak pożar stepu

W dzień wietrzny i w porę suszy,

Niech wasze wierne klingi zaatakują niczym rogi

Pięcioletniego jaka z ostrym bólem zębów...

I tak dalej, przez trzy godziny. Rzeczywistość, której zwykle nie stać na opłacanie poetów, zapisała w swej pamięci, że przemowa brzmiała tak:

Chłopcy, większość z nich wyleguje się jeszcze w łózkach. Przejdziemy przez nich jak kapucha przez starą i niską babę. Nie wiem jak wy, aleja mam już potąd tych jurt. Jedziemy?

[5] Najwspanialszymi kochankami na Dysku byli niewątpliwie Mellius i Gretelina, których czysty, namiętny i rozziewający serce romans zapisały się płomiennymi zgłoskami na kartach Historii, gdyby nie fakt, że nie wyjaśnionym zrządzeniem losu urodzili się w odstępie dwustu lat i na różnych kontynentach. Bogowie jednak zlitowali się nad nimi i zmienili jego w deskę do prasowania**, a ją w niski mosiężny słupek.

****** Kiedy się jest bogiem, nie trzeba się tłumaczyć.

[6] Znalazł pół słoika zjełczanego majonezu, kawałek bardzo starego sera i lekko nadpleśniałego pomidora. Ponieważ za dnia spiżarnia pałacu w Sto Lat mieściła zwykle piętnaście całych jeleni, setkę bażantów, pięćdziesiąt baryłek masła, dwieście kamionkowych garnków gulaszu z zajęcy, siedemdziesiąt pięć półci wołowiny, dwie mile rozmaitych kiełbas, liczne kuropatwy, osiemdziesiąt tuzinów jaj, kilka jesioteń z Okrągłego Morza, beczkę kawioru i słoniową nogę nadziewaną oliwkami, Cutwell raz jeszcze przekonał się, że jedną z manifestacji pierwotnej, naturalnej magii wszechświata jest następujący fakt: każdy domowy magazyn żywności, penetrowany ukradkiem w środku nocy, zawsze i niezależnie od zawartości dziennej, mieści jedynie pół stoika zjełczanego majonezu, kawałek bardzo starego sera i lekko nadpleśniałego pomidora.

[7] Ankh-Morpork eksperymentowało z wieloma systemami rządów, aż osiągnęło formę demokracji znaną jako Jeden Człowiek, Jeden Głos”. Patrycjusz był tym Człowiekiem; miał Głos.

[8] Skalny ogród Uniwersalnego Spokoju i Prostoty, założony na rozkaz Imperatora Zwierciadło Jedyne Słońca**, wykorzystywał pozycje obiektów i ich cienie dla symbolizacji zasadniczej jedności ducha i materii oraz harmonii wszechrzeczy. Legenda głosi, że sekrety samego serca rzeczywistości leżą ukryte w precyzyjnym uporządkowaniu kamieni.

** Innym źródłem sławy tego władcy był zwyczaj odcinania wrogom warg i nóg, by potem obiecywać im wolność, jeśli przebiegną przez miasto grając na trąbce.

[9] Nie jest to całkiem precyzyjne stwierdzenie. Filozofowie zgadzają się w zasadzie, że najkrótszy okres, w którym może się zdarzyć wszystko, to tysiąc miliardów lat.